

Jean-Paul Sartre

**HURAGAN
NAD CUKREM**

Przełożył Zbigniew Stolarek

ISKRY

Warszawa 1961

Tytuł oryginału francuskiego

OURAGAN SUR LE SUCRE

Państwowe Wydawnictwo "Iskry", Warszawa 1961

Nakład 20.000+250 egz. Ark. wyd. 8,8. Ark. druk. 12

Papier druk. mat. V kl. 65 g, 82X104/32 z fabr.

we Włocławku. Oddano do składania w marcu 1961 r.

Druk ukończono w czerwcu 1961 r. Zakłady Gra-
ficzne "Dom Słowa Polskiego" Żam. 1605 A. S-72

Cena zł. 12.—



Hawana, w czerwcu 1960 r.

I

To miasto, nieskomplikowane w 1949 roku, zbiło mnie z tropu. Niewiele tym razem brakowało, żebym nic z niego nie rozumiał.

Mieszkamy w jednej z najelegantszych dzielnic. Hotel "Nacional", ze swoimi dwoma graniastosłupami zębanych wieżyc, to forteca luksusu. Dwoch zalet wymaga się od jego gości przybywających tu z kontynentu: fortuny i dobrego smaku. Ponieważ jednak razem występują one rzadko, więc jeżeli ktoś posiada pierwszą z nich, przyznaje mu się i tę drugą — z przymrużeniem oka.

Często spotykam w hallu roślących *Yankees* (tak się jeszcze nazywa ich na Kubie, chyba żeby się mówiło *Americano*); są elegancy i wysportowani; ze zdziwieniem

patrzę na ich zwarzone twarze. Co im tak strasznie dolega? Miliony czy wrażliwość?

Jest to w każdym razie problem, który mnie nie dotyczy.

Moje całe paryskie mieszkanie mogłoby się zmieścić w pokoju dla milionerów, który zajmuję. Co o nim powiedzieć? Jedwabie, parawany, kwiaty na haftach i w wazonach, dwa dwuosobowe łóżka dla mnie jednego, wszelki komfort. Do samego końca dociskam urządzenie klimatyzacyjne, żeby się narozkoszować zimnym powietrzem bogaczy. Podchodzę do okna, temperatura trzydzieści stopni w cieniu; ze zbyt kownym szczękaniem zębami patrzę na spotniałych przechodniów.

Nie musiałem długo dociekać, jakie przyczyny dają hotelowi "Nacional" jego jeszcze nie kwestionowaną dotąd przewagę. Wystarczyło, żebym zaraz po przybyciu rozsunął story: zobaczyłem sięgające nieba, smukłe, wysokie zjawy.

Na sposób kolonialnych cytadel, które od trzech wieków strzegą portu, "Nacional" dominuje nad morzem; za nim — nic: Vedado.

Vedado było strzeżonym terenem polowań. Strzeżonym przed ludźmi, nie przed roślinnością. Tę zakazaną ziemię drażyło szaleństwo chwastów. Rozparcelowano ją, chwasty nagle znikły w 1952 roku. Pozostał pusty teren, który zaczęła rozsadzać erupcja rozpasanych form: drapacze chmur.

Owszem, mnie osobiście drapacze chmur się podobają; te z Vedado są ładne, gdy je oglądać z osobna. Lecz wszędzie ich pełno; bezład kształtów i kolorów. Kiedy wzrok próbuje je połączyć, wymykają się: nie ma jedności, każdy sobie. Znaczna ich część to hotele: "Habana Hilton", "Capri" i dwadzieścia innych.

Wyścig pięter. "Jeszcze jedno, kto powie więcej?" Przy pięćdziesięciu piętrach jest się wprawdzie drapaczem chmur, lecz kieszonkowym. Więc wyciągają szyje, żeby przez ramię sąsiada dojrzeć morze. Potężny i wzdardliwy "Nacional" odwraca się plecami od tego rozgorączkowania. Sześć pięter — i ani o jedno więcej; oto jego tytuł do szlachectwa.

A jeszcze i to: rewolucja tworzy własną architekturę, która będzie piękna; wyprowadzi z ziemi swoje własne miasta. Tymczasem zwalcza amerykańskość przeciwstawiając jej swoją przeszłość kolonialną.

Przeciw żarłocznej metropolii, jaką była Hiszpania, Kuba powoływała się niegdyś na niepodległość, na wolność Stanów Zjednoczonych. Przeciw Stanom Zjednoczonym sięga dziś do korzeni narodu i wskrzesza zmarłych kolonizatorów.

Drapacze chmur z Vedado to świadkowie jej degradacji: zrodziły się wraz z dyktaturą. "Nacional", oczywiście, nie jest znów taki stary, ale wyłonił się z ziemi przed upadkiem, przed rezygnacją.

Rewolucjoniści są wyrozumiali tylko dla gmachów, które wybudowali ich dziadowie w pierwszym okresie demokracji.

Więc bądź co bądź przeciwstawianie jednej formy luksusu innej jego formie. Ale — mówiłem sobie — przecież narodowe aspiracje Kuby nie mogły się ograniczyć tylko do tego. O rewolucji, rzecz jasna, opowiadano mi dzień w dzień; należało ją jednak zobaczyć w działaniu, zastanowić się nad programem.

Tymczasem szukałem jej po ulicach stolicy. Całymi godzinami chodziłem z Simone de Beauvoir; zaglądaliśmy wszędzie; uważałem, że nic się nie zmieniło. Chociaż — tak: wprawdzie los biedaków w ludowych dzielnicach nie wydał mi się ani gorszy, ani lepszy, za to w innych dzielnicach wzrosła ilość widomych oznak bogactwa.

Ilość aut podwoiła się, potroiła. Chevrolet, chrysler, buick, de soto: wozy wszelkich marek. Przywołuje się taksówkę, taksówka podjeżdża: cadillac. Te wielkie i ozdobne karoce defilują z szybkością człowieka idącego pieszo lub stają w ogonku za ręcznym wózkiem.

Każdy wieczór spuszcza na miasto rwący strumień elektrycznego światła; niebo jest malowane różowością, amarantem; wszędzie zachłyst neonów zachwalających produkty *made in USA*.

A przecież wiedzieliśmy, że rząd obłożył podatkami import towarów luksusowych. I wiedzieliśmy, czy też byliśmy o tym przeświadczeni, że przeprowadza on kontrolę dewiz, że wyperswadowuje wyjazdy za granicę dla przyjemności i że zastosował szereg środków dla spropagowania turystyki krajowej. Nic to jednak nie przeszkadza któremuś z towarzystw lotniczych głosić ognistymi literami znad brzegu oceanu, że oferuje Kubańczykom podróże do Miami.

Istnieje legion luksusowych restauracji; jada się w nich rzeczywiście nieźle, ale rachunki nie wynoszą nigdy mniej niż trzy tysiące franków na głowę, a często sięgają powyżej pięciu tysięcy.

Jedna z nich była dawniej "bzikiem" pewnego ministra podejrzanej reputacji: ekscelencja wybudował tam sobie ogród z kamienia; kazał rzeźbić skały na obraz życia, wyprowadził z kamiennej flory i fauny cement ścieżek, posunął swoją sumienność aż do odtwarzania świata mineralnego: ciosano kamień na kształt kamienia. By ożywić ten mały wszechświat, dodał do niego prawdziwe lwy w klatkach. Klatki są próżne.

Zamiast lwów i ministra widzi się teraz krążenie jasnych sukien; panowie pokroju widomie międzynarodowego kontemplują nieobecny wzrokiem te zaczarowane minerały. Kiedy tam byłem, przy wszystkich stolikach mówiono po angielsku. Kolację jedzono przy świecach, co jest szczytem luksusu dla wolnego obywatela Stanów Zjednoczonych: wystarczy tylko jeden znak, żeby popłynęła elektryczność; nie dano go; prostacka obfitość jest w pogardzie; woskowymi łzami demonstruje się wszem i wobec jawną degradację kosztownego przepychu konsumpcji. Nocnych lokali jest więcej niż kiedykolwiek. Roi się od nich wokół Prado; nad ich wejściami odzyskuje swoje prawa elektryczność; rozmigotane i nęcące nazwy wżerają się w oczy przechodniów.

W "Tropicana" — największym dansingu świata — tłumy przy zielonych stolikach. Więc gry hazardowe na Kubie? Jeszcze dotąd uprawia się gry hazardowe? Jeden z naszych towarzyszy odpowiedział krótko:

— Uprawia się.

Automaty do gier zostały zlikwidowane. Ale loteria państwowa istnieje. Istnieją kasyna i sale gier we wszystkich hotelach. Co do prostytucji, początkowo zamknięto kilka domów publicznych; później już ich nie ruszano.

Patrząc na ten raczej negatywny bilans, wielokrotnie mówiłem sobie w pierwszych dniach: wszystkie lub prawie wszystkie rewolucje mają jedną wspólną cechę — surowość obyczajów; gdzie jest surowość kubańska?

Niebo dziś rano bezchmurne, siedzę przy swoim stole, widzę przez okna tłum podniebnych graniastosłupów i czuję się wyleczony z tej złośliwej choroby, przez którą omal bym nie dostrzegł prawdy o Kubie. *Retinosis pigmentaria* — to pojęcie nie z mojego słownika; do dziś rano nie wiedziałem, co za chorobę ono oznacza. Znalazłem je czytając przemówienie, które kubański minister Oscar Pinos Santos wygłosił pierwszego lipca 1959 r.:

Nie sądzę, aby cudzoziemski turysta mógł zrozumieć po kilku dniach czy kilku godzinach pobytu w Hawanie, że Kuba jest jednym z tych państw, które są najbardziej dotknięte międzynarodową tragedią niedorozwoju gospodarczego...

Z całej wyspy zobaczy tylko miasto o wspaniałych bulwarach, gdzie się sprzedaje w jak najbardziej nowoczesnych magazynach artykuły najwyższej jakości. Jakże mógłby uwierzyć w naszą .nędżę, jeżeli po drodze będzie liczył chociażby anteny telewizorów? Czy z tak wielu oznak nie wywnioskuje, że jesteśmy bogaci, że posiadamy nowoczesne narzędzia pozwalające nam produkować dużo i dobrze?

No tak. Źle poinformowany podróżnik ma wiele na swoje usprawiedliwienie. Wobec tego, powiedziałem sobie, wraz z innymi usprawiedliwiony jestem i ja.

Otóż nic podobnego; to tylko okoliczność obciążająca; jeżeli turysta uległ mistyfikacji i odjeżdża zadowolony, jest kaleką.

Istnieje mianowicie — tak mniej więcej mówił Pinos Santos — choroba oczu zwana *retinosis pigmentaria*, która polega na utracie zdolności patrzenia na boki. Wszyscy ci, którzy stąd odjeżdżają z optymistyczną wizją Kuby, to ciężko chorzy: widzą to, co na wprost, nigdy nic nie dojrzą kątem oka.

Retinosis — tego słowa było mi brak. Ale już przed kilkoma dniami zrozumiałem swoją wielką omyłkę. Doznałem uczucia, że moje dotychczasowe wyobrażenia biorą w łeb: ujrzałem nagle, że chcąc odkryć prawdę o tej wyspie, trzeba zacząć od drugiego końca.

Było to nocą: wracałem samolotem z podróży w głąb wyspy. Pilot poprosił mnie do swojej kabiny: lądowaliśmy. Samolot pikował już nosem w mrowie klejnotów, między diamenty, rubiny, turkusy.

I naraz przypomniała mi się jedna z ostatnich rozmów. Właśnie ona nie pozwoliła mi podziwiać tego archipelagu ognia na czarnej szybie morza. Te bogactwa nie były kubańskie. Produkcję i dystrybucję energii elektrycznej dla całej wyspy zapewnia towarzystwo amerykańskie. Zainwestowało ono na Kubie "jankesowskie" kapitały, lecz jego siedziba jest w Stanach Zjednoczonych i tam się ściąga zyski.

Ognie rosły, klejnoty pęczniały, stawały się olśniewającymi owocami, darł się dywan nocy; widziałem, jak na ziemi ukazują się świetliste łuny, ale mówiłem sobie: "To błyszczą obce złoto".

Od tej pory wiedziałem, że gdy wieczorami przekręcę kontakt, mój pokój dobywa się z nocy dzięki obcemu towarzystwu — temu samemu, powiedziano mi, które ma monopol na elektryczność we wszystkich, czy prawie wszystkich, państwach Ameryki łacińskiej. I tak uzyskała swój rzeczywisty sens owa pochodnia, którą wznosi w nowojorskim porcie olbrzymi i czczy posąg Wolności:

Amerykanie z Północy oświetlają Nowy Świat sprzedając mu elektryczność za drogie pieniądze.

Telefony na Kubie również należą do amerykańskiego towarzystwa, które zainwestowało w ten interes nadmiar swoich kapitałów. Kiedy więc Kubańczycy telefonują do siebie, ich rozmowa odbywa się koniec końców za życzliwym przyzwoleniem Stanów Zjednoczonych.

Pojąłem teraz wszystko na wspak: to, co dotąd uważałem za oznaki bogactwa, okazało się w istocie oznakami zależności i ubóstwa.

Za każdym dzwonkiem telefonu, za każdym błyskiem neonu jakaś cząstka dolara opuszcza wyspę i, wraz z innymi, które już na nią czekają w Stanach Zjednoczonych, znów się tam zrasta w cały dolar.

Co powiedzieć o kraju, którego instytucje użyteczności publicznej stanowią dzierżawę zagranicy? Przeciwność interesów. Co mogą zrobić Kubańczycy temu olbrzytemu trustowi, który monopolizuje energię elektryczną we wszystkich państwach Ameryki łacińskiej? Ma on bez wątpienia swoją politykę zagraniczną i Kuba jest jedynie pionkiem na szachownicy. Otóż spoistość narodu zależy od stopnia łączności istniejącej między jego obywatelami. Jeżeli ktoś obcy — kim by on nie był — z mniejszą czy większą regularnością narzuca się obywatelom jako stały pośrednik, jeżeli trzeba przez niego przejść, aby oświetlić miejsce pracy, miejsce nauki, czy nawet mieszkanie prywatne, jeżeli elektryfikacja wsi jest postanawiana lub odraczana w innej stolicy, przez mieszkańców innego kraju i w zależności od interesów innego kraju, wtedy naród się kruszy i u samego stosu pacierzowego jego spoistości powstaje kawerna: urywa się łączność między obywatelami. Monopole Stanów Zjednoczonych wprowadzają na Kubę państwo do państwa. Panują nad wyspą wycieńczoną krwotokiem dewiz.

Za każdym razem, kiedy portowe żurawie składały na bruku nabrzeża nowe auto — auto fabrykacji amerykańskiej — krew wyciekała mocniej i szybciej. Mówiono mi: "Te auta kosztują nas rocznie miliardy".

Przyjrzałem się im lepiej i wreszcie dojrzałem na nich pierwszy ślad pazura Rewolucji; o, były, oczywiście, wypieszczone: ich nikle i miedzie lśniły. Tylko że były to wozy już nie najpierwszej młodości: najnowsze liczyły sobie czternaście, może osiemnaście miesięcy; w Chicago, w Milwaukee ich bliźniaki leżały na cmentarzach samochodów. Wyrzucone.

Kuba wypadła z kursu; rząd wiedział, co robi, gdy tak mocno uderzył w import przedmiotów luksusu; właściciele aut nie byli już w stanie dotrzymać kroku rytmowi kontynentu.

Siedząc wzrokiem nieustającą defiladę limuzyn, która jeszcze wczoraj mnie zdumiewała, powiedziałem sobie, że to defilada umarłych — i że właśnie Rewolucja, narzucając o nie dbałość, stała się ich wskrzesicielką: nie można było pozwolić, żeby wyszły z użytku.

Te wozy kubańskiej adaptacji będą służyć Kubie jeszcze długie lata. Po dziesięciu czy dwudziestu naprawach pozwolą zatrzymać na wyspie dziesięć, dwadzieścia razy więcej milionów, niż kosztowały. Przynajmniej na tym odcinku krwotok został zahamowany.

Wkrótce jeszcze lepiej zrozumiałem system, który doprowadził do zatłoczenia ulic Hawany tymi ciężkimi machinami. Trudno było nie zauważyć, że się w nie pakuje po sześć, siedem osób i że ich właściciele są ubrani skromnie, niekiedy biednie.

Posiadanie auta w Europie idzie w parze z komfortem mieszkaniowym, z zamożnością. Najczęściej kupują je klasy średnie.

Ale Kuba przez długi czas pozostawała pod wpływem Stanów Zjednoczonych: amerykańskie drobnomieszczaństwo i najlepiej płatni robotnicy mają, na kontynencie, środki na zakupienie auta.

Kubańczycy naśladowali Jankesów nie mając ich środków. Koniec końców najdroższe marki były dostępne dla portfeli dość anemicznych — pod tym jednym warunkiem, że się będzie przymierało głodem. Kubańczycy przystawali na to, żeby w swoich własnych czterech ścianach przymierać, ale za to móc się pokazać publicznie przy kierownicy chryslera.

Nauczyłem się także patrzeć inaczej na Vedado i jego drapacze chmur. Pewnego wieczoru zacząłem pytać - Franqui, dyrektora dziennika "Rewolucja", o tę gorączkę, która w 1952 roku opanowała Vedado. Któż to tam budował? Kubańczycy. Za czyje pieniądze? Kubańczyków. — Tacy są bogaci?

— Nie to — odpowiedział. — Co prawda, wchodziły również w grę duże sumy inwestycyjne, ale przede wszystkim budowali drobni i średni ciułacze. Niech pan sobie wyobrazi sklepikarzy w podeszłym wieku, którzy przez całe życie zaoszczędzili pięć, dziesięć tysięcy dolarów. W co mieliby według pana inwestować, jeżeli przemysł kubański nie istniał?

— Nikt im nie proponował, żeby go stworzyć?

— Czasem awanturnicy, spryciarze, którzy w ten sposób chcieli ubić własny interes. Nigdy się to dobrze nie kończyło: wielcy posiadacze mówili wprost, że tego nie lubią; nierozważny fabrykant musiał więc w końcu zrozumieć. Zresztą i tak nie sprzedałby nawet najmniejszej akcji. Taki u nas zwyczaj, że wszystko w budownictwo. To najpewniejsza lokata według naszych klas średnich.

Mam wrażenie, że teraz widzę na przestrzał te wielkie gmachy, te współczesne pałace, i odkrywam ich pochodzenie w złych nawyczkach kraju niedorozwiniętego gospodarczo.

Na Kubie bogactwem jest ziemia; to ona daje kilku rodzinom miliardy i niemalże szlachectwo. Mieszczanie, zapatrzeni w pozorną nieruchomość ziemi, wyobrazili sobie, że właśnie ten bezruch zapewnia trwałość dochodów z posiadania gruntu.

W braku ziemi uprawnej, nabywali inne tereny; nie mogąc na nich siać, pokryli je budowlami; woleli złudną stałość czynszów od przygody przemysłowej. Maszyny się obracają, maszyny się zmieniają i zmienia się także maszyny — wszystko w ruchu: dokąd nas to zawiedzie?

Natomiast dobra, jakimi są "nieruchomości", budzą zaufanie już samą swoją nazwą, kamień budowlany jest nieruchomy, więc niezmienny; droga jest pewna, bo trwa się w miejscu.

Drobni bogacze biednego kraju rzucili się za namową Batisty i otaczających go spekulantów w szaleńcze przedsięwzięcie konkurowania z Miami — nie widząc jego konsekwencji. Dzisiaj te wszystkie wspaniałe nieruchomości zostały im na karku. Drapacz chmur z Vedado to kopia, która jest zaprzeczeniem oryginału: w Stanach Zjednoczonych była najpierw maszyna i to ona zdecydowanie określiła styl budownictwa mieszkaniowego. Na Kubie run "skyscrapersów" miał tylko jeden sens: obnażył upartą niechęć oszczędzającego mieszczanina do industrializacji kraju.

II

Rewolucja to końska kuracja: społeczeństwo młotem druzgocze sobie kości, rozwala swoją strukturę, obala swoje instytucje, zmienia system własności i rozdziela jego dobra, orientuje produkcję według innych zasad, usiłuje jak najszybciej zwiększyć współczynnik jej wzrostu i chce odbudowywać w momencie jak najbardziej radykalnego niszczenia; chce uzyskać nowy szkielet na drodze przeszczepień kostnych; lek to ostateczny, często trzeba narzucać go siłą.

Eksterminacja przeciwników i niektórych sprzymierzeńców nie jest czymś nieuniknionym, ale roztropność nakazuje być i na to przygotowanym.

A po tym wszystkim nie ma nawet najmniejszej gwarancji, że wewnątrzni i zewnętrzni wrogowie nie zniszczą nowego porządku w samym jego zarodku lub też, że zwycięski ruch — o ile okaże się zwycięski — gdzieś nie skreśli w następstwie walk, które stoczył, a nawet i w następstwie swego własnego zwycięstwa.

Wypada przyjąć, że do tak ryzykownej metamorfozy odnoszą się z obawą i sami uciemienieni, przynajmniej tak długo, póki ich warunki życia są choćby jako tako znośne.

Masy decydują się na to w ostateczności, kiedy już nie ma innej deski ratunku, kiedy już spróbowano wszystkiego: podwyżki płac, wzajemnych ustępstw, reform. Czy można zresztą powiedzieć o nich, że się decydują?

Zazwyczaj ciskają je w rewolucję wielkie kataklizmy. Decydują za nie ruina i głód, obca wojna i klęska, zmuszając czasami nawet partię rewolucyjną do ujęcia władzy w nieodpowiednim momencie.

Tutaj zaskoczyło mnie to, że wrzenie zaczęło się tak niespodzianie. Nic go nie zapowiadało, żadna widoczna gołym okiem katastrofa. O cztery lata wcześniej zamach stanu dał władzę Batiście; przystano na dyktaturę z nie ukrywanej niechęci do swoich własnych, rozgadanych i przeżartych zgnilizną instytucji parlamentarnych.

A przecież któregoś dnia — dwudziestego szóstego czerwca 1952 roku — pewien młody adwokat nazwiskiem Fidel Castro rzucił się ze swoimi towarzyszami do szturm na koszary Moncade. Ujęto go, osadzono w fortecy, skazano. Opinia publiczna nie podtrzymała go zupełnie: "Co to za chwyt od bicia szyb? Też się wybrali! I co to dało? Gdyby Batista wpadł w złość, strzelałby do nas jak nic!"

Opozycyjne partie nie omieszkaly potepic smialka, ktoremu sie nie powiodlo. Kubańska partia komunistyczna mówila o awanturnictwie, "partia autentyczna" załamywała ręce, najbardziej surowa była "partia zachowawcza": Castro był w tym czasie jej członkiem.

— Lewica — mówili ci ludzie dojrzałi i rozważni — jest krajowi potrzebna, w niej jego nadzieje. Prezydent ją ze swej strony toleruje przez demagogię, by wywołać na kontynencie wrażenie, że na Kubie istnieje wolność opinii; robi to jednak pod warunkiem, że nie ruszy ona nawet małym palcem. No więc! Nie róbmy nic, ale trwajmy: czas pracuje dla nas! Nie może jednak jakiś niedorostek burzyć tej równowagi taką czy inną nieodpowiedzialną eskapadą.

Wyspę znowu przytłoczyła cisza. W dwa lata później jakiś kiepski doradca podpowiedział dyktatorowi, by zjednał sobie naród aktami łaskawości. Ułaskawiony, lecz proskrybowany Castro wyruszył do Meksyku. Ta fałszywa wielkoduszność nikogo nie zmyliła i chwilowo skorzystał na niej tylko on, Castro.

Znajdujący się u szczytu swojej potęgi dyktator, silny pięćdziesięcioma tysiącami żołnierzy i gotową na wszystko policją, sprzedawał Amerykanom cukier, uciechy, u Anglików kupował broń. Nie było widać, żeby nadchodziło bankructwo: wyspa, oczywiście, nie miała zbyt dobrej miny, ale to był jej stan chroniczny; co do samego Batisty, jego kasy pęczniały dolarami.

Szef policji uwielbiał reżim, nie pragnął niczego innego, jak tylko służyć mu do śmierci. Każdego dnia dostawał dziesięć tysięcy dolarów z zysków, jakie przynosiły domy gry w Hawanie. Dzień mijał za dniem, a wszystkie były do siebie podobne, przynajmniej na pozór.

Spekulanci spekulowali, geszefciarze robili geszefty, bezrobotni byli bez roboty, turyści rozpływali się w zachwytach, a niedożywieni, zżerani przez gorączkę i robactwo chłopci pracowali dwa dni w tygodniu na ziemi, która należała nie do nich.

Na każdym z dwóch Kubańczyków tylko jeden potrafił czytać, ale też nie czytał: kontrolowane twardą ręką gazety stawały się nieczytelne; cenzura buszowała również po książkach, ogałacała biblioteki, uniwersytet.

Opozycyjne partie wciąż rozprawiały: uważały się za strażniczki wolności demokratycznych; wszystkie, nawet partia komunistyczna, domagały się wyborów. Ich głos stawał się z roku na rok cichszy, kraj go już nie słyszał.

Batista, rzecz jasna, był znienawidzony, ale nikt nie miał pojęcia, co wprowadzić na jego miejsce. A gdyby ktoś zaczął mówić ludziom o głosowaniu powszechnym, roześmieliby mu się w nos. Krótko mówiąc: kraj pozornie pogrążony w rezygnacji, niezmiennie zło w ciągle tej samej temperaturze.

I nadszedł potem dzień, który nie zapowiadał się ani gorzej, ani lepiej niż inne. Od samego świtu, jak zawsze o tej porze, policja szła w obchód po spelunkach gry i zgarniała prowizję dla swojego szefa; o tej samej porannej godzinie brygada obyczajowa ściągała swój zwykły procent od ulicznych dziewczyn.

Gazety mówiły o Wall Street i życiu towarzyskim: kto poprzedniego dnia u kogo. Podawały listę gości, których przyjazd był najbardziej zaszczytny dla Kuby, prognozę pogody: pochmurno, silna bryza, najwyższa temperatura dwadzieścia osiem stopni na zachodzie, trzydzieści i nieco powyżej na wschodzie. Był to dzień drugiego grudnia 1956 roku. Jakby nigdy nic zaczęła się tego dnia Rewolucja.

Było ich osiemdziesięciu; przybyli z Meksyku tłocząc się na starej łajbie. Morze było mocno wzburzone; prawie tydzień przeprawiali się przez zatokę. Gdy drugiego grudnia stanęli na brzegu, myśleli, że już wyzioną ducha; wielu wyczerpanych wymiotowaniem ledwo się wlokło.

Czekali na nich żołnierze i policjanci; w mieście, które kilku młodych miało zmobilizować do powstania, by wesprzeć lądujących, rozruchy wybuchły w ustalonym dniu; burza opóźniła jednak przyjazd statku; młodzi powstańcy — sami, bez pomocy — zostali zmasakrowani.

Teraz siły porządku były w pogotowiu. Mały oddział podzielił się więc na drobne grupy bojowe. Jeden cel: góry. Tam się miano odszukać. Wielu się nie stawiło na miejsce spotkania; niektórzy zostali osaczeni, zabici lub uwięzieni; inni pobłądzili; jedna grupa zapuściła się aż do stolicy, by zorganizować tam siatkę podziemną.

Garść ludzi dotarła na szczyty Sierra Maestra, najwyższego na wyspie łańcucha gór; kryli się w fałdach chmur nieustannie spowijających górskie wierzchołki.

W dniu pierwszego stycznia 1957 roku sytuacja wydawała się jasna: armia i policja trzymały w rękę miasta i równinę; na skalnym grzbiecie czekała trzydziestkę "przestępców" śmierć głodowa, więc koniec końców będą musieli się poddać, o ile przedtem nie wprowadzi ich w zasadzkę jakiś chłop znęcony obietnicą nagrody.

W miastach wiele ludzi zdecydowanie wzruszało ramionami:

— Castro znowu narozrabiał. Teraz już po nim. Szykował zamach i zamachnął się głową w mur.

Któregoś dnia zetknąłem się w Hawanie z pewnym jego przyjacielem, towarzyszem walki od pierwszych dni. Powiedział mi z uśmiechem:

— Z początku, przyznaję, wyglądało to na pucz. Niezupełnie się z nim zgadzałem: "pucze" wygrywa się lub przegrywa w miastach; mała grupka spiskowców opanowuje znienacka ministerstwa, najważniejsze organa centralne, newralgiczne punkty stolicy. Swoje zwycięstwo, o ile zwyciężą, zawdzięczają zaskoczeniu. Miasto zasypia pod jednymi rządami, budzi się pod innymi.

A ci z drugiego grudnia? Postąpili wręcz przeciwnie, niżby im doradzał doświadczony organizator puczów: odrzucając zaskoczenie, które równoważyłoby różnicę sił po obydwu stronach, zaanonsowali się — umówili się na spotkanie z żołnierzami Batisty, bo tak można by to nazwać. Więcej: dali im swój adres; sprawili, że cała wyspa wiedziała o ich pobycie w Sierra Maestra; począwszy od drugiego grudnia wojskowe samoloty dzień w dzień patrolowały nad chmurami.

Jeżeli już od pierwszej chwili ich obecność była aż tak jawna, stało się to na pewno nie dlatego, żeby im brakowało zręczności: potrafili przecież, kiedy uważali to za konieczne, iść na nieprzyjaciela po kryjomu, uderzać i zniknąć. Kierując się jednak w góry, wzięli sobie za cel jedno: rozgłos. Najpierw dać się poznać. Ukrywać się przed pułkami Batisty, ale nie przed krajem. Niech cała wyspa będzie pełna wrzawy: liczyli na regularne oddziały, że swoimi rozkazami, stukotem butów, strzelaniną ogłuszą kraj.

Nie omylili się: siły ładu wnosiły wszędzie zamęt. Żyły z chłopą; zaczęły się kręcić wokół gór, a lud, który niekiedy z rezygnacją znosi uciemienie, gdy uosabia je twarz oficera osiadłego od dawna w okolicy, uznawał, że niepodobna tego znieść, gdy uciemienie przychodziło do niego pod nową maską.

Nie, to dążenie kilku młodych ludzi, żeby ściągnąć na siebie wszystkie siły reakcji, nie było fanfaronadą, nie było wybrykiem niedowarzeńców.

Brali na siebie ryzyko śmierci, by powiadomić współobywateli, że najwyższa okolica wyspy wymknęła się Batiście: za jednym zamachem i równina miała sobie uświadomić swoją niewolę, i 99% obszaru wyspy miało się przechrzcić na "ziemie, które należy wyzwolić".

Oczywiście, sprawy nie zaszły jeszcze tak daleko owej zimy z pięćdziesiątego szóstego na pięćdziesiąty siódmy rok: najpierw trzeba było natchnąć ludzi zaufaniem. A w tym celu — trzymać się; nic więcej; dać chłopom widowisko kolumn wczepionych w zbocza Sierry, wspinających się z trudem do połowy szczytów, schodzących z pustymi rękami i, nieco później, znów ruszających na wspinaczkę i znów spadających w doliny z głupim uporem much.

Rebelianci nie byli dość silni, żeby się bić: to miało dopiero nadejść. Najpierw należało się wymykać, stosując maksymalną ruchliwość wciąż się wymykać, a następnie, przy okazji, zapaść gdzieś w zasadzkę, otworzyć ogień, wywołać w jakiejś kompanii panikę, zniknąć.

Tę trudną, monotonną i niebezpieczną robotę należało rozpoczynać każdego dnia od nowa — tak długo, póki to będzie konieczne: aż nowi partyzanci zasilą ich mały oddział, aż się oddział lepiej dozbroi, aż już rzeczywiście stanie się groźny, aż skieruje ku sobie wszystkie nadzieje narodu, a lud, będący świadkiem tej nierównej walki, rozerwie łańcuchy sceptycyzmu i rezygnacji, by przeobrazić "wątpliwą walkę" w rewolucję.

Jak więc z tego wynika, przeciwieństwo puczu: młodzi ludzie — wyizolowani, a jednocześnie obecni w życiu publicznym — ryzykują własną skórą, aby w kraju rozkawałkowanym przez ucisk i pół wieku nędzy wskrzesić żądania i jedność narodu.

Wszystko, punkt po punkcie, urzeczywistniło się, jak przewidzieli. Mieli więc rację. Ale dlaczego?

Dyktatura ciążyła Kubańczykom, to pewne. Lecz jeśli jakiś kraj zniechęcił się z czasem do swoich demokratycznych instytucji, to długo może znosić rządy despoty: na politykę macha ręką. Wszędzie tak. I trzeba nieszczęścia, które byłoby nie do zniesienia, żeby lud się rzucił do szturmowania koszar, żeby gołymi rękami bił się ze zbrojnymi. Więcej: trzeba, aby nieszczęście bezustannie przybierało na sile.

Kiedy chłopcy stanęli po stronie rebeliantów i wzięli na siebie to śmiertelne ryzyko, że będą zabijać lub ginąć, wtedy rebelia zasłużyła sobie na ich zaufanie i nareszcie je zdobyła; lecz samo zaufanie nie wystarcza. Musiały być wypełnione przede wszystkim dwa warunki: bliskość strasznego nieszczęścia i zwiastowanie nowej nadziei, zapowiedź jakiejś nowej arki przymierza. O drugim z tych dwu warunków będę niebawem mówił; spróbujmy lepiej zrozumieć pierwszy.

Niebo, jak już powiedziałem, było pogodne; na wschodzie i na zachodzie wyspy nic nowego: marazm. Ponieważ Kubie nie groziło żadne wiadome niebezpieczeństwo, więc musiał ją pustoszyć jakiś podziemny kataklizm, jakiś

zawrotny i śmiertelny wir musiał wciągać wszystkie lub prawie wszystkie warstwy społeczeństwa, chociaż na pozór trwało ono w bezruchu; z dnia na dzień musiała wzrastać gwałtowność niewidocznego cyklonu, aż wreszcie, kiedy lud stanął za Fidelem Castro, społeczeństwo kubańskie musiało już być o "pięćdziesiąt" od punktu, w którym by doszło do zerwania.

Tak, to chodziło o Batistę! Zaczęłoby się, rzecz jasna, od wypędzenia go. Jednak istotny ciężar problemu polegał na czym innym: na tym, że albo się ten naród rozleci, albo od dołu do góry zmieni swoją strukturę.

To właśnie zrozumieli rebelianccy przywódcy; czekali, aż lud poczuje, że jest w sytuacji ostatecznego zagrożenia.

Wyspa żyła z cukru; lecz pewnego dnia dostrzegła w nim swoją śmierć. To odkrycie przemieniło rezygnację we wściekłość i, jak pragnął Castro, inercję w rewolucję. Zrobiłem z kolei i ja to odkrycie, gdy tylko opuściłem miasta i znalazłem się na wsi.

III

Pola trzciny cukrowej to widok, moim zdaniem, niezbyt wesoły. Na Haiti widziałem takie, o których mówiono, że nawiedzają je złe moce; pamiętam czerwoną ziemię wyboistej drogi i, w słonecznym upale, ich jakby kurzem pokrytą zgniliznę.

To samo wrażenie i teraz, na Kubie; nieprzenikniony tłum tłoczących się, obejmujących się, powiedzieć by można, że nawzajem okręcających się o siebie łodyg, a tylko gdzieniegdzie ledwo dostrzegalna szczelina między nimi: wysoki, głęboki, czarny tunel.

Jak okiem sięgnąć, wszystkie odcienie zieleni: zgniła, ciemna, jasna, grynszpan — wszystkie, byle agresywne. Co rok ścina się łodygę, a łodyga odrasta przez

siedem lat pod rząd. Ta gwałtowna i zaciekle płodność sprawiła, że czułem się tutaj, nie inaczej niż w Port-au-Prince, jakbym się znalazł wśród obrzędów jakiegoś roślinnego misterium.

Cukrownia była stąd o dwa kroki: właśnie tam szedłem. Dość gęsto rozsiane po wyspie przetwórczo trzciny znajdują się z dala od miast, w pobliżu plantacji. Wytwarza się w nich ten półprodukt, jakim jest nie-rafinowany cukier.

U wejścia do nich tracą swe prawa prace polne: kończą się ze zwaleniem wszystkiego na kupę. Z wozów zaprzęzonych w woły i z ciężarówek zrzuca się łodygi na szeroki pas transmisyjny: więc ścisk, więc chaotyczne spadanie zielonkawych, brudnawych gałęzi; w ślad za nimi nurkują do fosy chmary much, a pas unosi tę wszystką zieloność ku jej pierwszej metamorfozie: ku żelaznym szczękom, które je zmiędlą.

Otrzymuje się mętną limfę; trzcinowy odpad zostaje skierowany do kotłowni: trzcina daje w zasadzie i surowiec, i materiał opałowy — fabryka sama sobie wystarcza.

Szedłem przez nią jak przez rozpalony piec; zlany potem, w gęstej świcie aż nadto pamiętliwych much patrzyłem przez wziernik, obserwowałem przeobrażenia soku: widziałem parowanie cieczy, ciężkie falowanie melasy; na dnie którejś kadzi wirowała tarcza: ostatni zabieg przy użyciu siły odśrodkowej. Wszystko to kończy się załadowaniem w worki wilgotnych, brunatnych kryształów bez połysku.

Worki odstawia się do najbliższego portu i zwała je tam na statki — tak sądzę przynajmniej, bo już sam pobyt w cukrowni najzupełniej mi wystarczył: uciekłem.

O wiele bardziej niż żar przytłoczył mnie tamtejszy fetor: woń zwierzęcia — jak gdyby cukier był jednocześnie sokiem i potem.

Nie opuścił mnie on przez cały dzień, usadowił się w nozdrzach, w ustach, słodził mi mięso, ryż, papierosy, nawet fajkę. Jest w nim cikliwość właściwa naturalnej

destylacji, ale swoją nieco rdzawą lepkością zapowiada już gotowanie, wszelkie wymyślne zabiegi produkcji.

Koniec końców to właśnie przystoi półproduktowi w pełnym toku metamorfozy. Jestem pewien, że owej woni nie ma w wielkich rafineriach Stanów Zjednoczonych, które otrzymują ów wilgotny piach i robią z niego białe kostki cukru. Na Kubie się go nie oczyszcza: ta potężna woń jest tu nazbyt organiczna, to własna woń Kuby.

I to właśnie ją odnajdują Kubańscy w głębi gardeł, kiedy piją blade i chłodny produkt uboczny swojej głównej produkcji przemysłowej: *guarapo* — innymi słowy: ropę trzciny.

Wyspa nierafinowanego cukru! Któż jest na tyle silny, by mógł sobie pozwolić na zatrzymanie się w samym środku procesu przetwórczego! Mówi się często, że metropolie kupują od swoich kolonii surowce i żywność, nakładając tym samym hamulec na ich przemysł przetwórczy. Więc Kuba — wyspa opanowana przez jadalną roślinę, której nawet nie jest w stanie doprowadzić do jej ostatecznej metamorfozy — ma profil kraju skolonizowanego; na oko to widać. A wkrótce minie już przecież pięćdziesiąt lat od czasu, kiedy zdobyła niepodległość i suwerenność. Właśnie w tej pozornej sprzeczności wietrzyłem jakąś pułapkę, jeden z potrzasków, w które historia daje niekiedy złapać się temu czy innemu narodowi, by następnie zapomnieć o nim przez całe lata albo i wieki.

Plantacje trzciny cukrowej istniały przed 1900 rokiem. Nawet za Hiszpanów były tu amerykańskie inwestycje. Dumna niemoc właścicieli nie sprzyjała jednak wielkim koncentracjom.

Gdy w 1895 roku Kuba schwyciła za broń przeciw metropolii, wówczas zaledwie wychodziła z epoki feudalizmu: hiszpańsko-kubańska "wielka wojna" nie była zwyczajnie powstaniem antykolonialnym; kraj chciał zmienić swoją przestarzałą strukturę, ze stuletnim opóźnieniem przeprowadzić swoją rewolucję mieszczańską i

oprzeć swobody obywatelskie na liberalizmie gospodarczym, a prawo obywatelskie na prawie własności. Chciał mieć skromny, lecz wydajny przemysł: przetwórstwo, szlifierstwo; tę operację miała zakończyć lekka kawaleria produktów konsumpcyjnych.

Wyspa pozostałaby jednak przede wszystkim rolniczą. Zaprowadzono by różnorodność upraw — aby mieć różnych klientów; proponowano by zbiory wszystkim — sprzedawano dającemu najwięcej. Jose Martí, zmarły przed zwycięstwem przywódca tej pierwszej rewolucji, pisał: "Kraj, który prowadzi handel z jednym tylko krajem, umiera".

Słowa Martíego uzupełnia, w sześćdziesiąt lat później, przemówienie Fidela Castro: "Nam, Kubańczykom, nigdy nie sprzyjało szczęście". Dziadowie tych, którzy dzisiaj słuchają Fidela, dali się nabrać: jeszcze jedna rewolucja, ich rewolucja, została wyprowadzona w pole. Chwycili za broń w złym momencie: bili się ze zramolałym, zdiadziałym kolonializmem, kiedy prawdziwi władcy świata wkraczali jeden po drugim w ostre stadium imperializmu.

Panowie w surdutach, wojskowi w mundurach zbierali się nad mapą i krechami ołówka dzielili świat między siebie. Stany Zjednoczone nie mogły pozostać na uboczu: wzrost produkcji je niepokoił: potrzebne były rynki dla nadwyżek produkcyjnych, potrzebne były pewne lokaty dla nadwyżek kapitałów.

Doktryna Monroego zmieniła sens: początkowo była definicją pewnej polityki. Prezydent Stanów Zjednoczonych James Monroe ogłosił drugiego grudnia 1823 roku orędzie, w którym zawarł żądanie "Ameryka dla Amerykanów": Stany Zjednoczone, mówił, nie będą interweniować w sprawy Europy, ale Europa przestanie uważać Amerykę za teren swojej pokojowej kolonizacji. Ameryka dla Amerykanów — ani mniej, ani więcej. Około 1900 roku gang aferzystów i polityków przetłumaczył tę zasadę na inny, nowy język: "Ameryka Południowa dla Ameryki Północnej".

Druga rewolucja przemysłowa, jej niebezpieczeństwa, niepokojąca masowość produkcji i straszliwe kryzysy, w jakie była brzemenna — oto zjawiska jeszcze rozproszone, jeszcze źle pojmowane, a równocześnie jednak zwiększające zyski i odsłaniające kruchość systemu. W nich to należy widzieć początki cichej, przeprowadzanej milczkiem metamorfozy: wolność produkcji i wolność konkurencji znikły; zrodziły się trusty.

I w tym tkwił pech Kubańczyków; przez całe stulecie podziwiali Stany Zjednoczone; ich wielcy banicy studiowali z bliska wolną grę konkurencji przedsiębiorstw, powiązania praw obywatelskich z systemem własności. A kiedy silni tym przykładem zaczęli wojnę, ich model już nie istniał: za fasadą liberalizmu krył się imperializm trustów, którego pierwszą ofiarą mieli paść oni — Kubańczycy.

Teodor Roosevelt jeszcze nie był prezydentem USA: był człowiekiem imperializmu (jak nieco wcześniej teoretykiem kolonializmu stał się nasz Jules Ferry). Jego listy nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, co zamyślał; według niego istniała dla USA tylko jedna możliwość inwestowania nadwyżek kapitałów: rzucić je na nowe kraje tej drugiej Ameryki, a zwłaszcza na Kubę, której cukier był rzeczą ponętną.

Podczas gdy Kubańczycy się bili, zabrano się do studiowania kubańskiego problemu; purytanie wpadli w ekstazę, uznali, że Bóg błogosławi ich dziełu: interes zapowiadał się lepiej, niż ktokolwiek myślał; mówiąc jaśniej, trzeba było mieć tylko głowę na karku, żeby uzyskać nadspodziewane rezultaty.

W Stanach Zjednoczonych południowi plantatorzy buraka cukrowego i nieliczni plantatorzy trzciny cukrowej produkowali mało przy jednocześnie wysokich kosztach własnych; nie potrafili zaspokoić potrzeb kraju, a i to jeszcze trzeba było ich chronić specjalnymi taryfami.

Kuba była darem opatrności: wystarczyłoby ją włączyć w obwód zamknięty; pod ochroną protekcjonizmu celnego kontynentalni producenci ustalaliby ceny w

zależności od swoich kosztów, nie przejmując się cenami na rynku światowym; rynek wewnętrzny będzie wchłaniał ich produkcję, a brakującą resztę dostarczyliby plantatorzy kubańscy; aby uniknąć załamania się kursu, kupowano by cukier z wyspy po tej samej cenie co i od plantatorów z kontynentu. Pierwszą konsekwencją tego przywileju byłoby związanie wyspy z kontynentem.

Kubańczycy walczyli; armię hiszpańską dziesiątkowały epidemie. Nagle eksplodował "Maine". Profesorowie historii, nawet amerykańscy, nie mogą się dzisiaj powstrzymać od dyskretnego uśmiešku w kącie warg lub oczu, gdy wspominają tę eksplozję amerykańskiego okrętu wojennego. Jednak były tam i ofiary. Więc amerykańska opinia publiczna zawrzała.

Monroe — człowiek — oraz szlachetność purytańska rzucili Stany Zjednoczone na wyprawę krzyżową przeciw Hiszpanii. Stara monarchia krwawiła; ściągnęła swoje macki do Europy.

Zanim osłupiali Kubańczycy zdążyli podziękować sprzymierzeńcom, ci już zmienili się w okupantów: podpisany w Paryżu traktat przyznawał im tymczasowe rządy nad wyspą.

Zostali na niej cztery lata: czas potrzebny na osadzenie w siodle aparatu dyspozycyjnego. Kiedy wreszcie, w 1903 roku, ustąpili miejsca mieszkańcom wyspy, niczego nie zaniedbali, żeby uczynić z rodzącego się narodu monstrum podobne do strasburskich gęsi, które powoli umierają w mękach spowodowanych nazbyt rozrośniętą i nie mniej smakowitą wątróbką.

Przewidzieli nawet drgawki, konwulsje kraju: wprowadzona do konstytucji poprawka Platta dawała wyzwolicielom prawo powrotu w wypadku zamieszek (to znaczy, kiedy będą mieli na to ochotę) i wyzwalała braci kubańskich tak często, jak zajdzie potrzeba.

Żyzność wyspy stanie się jutro jej szczęściem; w 1902 roku była źródłem jej nieszczęść. Gdy w ziemię kubańską wsadzić kij, kij zakwita: jest to okolica świata, gdzie koszt trzciny cukrowej jest najniższy.

Dzięki układom zawartym z Jankesami, wyspa sprzedawała swój cukier po cenie najwyższej. Nie dalej jak wczoraj amerykański ambasador, zirytowany wizytą Mikojana na Kubie, opublikował takie ostrzeżenie: rząd kubański sprzedaje Związkowi Radzieckiemu 20% swoich zbiorów po cenach światowych; ma prawo, owszem. Ale gdyby USA postanowiły płacić za cukier tę samą cenę, Kuba traciłaby rokrocznie 180 milionów dolarów. — Spróbujcie — odpowiedzieli najzwyczajniej przywódcy kubańscy.

Wiedzą bowiem nie od dziś, że amerykańscy plantatorzy buraka cukrowego i wyspiarscy plantatorzy trzciny są solidarni w swoich interesach. Jeden i ten sam produkt będzie drogi w Nowym Jorku, a tani w Moskwie — tak chciał Teodor Roosevelt, tak chcieli po nim wszyscy gospodarze Białego Domu.

W całym świecie, jak wiadomo, kapitały marzą o jednym i tym samym: finansować przedsiębiorstwa, które by po najwyższej cenie sprzedawały towary wyprodukowane po najniższej. Począwszy od 1902 roku nadwyżki dolarowe ruszały w drogę z Pittsburgha, z Detroit, z Chicago i zlatywały na dziewicze ziemie nowego Edenu.

Pieniądz przemysłowy, produkowany na kontynencie przez stal i maszyny, stawał się cukrem, skoro tylko dotknął wyspy: nabywał pola, pokrywał je trzcina, wznosił przetwórnice trzciny, w których międził łądygi, by zebrać ich mętną ciecz.

Ulegał metamorfozie, lecz jedynie chwilowo: jankesowski cukier z Kuby sprzedawany przez jankesowskich właścicieli jankesowskim konsumentom zmieniał się w dolary, skoro tylko wyładowano go na kontynencie; dolary powracały, o wiele liczniejszą gromadą, tam, skąd przyszły: przydzielano je akcjonariuszom w formie najpiękniejszych dywidend świata.

Teodor Roosevelt sięgał wzrokiem jeszcze dalej: wysyłanie złotych i srebrnych monet na staż do biednego kraju to tylko jeden aspekt imperializmu gospodarczego. Może najbardziej bezpośredni, najbardziej efektywny, ale nie najgłębszy. Hypertrofia trzciny cukrowej sprawiała, że kluczowym sektorem kubańskiej gospodarki stawała się właśnie trzcina; inne, rugowane uprawy albo zanikały, albo nie mogły się narodzić. Te z nich, które stawiały opór, odosabniano, jak najbardziej ograniczano. Przemysł cukrowy rozwijał się kosztem innych przemysłów.

Jaką szansą imperializmu jest to, że już sam mechanizm dominacji gospodarczej rodzi u ciemżonego potrzeby, które może zaspokoić tylko ciemżca. Wyspa-diabetyk, wyspa wyniszczona urodzajem jednej jedynej rośliny, traciła wszelką nadzieję, żeby się mogła sama wyżywić.

Układy cukrowe miały na to radę: purytańska szczodrość przyrzekła zaspokajać wszelkie potrzeby wyspy. Kontynentalni przemysłowcy będą więc im dostarczać po zwykłych cenach produkty fabryczne, amerykańscy rolnicy będą więc poczuwać się do obowiązku sprzedawania kubańskim chłopom artykułów żywnościowych.

Należy przyznać, że początkowo Kubańczycy nie posiadali się z zachwytem. Wszystko zaczynało się jak w bajce: cukier zmieniał się w złoto!

W 1901 roku Stany Zjednoczone spożyły 2 963 000 ton cukru, z tego tylko 550 pochodziło z Kuby. W niecałe dziesięć lat później stosunek jest już całkowicie odmienny — 1911 rok: 1674000 ton cukru kubańskiego na 3800000 ton niekubańskiego, 1925 rok: 3923000 na 6 934 000.

Znaczy to również, że w pierwszym roku tego wieku wyspa sprowadziła z USA 27 milionów dolarów; w dwadzieścia pięć lat później trzcina cukrowa przyniosła jej 193 miliony. Wieść o tym dotarła aż do Europy: ubodzy Hiszpanie wyruszyli do

swojej dawnej kolonii jako emigranci. Długie, lepkie bambusy pokryły wyspę: trzcina stanowiła 25% produkcji.

Trzeba było całego ćwierćwiecza i pierwszego kryzysu gospodarczego, żeby młody naród otrzeźwiało. Upity zwycięstwem w 1901 roku, przyjął dwuznaczną propozycję; oto będzie mógł sprzedawać swój główny produkt po cenie przewyższającej jego wartość; otrzymał niewiarygodną ofertę — z czystej sympatii do siebie.

Rzecz jasna, w ofercie była pułapka; kubańscy notable rzucili się w nią głową naprzód. Za nimi poszła początkowo cała wyspa, którą oślepiło to jej nagłe i szalone bogactwo, ta złota kurzawa nad jej polami.

Dwadzieścia pięć lat krótkowzroczności i bezwładu, innymi słowy: dwadzieścia pięć lat współodpowiedzialności. Kuba się sprzedała; kiedy się spostrzegła, było za późno. Moźny protektor trochę pogardzał swoją utrzymanką; by mocniej trzymać ją w rękę, narzucił jej styl życia ponad stan.

Począwszy od tego okresu najbardziej dalekowzroczni Kubańczycy zrozumieli, że bilans handlu z USA zawsze już będzie ujemny. Amerykanie wrzuszali ramionami, kiedy z tego powodu wyrzekano przed nimi.

— Kuba to kraj wyspecjalizowany — mówili. — Niech pracuje dla nas, my będziemy pracować dla niego.

Pracowali tak dobrze, że zarzucili całą wyspę swoimi towarami — począwszy od buldożerów i mechanicznych dźwigów, poprzez elektryczne pralki, skończywszy na papierosach.

W dziedzinie rolnictwa sprawy zaszły tak daleko, że naród żyjący na najżyźniejszych ziemiach obydwu Ameryk musiał sprowadzać z USA trzecią część — a w pewnych dziedzinach połowę — swoich podstawowych produktów żywnościowych. Jak zobaczymy dalej, Kuba mogłaby je z powodzeniem produkować nie umniejszając zbiorów trzciny nawet o jedną łodygę.

Oznacza to jasno, że płaciła w dolarach za prawo posiadania odłogów.

Te nie uprawiane, dzikie obszary padły ofiarą nie tyle monokultury, ile opierającego się na niej reżymu społecznego; ich przeciwwagę stanowiły tysiące hektarów pieczolowicie uprawianych gdzieś w Ohio, w Utah, w Kalifornii. Ziarno, którego nie siano na wyspie, rośliny, które na niej nie rosły, były gorliwie pielęgnowane na kontynencie; zajmowały w USA rozległe przestrzenie, jakąś całą Kubę kontynentalną, która żywiła tamtą, wyspiarską.

Z amerykańskich portów płynęły na Kubę statki z lodówkami i pomidorami. Za swój cukier Kubańczycy otrzymywali dolary — ale nie widzieli na oczy ich pięknego koloru: dewizy były wydatkowane z góry; zostawały w USA, w bankach, na pokrycie zakupów. A i to było ich za mało: wszystko przecież musiało być importowane, bo niczego nie produkowano.

Sytuacja wyglądała jeszcze nie najgorzej, kiedy import i eksport wzrastały równomiernie: łatano dziury przelewając na amerykańskie konta dochody uzyskane w innych sektorach eksportu.

Wystarczy jednak powiedzieć, że Amerykanie sprzedawali gotowe produkty w zamian za surowce lub półprodukty. W Waszyngtonie otwierano konta, ale wszelkie kunsztowne bilanse nie bez kozery coraz słabiej maskowały rzeczywistość: nieustającą wymianę towarów; na Kubie pieniądz był niewidoczny, bo Amerykanie go nie dawali, a zgarniali wszystko; w Waszyngtonie była to wartość ujemna: rosnący bez przerwy dług kubański.

Bo rósł. Wciąż szły lata siedmiu krów chudych; Kuba zwlekała, odmawiała pokrycia deficytu.

Amerykanie okazywali wyrozumiałość, w dalszym ciągu dostarczali aut i lodówek; udzielali wszystkim kredytu, podczas gdy kraj pełzył na czworakach pod ciężarem drapaczy chmur i maszyn, a każdy nowy rząd odkrywał w momencie

obejmowania władzy finansy w długach, zrujnowaną gospodarkę i dyskretnie przypomniane, lecz bezlitosne zobowiązania.

W niektórych krajach — niewątpliwie krajach bardzo zacofanych — zdarza się, że pracodawca wprowadza poddaństwo wykorzystując długi swoich pracowników; wystarczy tylko skupić wiarygodności, a dłużnicy będą harować, żeby się wyzwolić, lecz aby harować, muszą jeść; będą się więc zadłużać, by móc pracować; nie wyzwolą się nigdy.

Tak było z Kubą do pierwszego stycznia 1959 roku; miała jednego pracodawcę. Jednego jedyne go pracodawcę, jednego dostawcę, jednego lub prawie jednego klienta, jednego wierzyciela. Zużywała siły, męczyła ziemię produkowaniem cukru — w nadziei, z każdym dniem bardziej daremnej, że odzyska wolność. Zdanie Martiego nabrało nowego sensu; powtarzano je z niewesołym uśmiechem: "Kraj, który sprzedaje tylko jednemu krajowi, umiera".

Czy warto było się bić tak długo z Hiszpanią, żeby pewnego dnia zostać sam na sam z jedynym i wszechmocnym klientem?

W Waszyngtonie rząd i kongres podejmowali jednostronne decyzje w sprawach cukru. Definitywnie, bez prawa odwołania się od ich decyzji, ustalali cenę za tonę, ustalali globalną wielkość importu, ustalali "quota", tzn. procent cukru kubańskiego w całości importu USA. Kuba mogła tylko milczeć. Przeciw sile mogłaby protestować. Ale siły nie było. Chyba że niewidoczna. Te autorytatywne dekry opierały się na potędze pieniądza, na układach, które przywódcy kubańscy dobrowolnie podpisali: Waszyngton trzymał rząd wyspy za gardło z tej prostej racji, że był i będzie jedynym spośród wszystkich możliwych klientów, który płaci za cukier powyżej kursów światowych.

Spółeczeństwo i gospodarka Kuby rozwijały się od 1900 roku w oparciu o te wysokie ceny. Gdyby USA przestały się interesować — co prawie niemożliwe — swoim stałym dostawcą i gdyby nie posiadająca ani przemysłu, ani rezerw Kuba

była zmuszona tanio sprzedawać, nie przestając jednocześnie kupować produktów fabrycznych za granicą, nastąpiłaby ruina: spadając z tak wysoka na zwykły rynek światowy, wyspa skreśliłaby kark.

Ofiara fałszywej obfitości maskującej zadłużenie, kraj dławiący się swoim przywilejem ujrzał w luksusie swych bogaczy koszmar: ledwie przesłoniętą groźbę głodu.

Oczywiście obniżanie ceny nie leżało w interesie Stanów Zjednoczonych; musiałyby one zarazem zarzucić swoją politykę: poza tym miały na wyspie — zwłaszcza w cukrze — inwestycje, które należało chronić.

Pozostawała kwestia konkurencji zagranicznej: Kubańczycy mieli w Ameryce lacińskiej rywali, którzy wcale nie byli od tego, żeby ich zastąpić.

Waszyngton mógłby kupować u nich więcej — obcinając z roku na rok "quota" kubańską. Rząd USA był świadomy swojej siły; nawet lubił ją okazywać: — A gdybyśmy tak zmniejszyli "quota", co? Krótko mówiąc: szantażował ten "suwerenny" naród, a naród dawał się szantażować, bo co miał począć.

IV

Czy lepiej budować na cukrze, niż budować na piasku? Gorzkim doświadczeniem zdobyła Kuba wiedzę o własnej kruchości. Z powodu cukru znalazła się w rękach Amerykanów i także z powodu cukru trafiały w nią następstwa oddziaływania świata na Amerykę.

Zależnie od wydarzeń i kryzysów jej władca albo ją skłaniał do produkowania, albo hamował produkcję. Najpierw tak dalece nie szczędził bodźców, że w 1925 roku wydarł jej pięć milionów ton.

W pięć lat później bez ceregieli pchnął ją w mal-tuzjanizm; wyspa zastopowana taryfami Hawleya-Smoota wróciła do dawnego kwantum: dwa miliony ton.

Musiało minąć siedemnaście lat, żeby w grę weszły znów ilości z 1925 roku. Pięć milionów ton w roku 1947. Wszystkie rekordy zostały pobite w roku 1952: siedem milionów ton — tylko że natychmiastową tego reakcją był kryzys nadprodukcji.

Przyszedł Batista; uważał, że z produkcją należy tak jak z gorączką: czym prędzej doprowadzić do jej spadku. W ciągu jednego roku spadła z siedmiu milionów do czterech; łatwo odgadnąć, że lek okazał się gorszy niż choroba.

Być może, cyfra "optymalna" mieści się gdzieś między czterema i pięcioma milionami ton. Ale cóż z tego, kiedy kubański cukier to lekkoduch; stałość abstrakcyjnego "optimum" nie przynosi bogactwa, a jego nagłe i ostre wstrząsy powodują ruinę.

Kubańczycy tylko tego jeszcze nie rozumieli, że hipertrofia cukru zniszczyła lub zafałszowała całą strukturę ich społeczeństwa. Ze ten jakże daleki od sprzyjania sprawiedliwemu podziałowi dochodu narodowego typ monokultury zbudował bogactwo jednych na nędzy drugich.

W 1900 roku Kuba zaledwie wyszła z feudalizmu. Jej gospodarka wyglądała wówczas na przejściową: mało wielkich posiadłości, mało przemysłu, przerzedzona burżuazja, rzemieślnicy, głównie rolnicy.

Tę fazę rozwoju często nazywa się "przedkapitalistyczną" — i tak ją zwłaszcza nazywają sami Kubańczycy. Układy cukrowe przyśpieszyły metamorfozę — wypaczając ją. Od samego początku zahamowane zostały i uprzemysłowienie, i koncentracja przemysłowa.

Natomiast koncentracji ziemskiej sprzyjały napływy kapitałów amerykańskich i, w drugim rzędzie, wahania "quota", co rujnowało najmniej bogatych. Wielkie majątki zaokrąglają się, połykały małe, które nie mogły im sprostać.

W okresie owego półwiecza kubańskim właścicielom powiodło się, owszem, odzyskać ziemię kubańską: w 1939 roku amerykańskie przedsiębiorstwa rolne produkowały 55% zbiorów, kubańskie 22%; później stosunek odwraca się: 62%

zbiorów produkują Kubańczycy, 36% Amerykanie. Jednak tak czy owak następuje przyspieszenie koncentracji; 161 przedsiębiorstw rolnych posiada lub kontroluje 184 000 *caballerias* (*caballeria*: mniej więcej trzynaście hektarów), to znaczy 27% gruntów kraju.

Właściciele nie ma na miejscu; żyją w Hawanie, w Nowym Jorku; podróżują do Europy; ich rządcy wyznaczają pracę robotnikom sezonowym. Ci pracują cztery miesiące: cztery miesiące zarobku, od grudnia do marca. Potem niech sobie idą, gdzie im się żywnie podoba, diabli z nimi. Więc przez osiem miesięcy muszą żyć bez roboty; zadłużają się to u wiejskiego sklepikarza, to u pracodawcy. Kiedy w osiem miesięcy później znowu przychodzą, ich przyszły zarobek jest już z góry zjedzony przez te niebezinteresowne pożyczki.

Dla tych ziem bez ludzi — uprawianych przez ludzi bez ziemi — Kubańczycy mają nazwę, którą w czasach antycznych określano wielkie posiadłości: *latifundia*. Jak za czasów rzymskich charakterystyczne są dla nich: nieobecność właściciela, niskie koszty uprawy w stosunku do jej wielkiego obszaru, rozległe przestrzenie odłogów.

Czy to cukier domaga się tego wszystkiego? I tak, i nie. Z uprawą trzciny cukrowej wiąże się, bez względu na rodzaj rządów, koncentracja ziemi; natomiast układy cukrowe domagają się latyfundiów.

W interesie USA leży, żeby ich rolnicy (o czym była już mowa) zajmowali się za wygórowaną opłatą żywieniem specjalistów: kubańskich chłopów. Monokultura daje podwójny zysk: po pierwsze przez to, w co obradza, po wtóre przez to, co udaremnia uprawiać.

Jeśli Kubańczycy sadzili ryż, uprawiali pomidory, co by poczęli rolnicy z kontynentu? Jasne, że Amerykanie wcale nie chcieli, aby trzcina cukrowa zarosła wyspę po brzegi: obawiali się nadprodukcji, zatłoczenia rynków, kryzysów. Ale — mówili — po co pozbawiać nie uprawiane tereny ich dziewiczej świeżości? To

przecież takie ładne: ziemia zupełnie dziewicza. Więc bierzcie zamówienia na cukier od nas i od tych nielicznych klientów, których aprobujemy, uprawiajcie i zbierajcie trzcinę zgodnie z waszymi zobowiązaniami, a poza tym niech wyspa trwa nadal w swym stanie naturalnym: zostawcie ją słońcu i morzu.

Wielcy właściciele uznali radę za słuszną. Im mniej zajmować się trzciną cukrową, tym lepiej.

Mówiłem już, że co siedem lat pali się roślinność plantacji, by przywrócić siłę wyczerpanej ziemi. Ale przez sześć kolejnych lat ścina się wciąż tę samą trzcinę, której kikut odrasta każdego roku i, począwszy od grudnia, czeka butnie na czarny sierp: maczetę.

Po co giąć grzbiet nad skrawkiem ziemi? Po co pracować na centymetrach, pokrywać wyspę miniaturowymi poletkami, kiedy wystarczy jeden gest, żeby zapłodnić tysiąc hektarów i zapewnić właścicielowi posiadłości siedem lat szczęścia? I także siedem lat podróży. Ścięta trzcina zmartwychwstaje i nadstawia się pod to samo ostrze. Po co tu obecność właściciela? Nic a nic się przez to nie zmienia; rządcą wystarczy.

Wszystkie stolice znały tych bladych i otyłych mężczyzn, nawet w Paryżu przytłoczonych ciągle wspomnieniem podróży, przed którą uciekali. Dla tych niepełnych — jak i ich cukier — produktów Europa była rafinerią; jeden z nich znał wszystkie znaczki pocztowe Niemiec, inny historię naszych gobelinów.

U siebie nawet pod swoją nieobecność byli barbarzyńcami, bo po rutyniarzku i z nawykową żarłocznością dewastowali najurodzajniejsze gleby, a resztę ziemi zostawiali chwastom.

Z posiadanych bądź kontrolowanych 180 000 *caballerias* uprawiali co najwyżej 120 000. Chcieli produkcji elastycznej i ostrożnej, która by dokładnie podążała za kapryśną linią wyznaczanych "quota".

Cudzoziemskim protektorom wyspy bardzo odpowiadało jej wyspecjalizowanie; ale i właściciel kubański dobrze na tym wychodził. Bo czegoż trzeba dla prowadzenia gospodarki ekstensywnej? Gromad robotników rolnych, którzy pracują trzecią część roku i których potem przepędza się aż do roku następnego.

Rolnictwo wielouprawowe domagałoby się — gdyby je na nieszczęście zaczęto stosować, jak to się stało w pewnych okolicach wyspy — techniki "intensywnej", ciągłej obecności rolnika: trzeba by wówczas rozwinąć całą sieć gospodarstw, folwarków; przestałoby się być panem u siebie.

Właściciele latyfundiów obawiali się, że chłopcy byliby wtedy mniej ulegli, bardziej świadomi swoich praw. Ścinacze trzciny niekiedy się burzyli, ale to przecież poczciwe chłopcy, analfabeci, wystarczy dać im za pracę kęs chleba.

Reżym latyfundiów i dobrowolne wyjaławianie Kuby szły z sobą ręką w rękę; narzucał to piekielny łańcuch cukru — tak dalece zresztą, że na odległość wywierał wpływ na najstarsze organizmy gospodarcze wyspy, na *ganaderias*.

Wprowadzona przez Hiszpanię przed wojną hodowla stanowiła do końca XVIII wieku główny dochód wyspy. Pokonana przez plantacje trzciny, zepchnięta na drugą pozycję, doszłusowała do swej zwyciężczyni, znajdując nawet w jej zwycięstwie bodźce do odnowienia bądź też rozwinięcia swoich starych tendencji kolonialnych: w 1958 roku hodowla przyniosła 100 milionów dolarów i dała zatrudnienie stu tysiącom ludzi. Z uwagi na tę swoją użyteczność hodowcy uznali, że mają pełne prawo zajmować 68% kubańskiej ziemi.

Pośród trzech tysięcy hektarów, które zagarnęli, były ziemie, rzecz prosta, rozmaite: urodzajne i mniej urodzajne. Ale jedne i drugie, jak popadło, zostały skazane przez garść obszarników na jałowość.

Bydło snuło się po tych rozległych obszarach wyspy, a kontynentalni producenci ryżu, pomidorów, fasoli zbijali fortunę. Z pomocą swych kubańskich wspólników

amerykański imperializm umacniał — bez jednego gestu, bez jednego słowa — feudalizm, który rzekomo zniszczyła jego siła wojskowa.

Hodowcy i plantatorzy służyli jankesowskim i swoim własnym interesom, gdy odciągali kraj od uprzemysłowienia.

USA obawiały się konkurencji; wielcy posiadacze lękali się załamania równowagi wewnętrznej: bo gdyby tak pozwolić przemysłowej burżuazji rozwijać się, gdyby chłopscy wyrobnicy zaczęli opuszczać pola i szli do fabryk, do czego by wtedy doszło?

Te kacyki przeprowadzały szantaż w imieniu Stanów Zjednoczonych, tak że same Stany nie potrzebowały się w to mieszać. "Strzeżcie się represji!" — powtarzali w swoich gazetach i w swoich komitetach. Gdy ktoś chciał otworzyć jakieś przedsiębiorstwo, można było nasłuchać się wtedy, jak krzyczeli: "Szaleństwo, przecież obniżą nam "quota"!"

Wszystkie rządy kubańskie były jednomyślne w odciąganiu instytucji i urzędów od właściwych im zadań. Urząd celny otaczał opieką inwazję (nazywaną miłym imieniem wolnej wymiany) amerykańskich towarów na kubański rynek; Bank Narodowy, banki prywatne, urzędy kredytowe odwróciły przez faworyzowanie budownictwa normalny pęd kapitałów, nauczyły Kubańczyków, że zła to rzecz inwestować w przemysł, zmieniły drobnomieszczan — najpierw wbrew nim, później z ich zgodą — we właścicieli nieruchomości bądź apartamentów, w rentierów.

Idee rodzą się z praktyki: kiedy przekonano ludzi, że ich nieszczęście jest niewzruszalne, że specjalnie dla wysp karaibskich ustanowione twarde prawo zabrania Kubańczykom uprawiać pomidory czy fabrykować wieczne pióra, ci już wyciągnęli konkluzję sami: nie budźmy śpiącej ziemi, pozwólmy wyspie marnieć, pozwólmy wytrzebionym z lasów gruntom pękać w słońcu; precz z różnorodnością

upraw i industrializacją, niech nasze kapitały idą na budownictwo, a nasza wolność na przepadło.

W 1949 roku propaganda zaszła już tak daleko, że pewien sprzedawca, u którego chciałem kupić grzebień, wyjął mi go z ręki, mówiąc: "Nie ten, proszę pana, ten to naszego wyrobu!"

Rzecz zrozumiała, że cały system opierał się na niesłychanej mizerności zarobków. Długo — i nawet po wysokich cenach — można sprzedawać produkty rolnicze za maszyny, pod warunkiem tylko, że wiejska siła robocza rzeczywiście nie kosztuje. Bezrobocie i przeludnienie są tu nieodzownymi sprzymierzeńcami: jeżeli wzrasta ilość ludzi szukających pracy, a ilość miejsc pracy jest wielkością stałą, wówczas każdy z nich staje się mniej wymagający od sąsiada i przeciętny zarobek zmierza ku zeru.

W tej kombinacji swoją rolę ma do odegrania także analfabetyzm: lepiej trzymać lud w nieuctwie, jeżeli biedniejąc ma on dobrowolnie wzbogacać bogaczy.

Nauczyć czytać — to nauczyć sądzić. Więc nie uczyć go niczego: przede wszystkim nie dać mu szkół.

Kiedy Castro objął władzę, połowa nauczycieli znajdowała się na bezterminowym i bezpłatnym urlopie z powodu braku pomieszczeń szkolnych. Obecnie wrócili do swoich zajęć. Należałoby jednak potroić ich ilość — a nawet i to by nie wystarczyło. Krótko mówiąc, przed 1959 rokiem było wśród Kubańczyków 45% niepiśmiennych i 45% chłopów, a myślę, że te dwie wielkości procentowe reprezentują, z grubsza biorąc, tych samych ludzi. Nieuctwo nie było wynikiem nędzy; nędza i nieuctwo były jednocześnie narzucone przez władców wyspy.

Mówi się w Europie, że Kuba jest krajem niedorozwiniętym gospodarczo. Podziwiam oględność tego neologizmu. Niedorozwiniętym — i nie ma co szukać winowajcy. Może to klimat jest winien. Albo zasoby ziemi. Kto wie? Może

gnuśność mieszkańców. W każdym razie natura; okazała się macochą; albo skąpiła swych darów, albo też je zmarnotrawiła. Niech nikt nie zadaje sobie trudu szukania winnych wśród ludzi.

Wbrew temu, wszędzie znajduję, odkąd tutaj jestem, zbrodnię ludzi, która aż bije w oczy: to szantaż i gwałt zmusiły Kubańczyków do praktykowania najbardziej fatalnej dla gleby i najbardziej ogłupiającej dla robotników uprawy ekstensywnej; to gwałt i szantaż skazały ich na brak dostatecznej ilości pracy, co jest skutkiem przeciwstawiania się różnorodności upraw, i na bezrobocie, co jest skutkiem przeciwstawiania się budowaniu dla nich fabryk.

To ludzie zatrzymali w imię swych interesów historię Kuby w 1902 roku i pompując w nią dolary sfabrykowali jej od "a" do "z" gospodarkę wsteczną. Kuba to kraj gospodarczo zacofany, owszem, zgoda; jest jednak takim dlatego, że inne kraje, posiadające wspólników od wewnątrz, nie dopuściły do jego rozwoju.

Takie wspólnictwo to rzecz nieodzowna; ratuje twarz; purytanizm zachował spokój sumienia. Mówiłem już, że w początkach XIX wieku niektórzy plantatorzy popychali Amerykanów do zagarnięcia i zaanektowania wyspy.

Rząd USA zaznał smaku tej pokusy, lecz nigdy jej nie uległ; wielki naród nie sprzeniewierza się swoim zasadom. Więc gdy w 1900 roku znaleźli się niewdzięcznicy, którzy zarzucali armii wyzwolenczej, że jej wcale się nie śpieszy opuścić Kubę, Waszyngton się oburzył: kraj wolności przelewa swoją krew, żeby nieść wolność, a nie ją zabierać.

Istotnie, armia amerykańska w końcu się wycofała — gdy już wprowadzony został w ruch mechanizm kolonialny. Ameryka dawała młodemu narodowi suwerenność, ale jednocześnie układy cukrowe kroily mu niezależność gospodarczą.

Waszyngton głośno uznawał nienaruszalność praw Kuby i zarazem pozbawiał ją nieodzownych środków dla ich przestrzegania. Nieco później USA ustanowiły swoją władzę na cukrowym szantażu. Dla właścicieli plantacji była to groźba

przerażająca; wątpliwe natomiast, by można było w ten sposób nastraszyć chłopów. Za bardzo cierpieli wskutek rzeczywistych dolegliwości, żeby jeszcze mieli się przejmować kłopotami, które dopiero mogły istnieć w wyobraźni. Toteż gdyby się któregoś dnia rozgniewali, na nic by się zdało tkać pod nos tym realistom cukrowe "quota"; czymś skuteczniejszym i bardziej namacalnym trzeba byłoby przywołać ich do porządku. Siłą. Ale jaką?

Nawet w okresie poprawki Platta zbyt żenująca byłaby zbrojna interwencja armii USA; i po co, u licha, stawiać kropkę nad "i"! Na szczęście ludzie z kontynentu mieli sojuszników na wyspie.

Tu właśnie objawia się w całej swej doniosłości układ, jaki w mgnieniu oka zawarli, nigdy go potem nie wypowiadając, purytańscy demokraci i kapitaliści z bardzo katolickimi szlagonami tego rolniczego kraju. Było mianowicie rzeczą normalną, żeby właściciele latyfundiów, łupiący ziemię i ludzi nie tylko na rachunek producentów jankesowskich, lecz i na rachunek własny, sami sobie sprawili aparat przymusu i represji. Armia była kubańska.

Dowódcy wojskowi, wywodzący się z ziemiańskiej arystokracji, dzielili jej uprzedzenia. Żołnierzami byli najemnicy, umęczeni nędzą chłopci lub bezrobotni, którzy się sprzedawali temu, kto więcej dawał. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi, koszary w miastach i wsiach na wszystkich rogatkach.

Kto by nie był głową państwa kubańskiego, ta armia mu w gruncie rzeczy nie podlegała; wypożyczała się. Była nagą siłą obszarników; podtrzymywała taki czy inny rząd, póki jej prawdziwi mocodawcy byli w tym zainteresowani. A potem, gdy uznano to za potrzebne, armia albo sama obalała rząd, albo też pozwalała wyrzucić ten domek z kart, ogłaszając swoją neutralność; na miejsce poprzedniego przychodził rząd nowy; do woli pozwalano gadać świeżo upieczonym kierownikom państwowym, ale ich dni były policzone.

Tak więc instytucje polityczne służyły rzeczywistości kubańskiej za parawan: maskowały wojskową dyktaturę, jaką obszarnicy sprawowali nad tamtejszą nędzą nawet w okresie demokracji.

Co do wojskowej kadry zawodowej, ta chowała pod swoimi szamerunkami i nacjonalizmem nieodmiennie dwojaką postawę: jestem pewien, że niektórzy oficerowie woleli chodzić z głową w obłokach, aby nie widzieć, że to przeciw narodowi bronią swej kasty i, razem z nią, obcego imperializmu. Najbardziej cyniczni musieli się uśmiechać: jacyż ci Jankesi szczwani, że zobligowali naród kubański do utrzymywania kosztownej armii po to, by go dozorowała. W każdym razie dowódcy wojskowi nie za często nad tym medytowali. Armia była armią cukru — i to wszystko. Nie jej się mieszać w konszachty wielkich feudałów i zagranicy. Jej obecność stanowiła rękojmię, że cukier jak był, tak będzie przeznaczeniem wyspy.

Indie tak długo należały do Anglików — z musu czy nie — dopóki tam były oddziały Jego Królewskiej Mości. Kuba nigdy nie "należała" do USA i na to istnieje oczywisty dowód — jej armia: narodowa, przewidziana przez fundamentalne prawa kubańskiej demokracji, obrończyni ładu, instytucji i niepodległości kraju.

Długo można cmokać nad tą sztuczką: suwerenność narodowa znajdowała swój najbardziej widomy wyraz i swoją podporę w instytucji wojska, a jednocześnie armia, poczęta z tej suwerenności, niemal mimochodem stawała się — przez swoje istnienie, swoje pochodzenie, swoje przyjaźnie — pneumatycznym młotem, który tę suwerenność miażdżył.

Rządzili purytanie z Waszyngtonu. Lecz nikt nigdy nie widział ich ręki. Bez specjalnego trudu mogli nawet zapomnieć o tych oddziałach, którymi nie dowodzili których może nigdy nie widzieli, i uważać swoje cudowne zyski za szczególny znak łaskawości niebios.

V

Taki jest więc pech Kuby, kolonii, która chciała wolności, a wreszcie, po latach wojny, spostrzegła się, że jest półkolonią. Zaczęło się w 1900 roku. W pięćdziesiąt dziewięć lat później nastąpił wybuch: Rewolucja. Dlaczego?

Dlatego że to rozbite, zatomizowane społeczeństwo nie mogło przywyknąć do swojego bezruchu. Zrodziło kataklizm, który z roku na rok przybierał na sile, niszcząc wszystko, sprawiając, że sytuacja z każdym dniem stawała się trudniejsza do zniesienia. Od końca ubiegłego wieku nie przestawał wzrastać współczynnik przyrostu naturalnego. Kłamiwy dobrobyt pierwszych okresów stał się ostrogą dla procesu, który przejęła i nasiliła nędza.

W 1899 roku wyspa miała milion pięćset tysięcy mieszkańców. W 1960 roku ma ich sześć milionów sześćset tysięcy.

Gwałtowność przyrostu naturalnego to zjawisko wspólne dla narodów "niedorozwiniętych". Wobec życia i śmierci chłop jest tradycjonalistą w postępowaniu. Płodzi dzieci nie licząc ich: natura daje, natura zabierze, gdy będzie za dużo.

Nie trzeba nikogo przekonywać, że ponadto kubański robotnik od ścinania trzciny nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co w niektórych krajach nazwano *planning familial*. Żeby stopniować przyrost naturalny, trzeba wierzyć w przyszłość.

Do roku 1959 Kubańczycy nie mieli przyszłości, żyli chwilą bieżącą, zwłaszcza ci najbiedniejsi, których każdego roku czekało po czterech miesiącach pracy osiem miesięcy bezrobocia.

Nie ma nic bardziej zapładniającego niż rezygnacja; rodziny z jedenaściorciem dzieci wcale nie należą do rzadkości na Kubie — nawet w miastach, gdzie drobnomieszczaństwo zachowało patriarchalną strukturę rodziny i chłopski rytm wydawania na świat potomstwa.

W latach dwudziestych wytworzyła się na Kubie chwiejna równowaga między wzrostem ilości dzieci i ilości ton cukru. Produkcja, niestety, osiągnęła swój pułap w 1925 roku, po czym zmniejszyła się i mimo sejsmicznej gwałtowności swych wahań zawarła w stałych granicach o niewielkiej rozpiętości. Fala urodzin zalała wszystko. Wszędzie otwierały się nowe usta. Usta, którym należało dać jeść.

Ilość żywności jednak nie wzrastała. Synowie byli biedniejsi od ojców. Dzieci rodziły się z nędzy, nędza rodziła się z systemu. Skoro zaniedbuje się przemysł, synowie bezrobotnych będą bezrobotnymi od przyjścia na świat.

Niewolnik trzciny miał za czteromiesięczny zarobek wyżywić przez cały rok rodzinę, która się każdego roku powiększała. Stopa życiowa malała nieustannie; niedożywieni rodzice zrodzili na wsi trzy miliony ludzi, którzy mieli żyć w stanie wycieńczenia, choć nie był to jeszcze ostateczny głód; młodzi opuszczali wsie nie mogąc znaleźć pracy; emigrowali do Europy.

Zadawałem sobie pytanie, z jakiego niewidocznego nieszczęścia Kubańscy zaczerpnęli siłę, tę maskowaną przez rezygnację siłę buntowniczą i gwałtowność, które rzuciły ich na drogę rewolucji. Zrozumiałem. W ostatecznym rozrachunku jest to zawsze cukrowy łańcuch przyczyn i skutków. Jednak początkowo zdałem sobie sprawę tylko z formuły wyroku; teraz widzę, że ów system, który tam stworzono, rozwijał się, wytwarzał trwałe efekty, umacniał je i wzmacniał; krótko mówiąc, widzę, że chodzi o jego nieustanne stawanie się, że każda chwila uwydatniała zaborczość jego władzy nad wyspą kosztem jej mieszkańców.

Wskutek nacisku demograficznego wzrastał z roku na rok wzajemny antagonizm robotników, przeobrażając każdego z nich w konkurenta drugiego, który chce mu

ukraść miejsce przy pracy; ludzie wyrażali gotowość pracowania za wynagrodzeniem malejącym z roku na rok, zarobek sam zmierzał ku zeru, robiono by prawie za darmo. Ilość szkół w stosunku do ilości mieszkańców zmniejszała się rokrocznie — nawet bez tego, by trzeba było zmieniać lub osłabiać rytm ich budowy.

System utrzymywał się dzięki swoim konsekwencjom; brutalnymi zastrzykami stworzył chore na cukrzycę monstrum: cukrową wyspę. A z kolei i wyspa produkowała monstrum: mnożącego się człowieka cukru.

Wszystko odbywało się zgodnie z życzeniami wielkich posiadaczy i ich kontynentalnych przyjaciół. Chociaż — nie: przypomnijmy sobie nadprodukcję z 1952 roku; czy to zbieg okoliczności dał władzę Batiście?

Wojskowi dowódcy, ludzie z dobrych rodzin, gardzili tym sierżantem, o którym mówili sobie na ucho, że ma w żyłach krew indiańską; właściciele latyfundiów zarzucali mu właśnie, że jest z "gminu", a na Kubie znaczy to prawie tyle samo co analfabeta.

Amerykanie nie puszczali pary z ust na jego temat; amerykańska prasa nawet nie napomykała o jego metodach rządzenia, choć był to szeroki wachlarz metod — od korupcji do tortur, od tortur do morderstw; nie wspomiano o nich pewnie dlatego, żeby wyrazić w ten sposób Batiście swoją dezaprobatę — bo chyba nie z innych powodów. W każdym razie amerykańska opinia publiczna nie wiedziała i nawet dzisiaj nie wie — przynajmniej w swej większości — że Batista był katem. Jednym słowem, ten osobnik nie zdobył sobie sympatii nawet tych ludzi, którzy się nim posługiwali.

Jeżeli mimo to skorzystano w 1952 roku z jego usług, jeżeli armia narzuciła swoich knechtów, jeżeli właściciele latyfundiów tolerowali jego gwałty, jeżeli nawet wielu z nich poszło na kompromitowanie się z reżymem, stało się tak dlatego, że ci wszyscy amatorzy bogacenia się cudzym kosztem uznali to za lek

bezwzględnie konieczny: kiedy dom się pali, trzeba gasić ogień, jak się da i tym, co pod ręką.

Ten tępy brutal był przebiegły i czelny: pozwolono mu działać. Więcej: po swojej porażce z 1944 roku Batista wyniósł się do USA. Kto mu doradził, żeby stanął do wyborów prezydenckich w 1952 roku? Kto mu finansował kampanię wyborczą? Kto mu podpowiedział, żeby zamachem ubiegł prawdopodobną porażkę w wyborach? Tak czy owak była to bogini Trzcina; Batista zjawił się z dokładnie określoną misją: zdławić nadprodukcję, a więc rzucić tysiące chłopskich rodzin w nędzę, wziąć wyspę w dyby.

Na pewno jednak nie stało się to przypadkiem, że zaangażowane w produkcji cukru interesy znalazły w 1952 roku obrońcę tak okrutnego i tak groteskowego. Nawet Machado, który tyranizował wyspę aż do 1933 roku, był na poziomie człowieka, mimo że człowieka bezsprzecznie zachłannego i złego: wtedy jednak wyspa nie była jeszcze tak bardzo chora; jeszcze nie potrzebowała rządów małpy. Kiedy władzę objął w 1952 roku szympan, kości zostały rzucone i władcy wyspy — w jej granicach czy za granicą — pojęli mgliście, że nie ma innego wyboru prócz tego jednego: Kubańczycy będą albo małpami, albo rewolucjonistami.

System wydał wyrok na samego siebie: nędzarska ludność powiększyła się czterokrotnie w ciągu pięćdziesięciu lat. Przeludnienie? Nie: dobrze gospodarowana wyspa wyżywiłaby bez trudu dziesięć milionów ludzi.

Cukrowy reżym i jego latyfundia określiły noworodki jako zbędną nadwyżkę istnień ludzkich.

Z dawien dawna tłumacząc biedakom, że człowiek po to przychodzi na świat, by gołymi rękami tak cisnąć ziemię, ażeby się pociła trzciniowym sokiem ("nie ma cukru, nie ma wyspy"), tłumaczono im także, że to twarde prawo skazuje ich na nędzarskie życie i że muszą akceptować swoją dolę.

Dopóki mogli, akceptowali. Ale płodność nędzy nieustannie obniżała poziom ich bytowania: pogodzeni z losem jednego dnia, otwierali oczy następnego i spostrzegali, że ich położenie jest jeszcze gorsze, więc kosztem ponownego wysiłku trzeba się było znowu godzić z losem. Wykazano im, że nie mogą żyć, jak należy, lecz oto nagle doświadczali niemożności innego rodzaju: umierania jak umęczone nadmiernym wysiłkiem zwierzęta.

Castro, syn właściciela ziemskiego z Oriente, usłyszał — sam lub prawie sam — pierwsze pomruki, pierwsze głosy: "Dłużej tak trwać nie może..."

On pierwszy zrozumiał, że to nie chroniczne nieszczęście, ale ciągle narastanie nieszczęścia określa chłopski los.

Widziałem ślady tego nieszczęścia; wprowadzie rewolucja wszędzie pracuje, lecz ma dopiero czternaście miesięcy, a łatwo można sobie wyobrazić, że dużo jest do zrobienia. Widziałem to, co wódz rebeliantów widział od dzieciństwa: *bohios*.

Zanim Indianie odeszli na wieczny urlop przed trzystu laty, zostawili w spadku nieszczęśliwcom, którzy przyszli złuzować ich w nędzy, swoje mieszkania i sposób ich budowy: *bohios* to szałas.

Kilka żerdzi wbitych wokół słupa podtrzymującego spiczasty dach z zeschniętych liści; podłoga z ubitej ziemi. Brak wszystkiego; jasne, że nie ma elektryczności, ale nie ma także ustępów. Na czarnej i zimnej ziemi rojowisko niedożywionych dzieciaków. Mężczyźni poszli na pola. Gdy przechodzimy przed szałasami, tu i ówdzie patrzy od progu kobieta. Bywa, że biała, bywa, że czarna. Ale i czarne, i białe patrzą takimi samymi nieruchomymi i pustymi oczami.

W Europie nie znamy podobnej nędzy wśród obfitości. Roślinna bujność zasłania tutaj wszystko swoimi jedwabiami i wełnami. Trzeba było rozrywać jej dywany, wycinać w nich kręgi dziur, żeby znaleźć podłogę dla człowieka: nagą ziemię.

Ziemia ciska ku niebu tych samotnych władców, jakimi są palmy królewskie. Pośród nich — smukłych, białych, łagodnych, nabrzmiąłych sokiem — *bohios*

świadczą sobą, że to przez ludzi pojawia się u ludzi brak wszystkiego, co najbardziej nieodzowne. W samym sercu niewiarygodnej żyzności bogaci zaszczyli masowymi zastrzykami dolarów ubóstwo, niedobór produktów żywnościowych, niewiedzę.

Tę coraz mocniej rzucającą się w oczy sprzeczność widział Castro i przeczuł, że będzie ona źródłem chłopskiej rewolty; niezadługo ci ludzie nie będą już więcej chcieli męczyć ziemi, by utrzymać cudzoziemców i nieobecnych; nie zgodzą się ani pracować o pustym brzuchu, ani posłusznie zadawać gwałt nieprzebranej obfitości przyrody, zmuszając ją do tego, żeby ich nie karmiła; te bogactwa, tak bliskie, że tylko rękę po nie wyciągnąć, oskarżały nędzę jako zbrodnię.

Ponieważ Castro przejrzał całą skandaliczność tej sytuacji wówczas, gdy biedni ją odczuwali nie zdając sobie jednak sprawy, jakim jest ona skandalem, począwszy od 1952 roku zdobył prawo poprowadzenia ich do zwycięstwa.

Wydaje mi się, że stąd także wziął swój początek uderzający mnie często u kubańskich rewolucjonistów naturalizm: przyroda jest dobra, zło czyni człowiek. Do tej sprawy wypadnie mi jeszcze powrócić.

Tymczasem jesteśmy dopiero przy diagnozie: wśród leżących odłogiem obszarów i niewykorzystanych bogactw dusiło się na swojej wyspie społeczeństwo płodne nędzą, zepchnięte do elementarnych struktur reżymu feudalnego, skruszone przez mechanizm gospodarczy, który zmienił wyspę w półkolonię.

Garść ludzi doprowadziła do tego, że naród się dusił; wystarczy także garść, by go wezwać do powstania, ażeby rozwalił ten piekielny mechanizm i rzucił go na dno morza.

Gniew może wzniecić bunt, ale gniew to mało, by obalić reżym. Żeby cały naród rzucił się na fortece swoich władców, trzeba mu dać nadzieję.

Kubańscy zrozumieli w trakcie swojej nieustającej degradacji, że Historia kształtuje ludzi. Pozostawało pokazać im, że to ludzie kształtują Historię.

Należało wyrwać to straszdyło, które bogaci zatknęli na polach trzciny: Los.

Naród kubański miał programów po uszy; panowie z miasta nieraz spijali chłopów pięknymi słowami w dawnych czasach "demokracji".

Tylko prosta i jasna akcja mogła im przywrócić odwagę. I to pod warunkiem, że będzie ona akcją o nieodwracalnej intensywności właściwej wielkim wydarzeniom i że — niezakończona prowizorycznie — będzie początkiem przedsięwzięcia, które obywa się bez obietnic i słów, a wymaga współdziałania wszystkich, by sprawę zakończyć. I także pod tym warunkiem, że zmieni ona życie, że wzbudzi pragnienie do jednoczenia się, aby doprowadzić tę zmianę do jej ostatecznego kresu.

Stało się. Pewnego dnia padł z najwyższego szczytu wyspy piorun na pola: ścigani przez armię i policję "przestępcy", którymi dowodził Castro, postanowili przystąpić natychmiast do rozdzielania ziemi i powiadomili o tym kraj.

VI

Castro powiedział mi pewnego dnia, że jest rewolucjonistą z powołania; spytałem go, co przez to rozumie.

— To znaczy, że nie mogę ścierpieć niesprawiedliwości.

Przytoczył mi przykłady z własnego dzieciństwa, z własnej młodości. Mówił więc o samym sobie. Podobało mi się w tej odpowiedzi, że człowiek, który walczył, który wciąż walczy o cały naród i ma na uwadze wyłącznie dobro wszystkich, wprowadził mnie najpierw w swoje życie prywatne, w swoje własne gniewy.

Mówił mi, że nigdy nie kładł uszu po sobie, że oddawał wet za wet, co doprowadziło wreszcie do wyrzucenia go z gimnazjum. Wyobrażam go sobie,

kiedy miał piętnaście lat: mały zawadiaka, chłopak o twardym karku, nie dający się poskromić, a przecież przegrywający.

Syn właściciela ziemskiego i uczeń gimnazjum w Santiago, gdzie przebywał w internacie, Fidel przyjeżdżał na wakacje do majątku ojca, do Oriente. Jego starszy brat już zaczynał wstępować, i to raczej z ochotą, w ślady ojca, aby żyć jego życiem. Ale ani Fidel, ani młodszy brat Raul nie mieli pojęcia, co ze sobą począć na tym świecie.

Fidel spodziewał się, że wybrnie z kłopotu dzięki nauce, że wiedza już mu użyczy swojego światła, że sam siebie przejrzy i będzie mógł ukreślić łeb tej hydrze, tej jakiejś nieokreślonej gwałtowności, która mu nie dawała swobodnie oddychać.

Pojechał do Hawany, studiował, zawiódł się: poznał czczość słów. Profesorowie mówili, aby mówić i nic nie powiedzieć. Młodzi słuchali ich zbici z tropu.

Na pytania zasadnicze — te, które nurtowały młodego człowieka u progu życia — zapobiegliwie nie odpowiadano. Umysłową tężyznę Fidela określa to właśnie, że odczuwał niedomogi wykładów i programu nauczania jako niesprawiedliwość, jako świadomie wyrządzoną mu krzywdę. Chciano go pograżyć w zarozumiałej i służalczej niewiedzy. Właśnie wtedy, mam wrażenie, po raz pierwszy wyraził tę głęboką myśl, która bezsprzecznie jest źródłem jego przyszłej działalności: jak wielkie by nie było znaczenie czynników natury, sprawcą nieszczęść ludzi są inni ludzie.

Rozpróżniaczeni i ponurzy tyrani — kubańscy władcy wyspy — odnosili się do wiedzy z nieufnością, bo prowadziła do działalności wywrotowej. Niszczenie szkolnictwa wyższego było sprawą przemyślaną: w trosce o utrzymanie niedorozwoju gospodarki kubańskiej usiłowano produkować tylko ludzi niedorozwiniętych.

Gwałtowność Fidela Castro, nie mająca w sobie nic z rozhułkaną porywcznością, przejawiała się w spokoju niezłomnych postanowień: nie dam się, choćbym miał obalić tę kastę, która usiłuje mnie wykoślawić.

U kogoś innego takie postanowienie nie wyszłoby poza słowa. Cóż może jakiś młody człowiek, sam jeden, wbrew społeczeństwu?

O urzeczywistnieniu owego postanowienia, a później o jego skuteczności, przesądziło to jednak, iż Castro równocześnie — wbrew swoim profesorom, wbrew swojej rodzinie i wbrew swojej klasie — odkrył, że ten sam reżym zadaje z tych samych powodów jeden i ten sam gwałt studentom — odmawiając im wiedzy, wiejskim dzieciom — pozbawiając je szkół, robotnikom — skąpiąc im chleba.

Ta wizja, łącząca kubańskie problemy w jedno, miała się stać później Prawdą Rewolucji. W 1952 roku była dopiero jej przecuciem. Przedwczesne jej objawienie się omal nie zgubiło Fidela.

Ów młody człowiek nie wątpił bowiem ani przez moment, że wszyscy jego koledzy i, koniec końców, wszyscy mieszkańcy wyspy podzielają jego gniew. Ponieważ ten gniew szalał w jego piersi, więc jasne, że szaleje wszędzie. Przez optymizm nie docenił sceptycyzmu rodaków, którzy swoją głęboko sięgającą rewoltę maskowali rezygnacją, tym ubocznym produktem ucisku.

Każdy zwlekał z chwyceniem za broń: niech sąsiad chwyci pierwszy. "Zaczę ja" — powiedział sobie Castro. Atak na koszary Moncade miał być iskrą: w chwilę później miało wybuchnąć powszechne powstanie.

Nie wybuchło. Castro został skazany. Czas spędzony w więzieniu, a później na wygnaniu, stał się okresem rozmyślań.

Ówczesni eksperci chętnie przypisywali nieszczęścia wyspy macosze przyrodzie albo też nawarstwieniom Historii. Dzięki celności rewolucyjnego osądu, Castro szukał odpowiedzialnych wśród ludzi.

Oto morderczy mechanizm niszczy społeczeństwo: należy go zastąpić innym, oczywiście, że tak; a jednak do tego nie dochodzi. Co nas powstrzymuje? Czy interesy wielkich właścicieli kubańskich i zagranicznych kapitalistów? To się rozumie samo przez się. A ilu ich jest? Co stanowi tę siłę, która chcąc dogodzić garści bogaczy trzyma w jarzmie biedaków, mizeraków, bezrobotnych, a więc właściwie całą wyspę, i zwała Kubańczyków z nóg, że nosem orzą piach, i wmawia w nich jednocześnie, że powinni się pogodzić ze swoją niewolą, bo tak chce los.

Doszedł do przeświadczenia, że tą siłą jest armia. Kubańska armia jest najgorszym wrogiem kubańskiego narodu.

Dlaczego przy tym tak trudno oprzeć się wrażemu, że od pięćdziesięciu lat prawem Kuby jest korupcja? Za każdym razem, kiedy nie posiadający się z oburzenia demokracji rozpoczynali pod przywództwem jakiegoś Grau czy jakiegoś Orio kampanię przeciw przekupnemu rządowi i sprzedajności administracji, kiedy zwracali się do narodu o zaufanie i przyrzekali dać mu reformy, nieskazitelnych ministrów, urzędników z zasadami, nigdy nie udawało się im dotrzymać obietnic, zawodzili uzyskane zaufanie.

Początkowo uczciwi, stawali się wkrótce równie zachłanni i przekupni, jak ci, których przepędzili. Bo obejmując władzę, brali lekcję bezsilności. Szefowie ,dzielili między siebie przynależne ministrom tytuły, honory, apartamenty, ale nie potrzebowali długo czekać, by się spostrzec, że nie dostawali atrybutów przynależnych rządowi. Niekiedy domagali się ich od wielkich posiadaczy. Odpowiadano im: "Chodźcie i weźcie". Więc zdecydowanym ruchem rozsuwali zasłonę; po jej drugiej stronie stało wojsko. Ministrowie bez władzy mieli przed oczyma władzę bez ministerstw, nagą siłę.

Istotnie nie mieli żadnej możliwości działania; pozbawiono ich sterów rządzenia. Stojąc na czele państwa, pozostawali tym, czym byli w opozycji: mówcami.

Naród już bąkał jak owa, skądinąd znana, papuga: "Gadasz, gadasz i to wszystko, co potrafisz".

Kiedy jednak odkrywali mistyfikację, było za późno, podać się do dymisji powinni by właściwie już w tym samym dniu, kiedy zwyciężali w wyborach — więcej: nigdy nie powinni by ubiegać się o pozory władzy. Ci zakładnicy klasy rządzącej stawali się współwinnymi komedii, którą odgrywano przed wyborcą; kryli działającą zza kulis dyktaturę właścicieli latyfundiów.

Młodzi i starzy wciąż podejmowali w duchu lub w prowadzonych szeptem rozmowach dawne kubańskie marzenie: czy nastanie taki dzień, że Kubą będą rządzić ludzie uczciwi, surowi, nieprzekupni? Dlaczego się to nie stało dotychczas mimo ciągłych, często brutalnych zmian personelu politycznego?

Otóż banita zastanawiający się w Meksyku nad kubańską armią zrozumiał, jakie są prawdziwe przyczyny skorumpowania Kuby.

Kolonie — mówił sobie — mają przynajmniej jedną przewagę nad półkoloniami: nie ma tam korupcji politycznej z braku polityków, których by trzeba korumpować. Kupuje się kacyków, którzy są najzwyczajniej zdrajcami; natomiast półkolonia jest już sama przez się oszustwem, ponieważ jej prawdą ukrytą jest kolonizacja. Kłamią więc wszystkie słowa, transponuje się na język demokratyczny wszelkie kolonialne transakcje: Określa się jako "dobrowolną umowę" to, co naprawdę nazywa się "jednostronnym zobowiązaniem".

Tak więc zadanie "rządu" półkolonialnego, nawet gdy jest uczciwy — to znaczy: w pierwszych miesiącach — polega już wtedy na fałszowaniu języka, na wypaczaniu słów jego narodu. A jego zdrada jest wypisana w porządku *rzeczy*, już na niego czeka. Kiedy to sobie sam uświadomi, wtedy — mając już dość bezinteresownego sprzedawania się, co mu najzupełniej nie odpowiada — nadal będzie odważnie wypełniał swoje zadania, ale zażąda gratyfikacji.

Nie — mówił sobie Castro — Kubańczycy nie rodzą się złodziejami ani łapownikami. Korupcja rodzi się z bezsilności, a ta znowu ze złudnej suwerenności, która maskuje naszą całkowitą zależność gospodarczą. I tylko jedna siła nie pozwala, aby ta mistyfikacja rzuciła się w oczy: armia — armia będąca również mistyfikacją, bo jej funkcją rzeczywistą i ukrytą jest obalenie władzy, której rzekomo ma być podporą.

Ghandi dążył do zniszczenia systemu kast. O tym zdecydowanym zwolenniku działania bez użycia siły powiedział gdzieś Nehru, że miał on intuicję w pełni rewolucyjną: szukał kamienia węgielnego, na którym wspierała się cała budowla; znalazł go: była nim kasta pariasów; odtąd nie przestawał jej atakować, poświęcając na to cały swój czas i wszystkie siły, w przekonaniu, że gdy ona się rozpadnie, wówczas zwali się również cały system.

Tak też i Castro: armia była kamieniem, który należało rozbić. Te rozważania spowodowały z kolei przesunięcie się celu, jaki przed sobą stawiał; nikt tego jednak nie dostrzegł: w Hawanie, w Meksyku uważano, że Castro powstaje przeciw Batiście, podczas gdy dla niego samego Batista liczył się już tylko w połowie.

Gdyby kubański sztab generalny podjął inicjatywę obalenia tyranii, wezwania narodu do broni, armia i tak pozostałaby wrogiem publicznym numer jeden: znieprawiałaby tych przyszłych demokratów do szpiku kości, jak zrobiła to z ich poprzednikami, a w odpowiedniej chwili wyniosłaby ze swego łona tyrana, który by ich zastąpił.

Tak, nostalgia za czystością życia publicznego wciąż była na Kubie żywa, ale Castro nie poświęciłby kropli krwi, aby przywrócić czystość zdeprawowanym politykierom: ryzykował życiem, aby ją zabezpieczyć dla nowych ekip i oprzeć ją na rzeczywistym sprawowaniu władzy, a więc, innymi słowy, na wywalczonej niezawisłości.

Postanowił wrócić na wyspę sam albo prawie sam — i rozgromić pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych ludzi, którzy na niego czekali.

Tylko teraz zdawał już sobie sprawę z poprzedniego błędu: próbować ataku w miastach, gdzie panuje armia, to w gruncie rzeczy liczyć na poparcie pewnych czynników wojskowych — a więc paktować, a więc zginąć. Już mądrzejszy i w pełni świadomy, że rusza do śmiertelnej rozprawy, postanowił, że w rozpoczynającym się meczu rewanżowym uderzy nieprzyjaciela w jego jedyny słaby punkt: walka potoczy się z dala od miast, wśród przyrody.

Ziemia jest wrogiem armii klasycznych: zawsze jest za rozległa dla wojskowych; gubią się w rozległości pól; w rozproszeniu osacza tych arystokratów samotność: posterunki mogą tu być zaatakowane jeden po drugim, a ich załogi wpadać w ręce nieprzyjaciela.

I ile to kłopotu, kiedy sztab generalny dosyła posiłki! Trzeba zabezpieczać łączność, zaprowiantowanie, trzeba posuwać się krok za krokiem: ziemia aż drży pod tymi ciężkimi przemarszami, ale nigdy nie dzieje się to z wielką krzywdą dla powstańców.

Ukryci za naturalnymi szczytami Castro i jego towarzysze broni pozwalali wojsku podchodzić; bataliony łamały sobie zęby na nożach Sierry.

Mówiłem już, czym była ta wojna w swojej pierwszej fazie: "widowiskową" ucieczką wokół szczytów. Zarówno atakując koszary, jak i przenosząc się przez Sierra Maestra ze swoim latającym obozem, Castro stosował tę samą zasadę: zacząć robotę i czekać. Różnica była tylko jedna: tym razem tak się zorganizował, gęby móc czekać długo.

Początkowo na nikogo nie mogli liczyć. Pierwszy przewodnik, który im ofiarował swoje usługi, omal nie doprowadził do ich ujęcia: był na żołdzie armii.

Z pomocą przyszło kilku chłopów. Widziałem spośród nich jednego, który dopomógł małemu oddziałowi i uratował go podobno od śmierci. Jest kapitanem.

Żywotny staruch z siwą brodą; patrząc na niego, można się domyślić, że ci wszyscy sprzymierzeńcy od pierwszej godziny należeli do najbardziej uświadomionego odłamu ludności wsi. Ci już na pewno umieli czytać i chcieli być informowani. Inni — a w ogóle niewielu ich było w Sierra na pierwszych zboczach — pozostawali nieufni. Czego tu chcą ci ludzie, albo ich kto zna? "Tyle zresztą zwojują, że narobią nam tylko kłopotu".

Kiedy w samych początkach chciano rozpytać jakiegoś chłopca o ruch wojsk, o trasy przemarszów, trzeba było go chwytać, bo inaczej — z daleka już widząc podejrzanych ludzi — zostawiał szpadel i uciekał. Powstańcy nauczyli się wyskakiwać jak spod ziemi, osaczać go i dopiero wtedy przystępować do rzeczy jak najłagodniej, bez gwałtu: na stawiane pytania nie zawsze otrzymywali odpowiedź, robili wtedy trochę propagandy i chłop odchodził.

W każdym jednak razie sprawa była od tej chwili przesądzona: albo nie będzie rewolucji i kubańskiej, albo będzie ona rewolucją chłopską. Decydowało o tym bardziej życie niż ludzie — i na to nie było rady.

Dalekie miasta dławily się w bezsilności. Wieś narzuciła rebelii swój kształt, zanim jeszcze zaczęła brać w niej udział. Wybierając jako obiekt swoich ataków rozproszone drobne garnizony wiejskie, rebelianci atakowali wroga chłopów, przez swój tryb życia sami stawali się chłopami, zwracali się o pomoc do chłopów, których bronili.

Partyzantka ujawniła swoje dezyderaty: aby jakaś grupa partyzancka mogła się pojawić niespodzianie, dopaść wroga, zniknąć, znów wyskoczyć i uderzyć następnego dnia o dwadzieścia mil dalej, bezwarunkowo musi mieć poparcie ludności wiejskiej — a to już wystarczy.

Ziemia jest równie rozległa dla dwudziestki rebeliantów jak i dla oddziału armii regularnej. I jedni, i drudzy są jednakowo na niej zagubieni. Ale samotność żołnierza zaciężnego jest ostateczna. Ranny zdechnie wśród pól. Jeżeli rebeliant

chce wygrać, wówczas przyroda — bezludna dla żołdaka, który ją przemierza nie spotykając żywej duszy — musi się dla niego zarość sprzymierzeńcami.

Castro i jego ludzie nigdy nie myśleli o uciekaniu się do terroru, żeby wymóc na chłopach przyłączenie się do partyzantki: to punkt ich honoru. I gdyby nie mieli żadnych innych możliwości, sami woleliby przepaść.

Ale gdyby postępowali inaczej, zbrodnia byłaby jednocześnie niewybaczalnym błędem politycznym oddziały Batisty terroryzowały kraj i osiągnęły tylko jeden rezultat: wokół nich powstała pustka. rebeliancki kontrterror nie dałby lepszych wyników. Należało postępować wręcz przeciwnie. W pierwszych miesiącach ich życie wisiało na włosku; zdrada przewodnika nauczyła ich, że może wystarczyć jedna denuncjacja, a by rewolucja została zmiażdżona w zarodku. Więc wyjście tylko jedno: zdobyć sobie miłość chłopów. Rewolucja musiała się oddać w ręce trzech milionów ludzi.

Z trudem by jej jednak przychodziło rozbroić ich nieufność, gdyby nie była w stanie udowodnić, że jest rewolucją przeprowadzaną dla nich; od wojny z 1895 roku chłopci poprzysięgli sobie, że już nie będą wyciągać kasztanów z ognia dla miast.

Adwokaci, lekarze, ekonomiści, dziennikarze: ci młodzi rebelianci byli mieszczanami — ich sprawa, żeby o tym zapomniano.

Aby chłopci stali się rebeliantami, rebelianci przeobrazili się w chłopów: stawali do pracy na polu. Nie wystarczało znać potrzeby i nędzę wsi: trzeba było odczuwać je na własnej skórze i równocześnie je zwalczać. Rolnik będzie o tyle bardziej skłonny pojąć rebeliantów, o ile wyraźniej będzie w nich widział ludzi z tej samej co i on gliny; jedno umiejętnie cięcie maczetą podczas zbiorów trzciny sprawia więcej niż najdłuższe przemówienie.

Domagając się połączenia tymi nowymi więzami rewolucjonistów z narodem, partyzantka dała się wreszcie poznać pod swoim prawdziwym imieniem: wojny ludowej.

Castro, którego myśl samorzutnie zmierza do objęcia całokształtu wszelkiej sprawy, od jej zjawisk cząstkowych do całości, szybko uchwycił radykalną zmianę perspektyw: symbioza ludności wiejskiej i jej obrońców sprawi, że chłop pokocha rebeliantów — ale to nie znaczy, że tym samym musi pokochać rewolucję.

Wyszedł z postanowieniem pokonania armii, żeby następnie mieć wolne ręce i móc przeprowadzić reformę rolną. Spostrzegł się jednak u progu tego dzieła, że nie zdobędzie całkowitego poparcia mas, o ile rewolucja nie stanie się ich wspólną sprawą.

Krótko mówiąc, należało pobić armię, żeby przeprowadzić reformę; lecz żeby pobić armię, należało reformę przeprowadzić natychmiast — nie obiecywać. Było to błędne koło, ale tylko pozornie: przechodząc od abstrakcyjnego zamiaru do rzeczywistości, doszedł po prostu do wniosku, że albo nie zmieni się życia biedaków, albo będzie się ono zmieniać codziennie, i to z a i c h s p r a w ą. Zajął się więc wskrzeszaniem ich własnej rewolty, odkrywaniem przed nimi ich własnych żądań.

Szybko zrozumieli: latyfundia, dzierżawy, ukryte bezrobocie, monokultura — w tym wszystkim dojrzeli w krótkim czasie źródło swoich dolegliwości. Nie mówiono im, że reforma to łaskawy dar przyszłego rządu dla ludu: wyjaśniano im nieustannie, że jest ona koniecznością narodową, i to jak najbardziej pilną. Nie mówiono im: "Kraj będzie wspaniałomyślny wobec was". Mówiono: "Wasza zguba jest zgubą narodu". Po raz pierwszy od początku wieku poczuli się na tej wyspie u siebie: jej obywatelami.

Zapoczątkowana reforma wzbudziła ich zaufanie do rebelianckiej armii; sukcesy militarne wzbudziły ich zaufanie do reformy; ponieważ walczono o nią, więc każda

potyczka przyspieszała godzinę jej nastania — więcej: każda potyczka była Reformą w marszu.

Z chwilą kiedy ludzka bieda uświadomi sobie swoje źródła i swoje żądania, nie cofa się już przed niczym. Zdobyć świadomości, jeszcze negatywnej, było raptowne i powszechne. W tej nowej fazie wojny chłopi się przeobrazili: dotychczas zrezygnowani, przejęli teraz na swój rachunek plany powstańców, uczynili z nich swoje własne rewindykacje i — właśnie oni "zradyzalizowali" w pewnym sensie rebeliantów.

Reforma rolna — to partyzantka. Ale partyzantka to prawdziwa reforma: to lud podtrzymujący pucz, wchłaniający i zmieniający rebeliantów mieszczańskiego pochodzenia w chłopów-rewolucjonistów.

VII

Wszyscy na Kubie przeprowadzają rozróżnienie między rebeliantami (walczącymi żołnierzami) i członkami ruchu oporu (bojownikami miejskiego podziemia). Także i ja się tego nauczyłem.

Początkowo nie mogłem jednak się w tym połapać: brodaci i niebrodaci — rozważałem — wybrali to samo, ponosili takie samo ryzyko, składali dowody tej samej wierności, w wyniku czego mieli te same troski i tych samych wrogów. Niemniej jednak moja gadanina turysty, zazwyczaj uważnie wysłuchiwanego, wywoływała jakieś zakłopotanie. Skrywano je pod korcem.

Pewnego dnia spotkałem się podczas konferencji prasowej z pytaniem, czy widzę jakieś wspólne cechy rewolucji kubańskiej i chińskiej. Podkreśliwszy różnice, mówiłem następnie o półkolonialnym reżymie, jaki był charakterystyczny i dla Kuby w okresie Batisty, i dla Chin w okresie Czang Kai-szeka. Odniosłem wrażenie, że wszyscy się z tym zgadzają.

Kiedy jednak wystąpiłem, w dobrej wierze, z uwagą, że jedną i drugą rewolucję skłonny jestem uważać za rewolucje chłopskie, których przywódcy wyzwolili miasta po wojnie ludowej, wygranej w górach i na polach, kilku z moich przyjaciół oświadczyło stanowczo, że jestem w błędzie.

Według bezbrodych rewolucja zrodziła się w mieście. I sam Castro, jak bardzo by nie był brodaty, studiował w stolicy, wybrał sobie miejską profesję i, gdyby były inne czasy, wykonywałby wolny zawód adwokata. A poza tym zbyt lekko przechodzę nad podziemnym ruchem oporu, który się zorganizował w Santiago, w Hawanie, w Santa Clara. Chłopi, dodali moi przyjaciele, przyszli później.

Wielokrotnie byłem świadkiem identycznych dyskusji: jedni utrzymywali, że - chłopi bili się mało lub źle, drudzy natomiast, że to właśnie miasta nic nie robiły i że powstańcy zawdzięczają zwycięstwo tylko poparciu wsi.

Nie odzywałem się; za słowami czułem nie tyle zupełną odmienną, ile różnicę postaw wobec realniejszego i głębszego problemu. Dziś, sądzę, już to rozumiem: członkom podziemnego ruchu oporu i rebelian-ckim żołnierzom wspólne jest dążenie, by do końca wypełnić program — łączy ich teraźniejszość. I przyszłość. Ale nie mają tych samych wspomnień.

Z 1957 rokiem ponawiały się kontakty: powstańcy z Sierra nawiązali łączność ze swoimi przyjaciółmi z Santiago, z Santa Clara, ze stolicy. Należało postawić na nogi organizację podziemną.

Tak też zrodził się we wszystkich ośrodkach miejskich podziemny ruch, który przyjął nazwę M. 26—7, to znaczy Ruch 26 lipca (Movimiento 26 Julio). Cztery lata wcześniej, właśnie 26 lipca, Castro przypuścił atak na koszary Moncade. M. 26—7 określał się więc, i to ponad wszelką wątpliwość, przez swój stosunek do Castro. Już samą nazwą, jaką sobie wybrał, dawał wyraz wierności wobec intelektualisty, człowieka z miasta, organizatora puczu. Wierności, krótko mówiąc, wobec kogoś, kto już nie istniał.

Jakby jednak nie było, muszę w jednym punkcie przyznać rację temu z moich przyjaciół, który występował w obronie roli miast: to na nich najpierw zaznaczył się wpływ Sierry.

Po upływie kilku miesięcy M. 26—7 miał już swoich męczenników, a wieś jeszcze nic nie uczyniła, by wyrwać się ze swojej drętwy. I nic bardziej normalnego nad taki stan rzeczy: chłopci, nazbyt często wyprowadzani w pole, nie dowierzali; potrzebny był dłuższy okres czasu, by ich przekonać.

Ściskane w garści przez policję i żołdaków ośrodki niejskie dawały, nawet już wskutek swojej bezsilności, większą ilość zbuntowanych.

Jeden z naszych najlepszych przyjaciół, Oltusky, minister w dwudziestym siódmym roku życia, dotarł do ruchu oporu poprzez kryzys religijny, który przeciwstawił go i rodzinie, i sobie samemu.

Czytał pasjami wszystko, co mu wpadało w ręce. Nie zajmowały go zupełnie nauki społeczne, historia, ekonomia; jedynym jego problemem były religie, metafizyka — tak długo, póki nie doszedł do przeświadczenia, że nic nie można zrozumieć z tych drugich bez przestudiowania tych pierwszych. Szedł od książki do książki, konsultował najteższe głowy Kuby; tu i tam spotykał go zawód, gdyż nie bardzo wiedział, czego właściwie po nich się spodziewa. Pozostała mu po tym doświadczeniu jakaś czkawka, jakieś nieokreślone, lecz żywe zniechęcenie do wyspy. Wciąż kończyło się tym, że odwracał się od systemów; czuł wyraźnie, że nie odpowiadają ani j-emu, ani narodowi. Każda z lektur dawała mu jednak nowe, choć jeszcze abstrakcyjne racje dla potępienia dyktatury.

Wielu jego kolegów z owego czasu, a przede wszystkim wielu młodych i nie znanych mu rodaków doszło różnymi drogami do tej samej negatywnej konkluzji: "Źle się dzieje w państwie Kuby". To szamotanie się oświeconego drobnomieszczaństwa było zjawiskiem, które bym nazwał polityką zdechłego szczura: czuje się woń zgnilizny, szuka się szczurzego zewłoku, lecz w miastach

przyczyny są skryte w gęstym lesie skutków, tak że zdechłe zwierzę uchodzi poszukiwaniom. Ci młodzi ludzie nie zawierzyli w początkach 1957 roku Fidelowi Castro bez zastrzeżeń. I jeżeli porównywali go do bohatera narodowego José Martí, musieli sądzić przy tym, że Castro jest jakby nieco za toporny. Historia wyspy sprowadzała się bowiem do walk dzielnego mieszczaństwa przeciw feudalizmowi, a mieszczenie, mimo że zawsze zwyciężani, wycisnęli swoje piętno na tym stuleciu, tak że w tej mieszczańskiej historii rozpoznawali się młodzi mieszczenie z 1957 roku.

Natomiast historia ludowa jest zbyt jednoznaczna, brak jej niuansów, szokuje wykształcone umysły swoją wulgarnością; sięga ona — otóż to — do samego sedna spraw. Czy taktyka Fidela, zadawali sobie pytanie, nie jest szyta zbyt grubymi nićmi? Czy można w taki sposób pomieszać szyki wrogowi, nawet gdy tym wrogiem jest Batista? Nie zastanawiali się jednak długo; ich bardzo dużą zasługą jest to, że się zaangażowali nie mając wiary... Oto nadarzała się wreszcie okazja, by nawzajem się zbliżyć, zestrzelić w jedno swoje gniewy, zorganizować się; chwycili okazję za włosy.

Aby przemienić bezsilne negacje w jeden niezłomny protest, należało zacząć od powiedzenia "tak". Tak — wobec Castro. Oddali się temu dalekiemu, tak mało krepującemu łucznikowi, który gdzieś w górach strzelał z łuku, był tylko mitem, symbolem narodowej jedności i odzyskanej energii; służył im za pretekst, by pospołu wszyscy mogli odłożyć na bok swoje koteryjne chętki, rywalizacje, urazy, wzajemną nieufność.

M. 26—7 miał dwa zadania: pompować z miast fundusze na zakup broni dla powstańców, utrzymywać wrzenie miejskich mas przez wydawanie tajnych ulotek, przez przeprowadzanie akcji, które by zadawały ciosy nie zostawiając po sobie śladów.

Uprowadzenie w przeddzień międzynarodowych zawodów asa wyścigów automobilowych, Fangio, który został porwany z hallu swojego hotelu, to akcja zadecydowana i przeprowadzona przez M. 26—7.

W ciągu dwóch lat mieszkańcy kubańskich miast agitowali, przeprowadzali zbiórki pieniędzy, kupowali i wysyłali broń; znaleźli nawet czas na przeprowadzanie rekrutacji.

Przebyłem drogę, którą wiele razy w miesiącu Oltusky "robił w tę i z powrotem" między Santa Clara i Trinidad, u podnóża Sierry. W 1958 roku była to droga usiana policjantami w autach i żołnierzami. Zatrzymywano wozy, przy każdym posterunku trzeba było znajdować preteksty; jeden tylko był sposób, żeby móc zjechać z głównej drogi: wykorzystać moment zmiany posterunku; wszystko więc trzeba było wziąć pod uwagę, żeby we właściwym momencie znaleźć się na właściwym miejscu. Oltuskyemu towarzyszył niekiedy inny członek ruchu oporu; telefonowali wtedy do przydrożnej oberży, niedaleko od Sierry, zamawiali piezonego prosiaka, zjawiali się z dwoma kobietami, bardzo młodymi żonami obydwu tych bardzo młodych mężczyzn, sami ponownie wsiadali do auta, żeby "przejechać się przed obiadem", gnali w góry bocznymi drogami, spotykali tam któregoś z rebeliantów, powiadamiali go o dostawie broni i brali nowe zamówienie.

— Jasne — mówi Oltusky z odcieniem żalu — nie było w tym bohaterstwa jak w czynach rebeliantów.

Bardzo jest skromny, moim zdaniem.

Policja i wojsko zabili w ciągu dwóch lat dwadzieścia tysięcy ludzi; tysiąc w Sierra, podczas końcowych walk, a dziewiętnaście tysięcy w miastach. M. 26—7 drogo zapłacił za to, aby stolicy i kilku większym miastom przywrócić ich poczucie dumy.

Rzecz oczywista, że policja i wojsko torturowały. Bez korzystania przy tym z metod naukowych, co to, to nie: mowa przecież o kraju niedorozwiniętym. Starali

się jednak, owszem, mieli się na kim wzorować, robili, co mogli. Franqui nie zachował przyjemnych wspomnień o pewnej drobnej, prymitywnej katuszy na zupełnie chałupniczym poziomie: o suchych i rytmicznych uderzeniach w podstawę czaszki.

— Myślałem, że oszaleję.

Jedna z najpopularniejszych kobiet rewolucji została aresztowana wraz ze swym bratem i narzeczoną. Nie zobaczyła ich więcej, lecz pewnego dnia przyniesiono jej dwa talerze; na jednym były oczy pierwszego, na drugim genitalia drugiego. Kastrowano chętnie; dochodzenia były przeprowadzane tak sumiennie, że pacjent umierał w toku operacji nie odpowiadawszy na pytania. Rozstrzeliwano na dziedzińcach więzień. Franquiego siedmiokrotnie wyprowadzano na egzekucję; czekał na nią w chłodzie świtu, ale za każdym razem odprowadzano go z powrotem; robiono to tylko tak sobie, dla śmiechu. Wielu z moich nowych przyjaciół brano na przesłuchania; mogą porównywać sposoby, metody.

Tych, którym udawało się wymykać z sieci o oczkach gęstszych z każdym dniem, co rano budził strach. Takie życie strzępi nerwy. Wszyscy mi mówili:

— Zwycięstwo nie tak szybko zaciera wspomnienia. Wciąż nas nurtuje napięcie, niepokój. Muszą minąć lata, żebyśmy mogli odzyskać równowagę.

Dla mnie to trudne męstwo, ta walka samotna i bez świadków, prowadzona przeciw wszechmocnemu wrogowi, który chce zohydzić swoją ofiarę, ma większą cenę niż bohaterstwo żołnierskie.

A jednak i Oltusky, i jeszcze z dwudziestu innych mówili mi o rebeliantach z pokorą. Oczywiście, to ludzie z Sierry zdobyli się na pierwszy zryw odwagi, który najwięcej kosztuje. To oni dowodzili, oni dali początek, oni wytrwali. Bez nich wszystko by się zawaliło; przez rok trzymali swoimi rękami wyspę. Dlaczego jednak przemoc reżymu nie doprowadziła do zrównania ryzyka i zasług wszystkich

powstańców wówczas, kiedy szalejąca ze strachu policja mnożyła tortury i zabójstwa?

Powód jest, moim zdaniem, prosty. Z chwilą swojego powstania jako organizacji M. 26—7 zgodził się, rzecz jasna, podporządkować ruch podziemny zbrojnemu powstaniu. Początkowo to podporządkowanie było cieniutkim łańcuszkiem, rebelianci ważyli tak niewiele! Byli daleko i w tak małej liczbie! Młodzi mieszkańcy miast mogli więc sobie wyobrażać, że gdyby tamtym zdarzyło się wpaść w zasadzkę, gdyby przyszło im zginąć, wówczas by ich przeżyła rozgałęziona na wszystkie miasta organizacja, która by z powodzeniem kontynuowała rozpoczęte dzieło.

Rebelianci nie zginęli; ich oddziały rosły; mieli za sobą pierwsze zwycięstwa. Stało się oczywiste, że wzięli na siebie zadanie wyzwolenia kraju i że mają dane, by to osiągnąć. W samym obozie walczących odwrócił się stosunek sił; dla M. 26—7 nie było to najmilsze przeżycie, kiedy zdał sobie sprawę, że jego podporządkowanie się rebelii, co zaakceptował w zasadzie, zamienia się w podporządkowanie rzeczywiste i że osobowość organizacji staje się względna.

Nie było w tym niczyjej winy. Ze szczytów Sierry Castro zakazał przeprowadzania aktów sabotażu i terroru, tych jedynych sposobów działania, które mogli stosować osaczeni członkowie ruchu oporu; zakazał nie dlatego, żeby pozbawiać młodych mieszkańców miast możliwości prowadzenia prawdziwej walki, lecz z prostego przeświadczenia, że czyni słusznie; robotnicy, nieliczni w M. 26—7, nie szliby na sabotaż; należało zresztą tak wygrać wojnę, by w miarę możliwości nie hamować produkcji. Terror nie był właściwą bronią: kiedy kilku studentów usiłowało zdobyć pałac prezydencki, w którym miał siedzibę Batista, zostali zabici na miejscu bądź straceni następnego dnia.

Tak więc Castro tylko użyczył swego głosu wyrokowi, jaki sama rewolucja wydała na swoich zwolenników z miast; byli nieodzownymi pomocnikami, którzy winni się mieścić tylko w granicach swoich zadań: pieniądze, broń — nic ponadto.

Mimo że ci młodzi ludzie z miast włączyli się w rewolucję bez reszty, byli dalecy od radykalizmu Fidela Castro. Albo też raczej trwali na pozycjach, które on już dawno zostawił za sobą.

W 1958 roku stosunki między bojownikami ruchu oporu i rebeliantami naprężyły się tak dalece, że niekiedy dochodziło do momentów dramatycznych. Wprawdzie kontaktowali się zbyt rzadko, żeby wszyscy mogli zdać sobie sprawę z istniejących rozbieżności, jednak odpowiedzialni ludzie z obydwu grup spotykali się nie bez uprzedzeń.

Oltusky organizował zaopatrzenie w żywność rebeliantów w prowincji Las Villas; gdzieś pod koniec wojny został powiadomiony, że na czele swoich oddziałów Che Guevara zmierza forsownym marszem do Sierry. Obydwaj mieli się spotkać w górach: dokładne miejsce spotkania nie oznaczone. Spotkali się. Było to spotkanie burzliwe.

W ciągu czterdziestu pięciu dni Guevara jadł wszystkiego jedenaście razy; był w bardzo kiepskim humorze i nie krył się ze swoją nieufnością do tego młodego człowieka, który obiecywał mu żywność. Z drugiej strony Oltusky, który urobił sobie ręce po łokcie, był zirytowany tym pogardliwym stosunkiem; obawiał się, żeby wskutek głodu rebelianci nie posunęli się do gwałtów. Uznał Guevarę za awanturnika; Guevara Oltuskyego za kontrrewolucjonistę.

Mylili się obaj. Radykalny w decyzji, gwałtowny w działaniu jak żołnierz, Guevara był człowiekiem światłym w najpełniejszym sensie tego słowa i jednym z najbardziej dalekowzrocznych, po Fidelu Castro, umysłów rewolucji. Widziałem go; tylko wariat mógłby przypuszczać, że łagodność i humor, które okazywał

swoim gościom, to cechy zapożyczone na dnie przyjęć; jego uczucia — nierówne, bo nierówne — są jego własnymi uczuciami.

Kiedy w 1958 roku zetknął się z Oltuskym, nic go nie usposabiało do ustępstw — ani głód, ani ta chmurna odwaga, która woli przewidywać najgorsze i być przygotowana na najgorsze.

Oltusky — młodszy od Guevary i pełen respektu dla tego już legendarnego bojownika, lecz jednocześnie tak samo uparty jak on — przeciwstawiał mu się nie tyle dlatego, by kierował się innymi celami czy ideami, lecz raczej ze względu na swoją praktyczną wiedzę o terrorze w miastach, ze względu na sytuację i międzyludzkie związki, które go ukształtowały.

W mieście człowiek uczy się ostrożności, cierpliwości, zastrzeżeń: Oltusky był również za tym, by iść aż do końca, ale etap po etapie, powoli. Krótko mówiąc, pierwsze przyzwyczajenia, które kształtują charakter człowieka, sprawiły, że był bardziej reformatorem niż rewolucjonistą, chociaż cele rewolucji były również jego celami.

Zapadła noc, rozmowa potoczyła się o reformie rolnej. Oltusky opowiadał się za podziałem ziemi między chłopów. Jednak jego ostrożność, jego mieszczańska roztropność — według której reformy są solidniejsze, gdy się je przeprowadza stopniowo — jego obawa, by rewolucja nie przeskakiwała etapów i nie gnała z wywalonym jęzorem po niewiadomych drogach, jego głęboka troska o interesy narodu, a może również i bardzo dawne naleciałości tej leciutkiej pogardy, jaką we wszystkich krajach miasta okazują wiejskim analfabetom — wszystko to sprawiło, że proponował nie spieszyć się: zaraz po zwycięstwie przeprowadzić podział ziemi, dać każdemu pracującemu na roli jego część, jednak nie żeby od razu był jej właścicielem, lecz tylko użytkownikiem; właścicielem stanie się dopiero po dwóch latach, o ile utrzyma produkcję powyżej ustalonego uprzednio poziomu (na ogół przeciętnego poziomu z lat poprzednich).

Guevara nie ukrywał swojego oburzenia; jeżeli ziemia należy do chłopów, to oddać im ją, natychmiast i bezwarunkowo. Jakim prawem drobnomieszczenie, którzy nie mają pojęcia o robocie w polu, mieliby stosować wobec chłopów te obelżywe dla nich środki ostrożności? Bo umieją czytać? Najgłębsza kultura zmienia się w zeszlę liście, w same tylko słowa, gdy ją zestawisz z prawdziwą świadomością rewolucyjną. Chłopi zasługują na całkowite zaufanie; przeprowadzają rewolucję, zdają sobie z tego sprawę; produkcja się nie zmniejszy.

Było już późno, a obydwaj mężczyźni jeszcze dyskutowali; i czynili to z taką żarliwością, iż bezwiednie wykazali sobie nawzajem, że mimo wszystko są braćmi; ci dwaj nie zgadzający się we wszystkim intelektualiści dali wyraz swojego pełnego porozumienia, wspólnemu im zamiłowaniu do idei i dysputy.

Ich bezpardonowa, przypierająca do muru argumentacja była ponadto wzajemnym badaniem się. Rebeliant i członek ruchu oporu przeprowadzili do końca to swoiste śledztwo. Przyglądając się sobie nawzajem, także nawzajem myśleli o sobie: zaskakujący gość, trzeba z nim dobrze żyć.

A poza tym, jak się łatwo tego domyślić, ci obydwaj ludzie czynu spędzili ową bezsenną noc na sposób intelektualistów, czyli nie osiągnęli żadnego rezultatu: decyzja nie należała ani do jednego, ani do drugiego. Sprawa została ostatecznie rozwiązana z początkiem lata 1959 roku, kiedy ogłoszono reformę rolną i, jak zobaczymy, wydarzenie to przyznało rację równocześnie jednemu i drugiemu.

W każdym razie wówczas, w 1958 roku, ich debatę przecięło przybycie ciężarówek z żywnością: Guevara się rozchmurzył, jego ludzie mogli się najeść. Oltusky urósł w jego oczach.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że już sama dyskusja dostarczyła racji nakazujących rebeliantowi estymę dla bojownika ruchu oporu. Oltusky, który nie rezygnował ani na jotę ze swoich zastrzeżeń i niuansów, dążył jednak przede

wszystkim do zrozumienia swojego adwersarza; uznając solidność rebelianckiej postawy, dał dowód lotności i inteligencji.

Guevarę ukształtowała wojna: naznaczyła go swoją własną nieustępliwością; rewolucja dała mu poczucie pośpiechu, szybkość. Starszy od Oltuskyego, sprawiał wrażenie, że jest od niego świeższy. Spotykając się z nim twarzą w twarz, członek ruchu oporu odkrywał, że to, co tak bardzo sobie ceni, a więc powolny, lecz nieustanny rozwój, jest może tylko pojęciem odziedziczonym, że to może uprzedzenia przejęte od poprzednich pokoleń hamują go, powstrzymują. Te wszystkie finezje, które tak w sobie pielęgnował, uznał więc koniec końców, i to w najlepszym wypadku, za starzyznę, a w najgorszym za maskującą się nadzieję na niedopuszczenie do reform przez ich odraczenie.

Wygrał: oddał swoje wyczucie niuansów w służbę radykalizmu. Jego szansę stanowiło to, że był pośrednikiem, że miał bezpośrednie kontakty z rebelianckimi dowódcami przed objęciem władzy. Aby do nich dołączyć i iść tym samym krokiem co oni, potrzebne mu były tylko dwie cnoty, najbardziej elementarne i najrzadziej razem spotykane: inteligencja i dobra wola.

Dobrej woli na pewno nie brakło w M. 26—7. Ani inteligencji. To, nad czym należało głównie ubolewać, to zbyt mała ilość kontaktów.

Rewolucja, jednomyślna rewolucja przeciw Baliście, przecięta była na dwoje, była dwoma rozgałęzieniami, które rozwijały się oddzielnie, nie znając się nawzajem. W miarę jak brodaci stawali się silniejsi i bardziej bezpośrednio zagrażali miastom, prawica ruchu oporu stawała się bardziej niezdecydowana: ci brodacze na czele chłopskiej ruchawki to amatorzy dzielenia, co twoje, to moje. Również i na skrajnej lewicy zachowywano rezerwę; wielu młodych mówiło mi, że w Fidelu Castro widzieli przede wszystkim syna obszarnika, i uważali, że Castro oparł się na reakcyjnym chłopstwie, by sprawować prawicową dyktaturę. Koniec końców, co chciał Castro? Kim był?

Jeden z jego kolegów czasu młodości, który pod koniec 1958 roku oczekiwał, jak wszyscy wówczas w Hawanie, przybycia zwycięzcy, pamiętał Fidela Castro jako nerwowego i chmurnego młodzieńca, który w nieposkromionej pysze rwał się do najtrudniejszych zadań: wystarczyło powiedzieć, że jakieś przedsięwzięcie zostało uznane za niewykonalne, by rzucał się na nie.

Czy z takiej mąki, rozważał ów kolega, nie powstanie tyran? Pewnego dnia zwierzył mi się ze swoich obaw, po czym powiedział:

— Wie pan, przestałem się już niepokoić, bo najtrudniejsze przedsięwzięcie na Kubie polega na tym, by sprawować władzę nie będąc ani sprzedawczykiem, ani tyranem.

VIII

Pierwsze tygodnie po wyzwoleniu — a więc początek 1959 roku — były tygodniami radości i jedności. Choć Castro nie wchodził wówczas w skład rządu (z przyczyn, o których jeszcze będzie mowa) był w oczach wszystkich człowiekiem wyrażającym tę jedność.

Chciał być takim i nie czynił nic, żeby rozproszyć tajemnicę otaczającą jego zamiary. Prawica, lewica, partie, związki zawodowe stawiały sobie pytania, w których wciąż chodziło o niego. Co on zamierza?

Jedno jest pewne: przeciwstawiał się gwałtownie wszystkiemu, co by groziło rozbiciem jedności kubańskiego społeczeństwa.

Zdano sobie z tego sprawę już w pierwszych dniach, kiedy w grę wszedł Pań Bóg: właśnie przywrócono Konstytucję z 1940 roku, w której wstępnie Bóg miał swoje miejsce; ministrowie uznali, że spokojnie można go usunąć.

Kiedy Castro się o tym dowiedział, dał upust wzburzeniu; bez względu na przekonania członków rządu nie powinni byli naruszać tego dostojnego słowa,

które od dwudziestu lat figuruje w tak zasadniczym, znanym i obecnie przywracanym tekście, ażeby nie urazić księży oraz wiernych i, tym samym, nie narazić na szwank jedności kraju. Słowo "Bóg" zrosło się już z prawem konstytucyjnym, nie wadziło; zachowując je, rewolucja nie deklarowała się jako chrześcijańska; usuwając je, proklamowała się jako ateistyczna.

Dość na tym, że w okresie owego krótkiego wytchnienia zrobiono wszystko, by umocnić jedność. Do rządu weszli zarówno członkowie ruchu oporu, jak i rebelianci: Oltusky z ruchu oporu został ministrem komunikacji, Pinos z ruchu oporu ministrem gospodarki, również z ruchu oporu był minister handlu.

Wszelkie zabiegi nie przeszkodziły jednak temu, że w samym sercu jedności wytworzyło się napięcie. Hawańczycy przyjęli "brodaczy" jak braci. Ale brodacze nie byli zbyt skłonni do bratania się.

Ci chłopci-żołnierze, ci żołnierze przeobrażeni w chłopów przynieśli do miast wojenną surowość obyczajów i wiejskie poczucie moralności. O kilka lat wcześniej wiejska armia Mao Tse-tunga obozowała z taką samą nieufnością na ulicach Szanghaju, miasta zdemoralizowanego, ofiary i współnika białych.

Ponadto niektórzy hawańczycy okazywali w pierwszych dniach podejrzaną gorliwość. (I my, we Francji, pamiętamy, jak we wrześniu 1944 roku pojawiły się na ulicach wyzwolonego Paryża mundury mocno zalatujące naftaliną). Spieszono na pomoc zwycięstwu! Dawny personel polityczny przypominał się pamięci zwycięzców i dawał do zrozumienia, że wzięłby na siebie jarzmo władzy: że wystarczyłoby mu ją tylko zaproponować. Rebelianci i członkowie ruchu oporu nazwali tych nowych przyjaciół "Ruchem 2 stycznia". Jak wiadomo, dniem wyzwolenia był i pozostanie pierwszy dzień roku.

Rzecz jasna, że sztywność tych i owych rebeliantów (będąca, być może, tylko nieśmiałością), że zawód tych i owych członków ruchu oporu, którzy mieli nadzieję żyć w rodzinie zwycięzców, a niekiedy mogli tylko z daleka ich poważać

— że te wszystkie lekkie zadrażnienia mogły powstać jedynie w atmosferze powszechnego entuzjazmu.

Nieufność i nawet zgryzota wyrażały na swój sposób przeżywanie rzeczywistego przyłączenia się wszystkich do zwycięzców: żeby się żalić na dystans żołnierzy-rebeliantów, trzeba było najpierw ujrzeć w nich przyszłych szefów, przyjąc z góry ich autorytet.

Niekiedy jednak zadrażnienia zaogniały się: gdy się nie znajduje wspólnego języka, niejasność sytuacji ustępuje miejsca prawdziwej wrogości. Albo też po prostu zanika kontakt.

Na szczęście rewolucja miała wyjątkową szansę: nikt — z wyjątkiem dwóch lub trzech partii, którym przynosiła zaszczyt indywidualna odwaga ich członków, ale które zdyskredytowały się swoim milczeniem i inercją, oraz z wyjątkiem Batisty, tego latającego tyrana, któremu wszystkie kraje świata, prócz Portugalii, odmówiły prawa azylu — dosłownie nikt nie mógł przeciwstawić zespołowi z rewolucyjnym programem jakiegoś innego zespołu czy programu. Należało do końca wykorzystać tę prawowitość wynikającą ze stanu rzeczy; należało teraz pozyskać ludność miast i — na początek — zaspokoić wspólne żądania wszystkich.

W miastach istniały dwie wciąż aktualne rewindykacje, które j ednoczyły, bez względu na różnice klasowe, robotników z urzędnikami: komorne i elektryczność zżerały im połowę zarobku, nim jeszcze 1 zdążyli zarobek otrzymać; tak dłużej trwać nie mogło.

Tylko że to samo mówiono już wówczas, kiedy jeszcze Fidel studiował prawo w Hawanie. I to samo mówiono piętnaście lat temu, a nawet jeszcze wcześniej. Nic się jednak nie zmieniło. Ale żądania ludu są na miarę jego zaufania. Podczas wojny przywódcy poznali nacisk okoliczności; po zwycięstwie doświadczyli nacisku ludowego.

Ogłosili z miejsca i autorytatywnie obniżkę komornego o 50%. Motywy tej decyzji są jasne: ledwo się zainstalowawszy w obcym mu jeszcze mieście rząd nie może sobie na to pozwolić, żeby sprawiać zawód ludności.

Należało nie obiecywać, ale działać, należało uwolnić biednych od przytłaczających świadczeń, należało zwrócić drobnemu kubańskiemu handlowi pieniądze które uciekały do USA na zakup aut i lodówek albo ponownie były głupio reinwestowane w budownictwo-zmniejszając dochody właścicieli domów, wspierano gospodarkę narodową i kierowano kapitały ku przemysłowi. Większość uznała to za słuszne, ale mimo wszystko jednomyślność zaczęła się kruszyć po brzegach. Budownictwo wchłaniało przecież, jak już o tym była mowa, wszystkie oszczędności kubańskie — nie tylko zyski bogatych, lecz i oszczędności klas średnich.

Mieszczanstwo uważało te swoje dochody za niezmiennie, a oto jednym pociągnięciem pióra zmniejszono je o połowę. Na mieszczanstwo padł strach; przerażona Hawana ujrzała w momencie paniki czerwone widmo: bolszewizm na Antylach.

Mniej było widocznej gołym okiem emocji, kiedy rząd zmusił towarzystwo telefonów i towarzystwo elektryczności do zmniejszenia taryf; tym razem korzystali z tego wszyscy, zarówno pracodawca, jak i pracownik; koszty obniżały się. I ludzkie pieniądze ściągano z kieszeni zagranicznych kapitalistów. Warstwy upośledzone wyraźnie się cieszyły; nowy rząd w ciągu kilku tygodni przeprowadził to, czego poprzednie rządy nie mogły dokonać w ciągu piętnastu lat. Powążył się podnieść rękę na amerykańskie dochody i nic mu się nie stało: nie strzelił piorun z jasnego nieba; więc jednak można "zmienić życie".

Ale w łonie mieszczanstwa wzrastał niepokój. Rządowe decyzje ujawniały tendencje do prowadzenia gospodarki kierowanej, z czym zresztą zespół stojący u władzy się nie krył i co w oczach wszystkich uspradliwiała okoliczności,

przynajmniej prowizorycznie. Widziano w tym jednak zapowiedź o charakterze skrajnym; mówiło się, że rebelianci opróżnią banki i uspołeczną środki produkcji.

Niektórzy byli nawet przeświadczeni, że wśród ministrów da się już rozróżnić jakąś lewicę, jakąś prawicę, jakieś centrum; Guevara, minister gospodarki, wydawał się bardziej niebezpieczny od innych: wściekły. Ta reputacja pozostała mu na długo; już znacznie później, bo po okresie zamieszania, o którym tu mówię, kiedy został mianowany dyrektorem Banku Narodowego, posiadacze oszczędności stanęli w ogonku przed kasami, by wycofać swoje wkłady. Dość jednak było dwudziestu czterech godzin, żeby się uspokoili: nie zaszło nic niepokojącego i mieszczaństwo przyniosło pieniądze z powrotem.

Swój postawą wobec rewindykacji robotniczych rząd nie przyczynił się do rozproszenia konfuzji. Prawdę mówiąc, nie mogło być mowy o jakiejś innej jego postawie, ale mieszczaństwo nie chciało się z tym pogodzić.

Związki zawodowe pragnęły przy nowym rządzie wygrać swoje sprawy (kto zresztą mógłby im to brać za złe?) i odzyskać prawa zdobyte za Republiki, a częściowo utracone w okresie tyranii. Akceptowały rewolucję, ale zachowywały rezerwę; rząd wydawał im się podejrzany, bo wciąż nie mogły go określić, a tym bardziej sklasyfikować; w tej swojej niepewności znalazły argument dla przeprowadzenia próby sił, i to natychmiast, kiedy młodą władzę — nazbyt jeszcze młodą, by mogła już sobie wytworzyć twardą skorupę i własny aparat nacisku — cechowała dziecięca kruchość.

Liczyły na to, że natychmiastowy atak przyniesie im dwie korzyści. Po pierwsze, że da w efekcie zwycięstwo robotnikom. A po drugie, że w tym pierwszym zwarciu rząd się odsłoni i będzie można przekonać się, jakiej on klasie i jakim interesom służy; szermując mitem jedności narodowej.

Zaczęły akcję strajkową w styczniu i wiele miesięcy prowadziły ją nie okazując zmęczenia. Strajki szły przez stolicę kręgiem; uderzały w jeden sektor, z kolei w

następny, ale prawie za każdym razem powodowały, bezpośrednio czy pośrednio, sparaliżowanie całego miasta.

Rząd przeprowadzał arbitraż; najczęściej zalecał ustąpić pracodawcom — nie przez słabość, ale dlatego, że wziął sobie za misję utrzymanie jedności. Zrodzona z wiejskiej nędzy Rewolucja źle się poza tym czuła w miastach i oczekiwała od najbardziej upośledzonych robotników, że ją podtrzymają; przywódcy czuli się bezradni nie tyle wobec samych strajków (nie mieli zresztą ani ochoty, ani środków, by je łamać), ile wobec wszelakich potrzeb i utrudnień, które były przyczyną strajków.

Warstwy średnie czuły się doprowadzone tą nękającą akcją strajkową do granic wytrzymałości. Dotąd wszystko robiły dla rebeliantów i dla kraju, podczas gdy robotnicy — ich zdaniem — nie zrobili nic a nic. Ponadto ci kupcy, ci drobni wytwórcy występowali jako naturalni sprzymierzeńcy rządu, gdyż Castro zmierzał do bronięcia Kuby przed inwazją towarów z kontynentu. Dlaczego więc za każdym razem poświęca się ich tym gardłującym robotnikom? I co właściwie ci rebelianci sobie myślą? Gdzie mają głowę? Przedtem nie mówili o niczym innym jak tylko o reformie rolnej, a dziś znów z taką samą pasją pchają się w sprawy robotnicze? Co w tej całej historii jest na serio? A co propagandą i demagogią? Nie ma przecież dnia, aby któryś z ministrów nie zapewniał, że wspólnym celem jest zwiększenie produkcji. Czy rząd zamierza osiągnąć ów cel tolerując te przerwy w robocie, te ciągle pretensje, te stracone dni pracy?

Istotną przyczyną złego samopoczucia warstw średnich była niepewność. Przywykłe do wyraźnie zróżnicowanych rządów Wschodu i Zachodu, stawiały pytania ostateczne: liberalizm czy socjalizm, demokracja czy dyktatura? Nie dostawały odpowiedzi.

Jeszcze pijane odzyskaną wolnością, już zaczęły wypatrywać w przemówieniach i w prasie dwuznacznych zapowiedzi swojego losu.

Ci sami ludzie stawiali rządowi dwa sprzeczne zarzuty: "Zabawiają nas uroczystymi deklaracjami, a w tym samym czasie wprowadzają pomału komunizm", Oraz: "Nie wiedzą, czego chcą, improwizują; nie ma wśród nich ani jednego, który by mógł powiedzieć, co zrobią jutro".

Na pozór nie bez racji wypowiedano te uwagi aż do wiosny 1959 roku. U wielu rewolucjonistów wzbudziły one długotrwałą obawę, że będzie się ich uważać za ludzi, których stać tylko na improwizowanie.

W błąd wprowadziło Kubańczyków to, że rewolucja nosiła w sobie swoją dziecięcą chorobę, która się ujawniła w końcu zimy jako łagodny na szczęście kryzys legalizmu.

Prezydent Republiki Urrutia zyskał sobie za czasów Batisty wygnanie i chwałę, gdyż swoimi wyrokami sądowymi legalizował powstanie. Tyrania Batisty, mówił, jest bezprawiem, zatem powstanie jest aktem praworządnym. Był to argument adwokata.

Przebywający na swych górskich szczytach rebelianci postanowili wówczas ofiarować Urrutii, nigdy go uprzednio nie widziawszy, stanowisko prezydenta w przyszłej Republice.

Urrutia udał się w góry; Castro z nim długo rozmawiał — i rozstał się skonsternowany. Oczekiwał człowieka, spotkał się jedynie z zasadami. Za późno jednak było, żeby wracać do sprawy wyboru prezydenta; wybór został już zakomunikowany prasie zagranicznej. Fidel wiedział, że zasady są abstrakcyjne, władcze, nieugięte; i dlatego tak bardzo źle wróżył przyszłemu rządowi, że wolał w podobnej sytuacji sam się usunąć od władzy, skoro nie można już było pozbawiać jej Urrutii. Na powrót do niej będzie miał zawsze czas po nieuniknionej katastrofie. Ta decyzja narzucała się niemal sama, ale dla Kubańczyków była źródłem osłupienia.

Począwszy od 1 stycznia 1959 roku w jednym z apartamentów "Habana Hilton" przebywał pewien kapitan armii rebelianckiej nazwiskiem Fidel Castro, który sprawiał wrażenie, że jest w rezerwie. Równocześnie w jednym ze staromiejskich budynków przewodniczył Radzie Ministrów sztywny prawnik.

Podczas swojej prezydentury Urrutia uosabiał praworządność w jej jak najbardziej formalnej i tyranicznej postaci.

— Znoszę — powiedział — domy gry, szulernie, kasyna, automaty do gier.

Bardzo młodzi ministrowie przyklasnęli; hawańskie mieszczaństwo odnosiło się życzliwie do każdej kuracji, która by uzdrowiła miasto z tego wstydliwego liszaja. Podpisany, kontrasygnowany przez prezydenta dekret był gotów.

Następnego dnia tłum podnieconych ludzi wtargnął do "Habana Hilton", wtłoczył się do wind, ruszył biegiem po schodach, zjawił się bez ceregieli u Fidela Castro. Byli to ludzie zatrudnieni w domach gier; przyszli z całymi rodzinami. Krzyczeli, że się ich zarzyna. Czy siedemset tysięcy bezrobotnych to jeszcze mało? Czy trzeba wyrzucić na bruk wszystkich pracujących, od sprzedawczynie cygar do krupiera? Zagrożone prostytutki wprawdzie nie poszły do "Habana Hilton", ale napisały bardzo godne listy, w których domagały się prawa do wykonywania swojego zawodu.

Castro zwołał natychmiast ministrów. Opuścili pałac prezydencki, Radę, Urrutię, przemierzili miasto i odszukali w amerykańskim pałacu swojego prawdziwego szefa, który teraz nie posiadał się z gniewu. Fidel nie odmówił sobie przyjemności powiedzenia im, co o tym wszystkim myśli: stali się, powiedział, współnikami kretyńskiego i nieludzkiego moralizmu, który może doprowadzić Rewolucję do katastrofy.

Znieść domy gry? Proszę bardzo. Ale pod warunkiem, że przekwalifikuje się i zatrudni zwolniony personel. A jak zatrudnić? Jak przekwalifikować, kiedy nie ma przemysłu? Do likwidacji gier przystąpi się dopiero po zlikwidowaniu bezrobocia,

a to nie nastąpi jutro. Co do prostytutek, prawie wszystkie pochodzą ze wsi; to dziewczęta z wielodzietnych rodzin nie mające w domu co jeść: mogły albo zdechnąć, albo się sprzedać. "Za prostytutkę weźmiemy się, kiedy skończymy z nędzą chłopów". Nakazywać kobietom lekkich obyczajów, tutaj, w Hawanie, żeby zaczęły żyć inaczej, to tyle samo, co mówić, żeby nic nie powiedzieć; prostytutka bez reszty przeszłaby do podziemia.

Skonsternowani ministrowie wrócili do swych ministerstw, do swych trosk; podczas najbliższego posiedzenia Rady usiłowali jak najbardziej taktownie wyjaśnić Urrutii punkt widzenia Fidela Castro.

Prawnik bez złości wysłuchał wszystkiego, co mieli mu do powiedzenia, ale nadal trwał niewzruszenie przy swoim; moralność nie pozwalała na to, żeby ktoś zdobywał lub tracił złoto w następstwie wyłożenia kupy pieniędzy na róg zielonego sukna.

— Zresztą — powiedział — sprawa jest prosta: dałem na to swoje słowo honoru.

Podobno rzeczywiście Urrutia na wygnaniu, kiedy go odurzyła własna sława, wziął na siebie zobowiązania, o które go nie proszono.

Castro położył kres kursowaniu ministrów w tę i z powrotem, narzucił swoje prawo. Nie mógł dopuścić do skompromitowania rewolucji ludowej przez nierozważne składanie na jej rachunek wzrostu bezrobocia.

Znieść jednak należy automaty do gry, które nikomu nie dają pracy, a kradną kubańskie pesos na rzecz kontynentalnych gangów; należy zachować loterię państwową, ale przekształcając ją jednocześnie; należy utrzymać gry, lecz ich domy i kasyna weźmie na siebie państwo; jemu będą przypadać zyski, ono będzie opłacać personel.

Co do prostytutek, niech zostaną; w tej pierwszej fazie rewolucyjnej, kiedy nowy rząd dopiero wszystko inwentaryzuje, kiedy dopiero odkrywa pozostawione mu przez dawny reżym dolegliwości i rany, to, co można dla nich zrobić, ogranicza się

do usunięcia ludzi, którzy je eksploatują: sutenerów podających się za ich protektorów, policjantów każących się opłacać.

Ten konflikt wydaje mi się wymowny: jak często bywa po wielkich wrzeniach ludowych, władza była dwugłowa. Władza rzeczywista nie była prawomocna, władza prawomocna nie była w rzeczywistości władzą.

Opowiadając się bez reszty za przestrzeganiem zasad, rząd legalistyczny popełniał ten sam błąd co i jego poprzednicy w 1949 i w 1933 roku: zwalczał skutki zamiast ich przyczyn. Prostytycja, gry — to były skutki. Urrutia, jakobiński mieszczanin o niewzruszalnych zasadach, pragnący natychmiast sprowadzić miasta na drogę cnoty, patrzył bez wrogości, ale i beznamiętnie na przemiany sięgające w głąb kubańskiego społeczeństwa; to nie było jego sprawą. We wszystkich krajach adwokaci, sędziowie i inni mieszczańscy intelektualiści biją na nieprzejednaność, kiedy w grę wchodzi idee, i w ten sposób maskują swoje wahania przed czynem.

Rewolucja kubańska jeszcze się wikłała w swych sprzecznościach; bała się, tak sobie wyobrażam, rzucić oie w nieznane, odczytać się w sprawach i rzeczach, kierować się swoimi prawami, kiedy już lud Hawany nie mylił się co do tego; robotnicy i gospodynie wtargnęli do dzielnicy drapaczy chmur, obiegli "Habana Hilton" i swoje żądania przedłożyli Fidelowi Castro.

Castro zrozumiał, że nadszedł czas objęcia władzy. Ministrowie i Urrutia mianowali go szefem rządu. Wyzwolenie miało się wreszcie przekształcić w rewolucję.

IX

17 maja był dla Kubańczyków dniem wielkiego rozrachunku: rząd ogłosił reformę rolną. Praktyczne, szczegółowe, natychmiast wykonalne punkty ustawy, były bardziej radykalne niż wszystkie poprzedzające ją zapowiedzi.

Od dnia ogłoszenia reformy cudzoziemcy — zarówno występujący w charakterze przedstawicieli towarzystw jak i w imieniu własnym — nie mają prawa nabywać nawet najmniejszej części ziemi kubańskiej.

Znosi się latyfundia. Nikt nie może posiadać więcej niż trzydzieści *caballerias* (czteryście hektarów) gruntu. I to jeszcze musi być przy tym spełniony jeden warunek: obszar ziemi w tych granicach zostanie przyznany Jej dotychczasowemu właścicielowi, o ile pracuje na niej; o ile natomiast tylko żyje z dochodów, jakie mu daje ziemia, będzie ona podzielona między tych, którzy na niej pracują; z gruntów poza wyżej określonym limitem właściciel majątku zostaje wywłaszczony przez państwo, które pozostałą ilością *caballerias* nadzieli chłopów bądź robotników rolnych.

Nikt nie może posiadać równocześnie plantacji trzciny cukrowej i przetwórni trzciny; jeżeli taki przypadek istnieje, plantator zatrzymuje nadal fabrykę, a traci plantację. W wypadku gdy jakaś osoba lub towarzystwo podlega wywłaszczeniu, Państwo wypłaca im odszkodowanie bonami.

Odzyskane ziemie zostaną rozdzielone w skali narodowej. Rząd stworzył w tym celu specjalny urząd: I.N.R.A.—Państwowy Instytut Reformy Rolnej. W zasadzie ustanawia się, że pole wielkości dwóch *caballerias* może wyżywić pięcioosobową rodzinę. I.N.R.A. będzie czuwać nad przyznawaniem tych nadziałów przystosowując zasadę do poszczególnych wypadków.

Niemniej jednak takie rozdrobnienie gruntów może być szkodliwe dla pewnych upraw: przede wszystkim trzcina cukrowa wymaga zawsze — niezależnie od ustrojów i rewolucji — wielkich przestrzeni oraz pracy zespołowej. Rozkawałkowanie plantacji groziłoby nieuchronnie załamaniem się produkcji. Ustawa postanawia, że zależnie od interesu narodowego wielka własność ziemska będzie albo dzielona na drobne poletka, albo w całości przekazywana spółdzielni.

Czynnikiem decydującym ostatecznie jest sama uprawa; ona domaga się od I.N.R.A. albo robotników pracujących indywidualnie, albo pracujących zespołowo. Tak przedstawiają się zasadnicze artykuły ustawy o reformie rolnej. Rząd kubański chciał jednak wciąż wyjaśniać, chciał przekonać. W samej *rzeczy* nie dysponował inną siłą prócz tej jednej: akces rządzonych. Stąd też wziął się zwyczaj poprzedzania każdej ustawy wstępem "pedagogicznym". W tych tekstach, których większość cechuje godna podziwu zwięzłość i jasność, przedstawia się obywatelom obiektywną sytuację, jej niebezpieczeństwa i wymogi; wskazuje się obowiązujące cele i sposoby ich osiągnięcia; wystarczy dokładnie przeczytać, by zrozumieć konieczność podjętych decyzji.

We Francji uważa się, że każdy jest obowiązany znać prawo. Na Kubie, że jest obowiązany rozumieć prawo.

Młodzi ludzie, z których wielu było studentami prawa lub adwokatami i którym obrzydł prawniczy formalizm, pragnęli oprzeć dekrety na rozsądku. Powstał na wyspie nowy język, który kojarzy piękną i szlachetną stylistykę rodem z Hiszpanii ze ścisłą i namiętą surowością nowego racjonalizmu.

Wśród tych tekstów — epokowych w dziejach języka Kuby, w dziejach instytucji humanistycznych — tekstem najgłębszym, tekstem, który najtrudniej zapomnieć, jest wstęp do ustawy o reformie rolnej. Właśnie on stał się polem rozgrywki o wszystko. Na tych kilku stronicach Castro mógł wygrać albo przegrać. Wygrał.

W czasach kiedy narody wszędzie wysadzają fundamenty zmurszałego kolonializmu, dyspozycje i wnioski tego wstępu stanowią po prostu Kartę narodów niedorozwiniętych gospodarczo.

Muszę tutaj, niestety, poprzestać tylko na wyjątkach z tego kapitalnego tekstu, który należałoby tłumaczyć na wszystkie języki; oto jego fragmenty, które Kubań-
czykom otworzyły oczy:

Reforma rolna ma dwa główne cele:

- a) Ułatwić wprowadzanie bądź też rozwój nowych upraw, ażeby dostarczyć przemysłowi surowców, zaspokoić potrzeby narodu w dziedzinie wyżywienia, zwiększyć eksport ziemiopłodów i, równocześnie, import potrzebnych nam towarów zagranicznych.
- b) Zapewnić rozwój rynku wewnętrznego zwiększając siłę kupna ludności wiejskiej, czyli, innymi słowy, spowodować wzrost popytu w kraju, ażeby ożywić dziedziny produkcji, które uległy zanikowi wskutek zbyt ograniczonego spożycia, bądź wprowadzić te, które dotychczas nie zdołały się u nas przyjąć wskutek braku nabywców.

Zasługa Fidela Castro i siła jego myśli przejawiają się w tych kilku tak prostych liniijkach; aż do owego czasu, do owego maja, wszyscy na Kubie sądzili, że reforma rolna jest aktem negatywnym, którego cel to zniszczenie dawnego systemu. Otóż przy pierwszej już lekturze wstępu spostrzeżono się, że rzecz nie w negacji; tekst ani jednym słowem nie apelował do ludowego poczucia krzywdy; określał reformę jako podstawę zorganizowania sił produkcyjnych i dochodów z produkcji.

Niczego jednak nie zatajano. Wstęp nie ukrywał nędzy i niesprawiedliwości społecznej, lecz nie chodziło o to, żeby wymieniać odpowiedzialnych za ten stan rzeczy; jeżeli przypominał ciężką sytuację ludności wiejskiej, to zwyczajnie, z troski o skuteczność; dla zwiększenia globalnej produkcji narodu należało podwyższyć wydajność każdego: podwyższyć ją przez zmechanizowanie rolnictwa, z chwilą, oczywiście, kiedy będzie to możliwe — więc jutro, jeszcze nie dziś. Najpierw jednak należało ją podwyższyć przez uwolnienie chłopów od jego endemicznych dolegliwości: nędzy, choroby, ciemnoty.

Czytelnik został zdobyty, gdyż odkrył w dyspozycjach pierwszej rewolucyjnej ustawy sens i oryginalność kubańskiej rewolucji — odkrył, że zniszczenie dawnego systemu jest jednoznaczne z położeniem kamienia węgielnego pod nowy.

Przepędzenie złych władców i zwrócenie narodowi tysięcy hektarów, które tamci systematycznie pozostawiali jako odłogi, oznaczało, że z miejsca została uzyskana możliwość stosowania różnorodnych upraw; rozdzielenie nie uprawianych obszarów między chłopów oznaczało, że wprowadzanie różnorodnych upraw jest już realizowane: sama szczupłość gospodarstw zmusi nowych właścicieli do jak najpełniejszego ich użytkowania. Idąca w parze z własnością indywidualną uprawa intensywna zastąpi nonszalancję gospodarowania właściwą uprawom ekstensywnym: łamiąc wyniosłą przemoc obszarników i ich służalczą pokorę wobec producentów zagranicznych, równocześnie dawano narodowi od razu niezależność w dziedzinie artykułów spożywczych.

Ta żyzna wyspa zdobyła sobie prawo produkowania dla siebie żywności; odtąd będzie się sadzić dwa razy więcej ryżu: po zbiorach 1960 roku Kuba nie będzie już więcej płacić haraczu zagranicy za ten podstawowy artykuł żywnościowy. Bardziej jeszcze uderzająca zmiana nastąpi w dziedzinie innych artykułów spożywczych: w latach 1959—60 wyda się i wygra bitwę o pomidory; na tym odcinku producenci nie zadowolą się samym tylko zaspokajaniem popytu na rynku wewnętrznym, ale zaczną konkurować w Ameryce Łacińskiej z dawnymi dostawcami Kuby.

Przed wszystkim jednak rząd mówił dosłownie, że podniesienie stopy życiowej na wsi nie jest w pierwszym rzędzie aktem sprawiedliwości, ale próbą postawienia gospodarki narodowej na nogi przez uzdrowienie struktury społeczeństwa.

Wskutek braku przemysłu wyspa ma za sobą pięćdziesiąt lat zastoju; wskutek braku rynku wewnętrznego nie mógł się zrodzić przemysł. Przypominam sobie, że podczas kryzysu w Anglii widziałem na wszystkich tamtejszych murach takie naglące wezwanie: *Buy british!* Ale z murów Kuby kogo można by namawiać

przed 1959 rokiem, żeby kupował produkty kubańskie? Bogaci natrzęsali się z wyspy; biedni nie śmierdzili groszem. O konsekwencjach mówiłem: biedni urabiali sobie ręce po łokcie, żeby dobrze rosły dolary, żeby mogli je zbierać i dostarczać bogatym, którzy je wysyłali producentom w USA.

Dewizy uciekały: bogaci otrzymywali auta, lodówki. Ale naród kubański nigdy nie był opłacony: ile by nie pracował, biedniał z każdym dniem.

Reforma przynosiła rozwiązanie: odbierała najmniej licznej kategorii konsumentów możliwość rujnowania wszystkich innych swoimi zbytkownymi wydatkami za granicą. Miała tę zaletę, że ograniczając tryb życia pasożytów, ograniczała w konsekwencji ich zakupy poza granicami kraju: rząd uderzył druzgocącymi taryfami celnymi w import towarów luksusowych, żeby bogatym zupełnie odebrać ochotę do zdradzania.

Te dwa uzupełniające się środki zaradcze (wywłaszczenie i taryfy celne) stały się opaską uciskową: ścisnęły otwartą szeroko arterię, powstrzymywały wylew krwi. A jednak byłoby to niczym, gdyby ta sama ustawa nie zmieniała zarazem życia robotników przynosząc awans nędzarzom, aby stworzyć popyt na rynku wewnętrznym i bodźce dla industrializacji.

Czekanie na świętego Mikołaja nic nie da: Kubańczycy wiedzą, że nieprędko dojdzie do uprzemysłowienia i że trzeba je przeprowadzać rozważnie.

Kapitały, fabryki, maszyny mają na Kubie — nie inaczej niż wszędzie — swoje zwyczaje, swoje stany bezwładu: jak wielki by nie był popyt, nie można liczyć, że to za jego sprawą wyrosną z ziemi fabryki. Kuba chce odejść od gospodarki kolonialnej; to znaczy, że do klasycznych struktur niedorozwoju gospodarczego (opartej na wielkich inwestycjach zagranicznych przemysł kopalniany, produkcja rolna) rząd chce wprowadzić sektor o niezmiernie doniosłym znaczeniu: rozbudować przemysł przetwórczy.

Jednak skromność jest konieczna nawet w planach na daleką metę. Kuba będzie produkować dobra konsumpcyjne, ale nie może marzyć — dzisiaj, rzecz jasna — o produkowaniu dla siebie maszyn, sprzętu mechanicznego; byłby to niepotrzebny i zgubny w skutkach ciężar dla narodu liczącego sześć-siedem milionów mieszkańców. Przemysł ciężki pozostanie więc tam, gdzie dotąd: za granicą.

Niezależność kraju nie wymaga jednak w żadnym wypadku przekreślenia importu; jeżeli kraj wyzwala się od systemu preferencyjnego w handlu, który to system przykuwał do jedynej dostawcy (i do jedynej klienty), jeżeli równoważy bilans handlu zagranicznego uzależniając wzrost importu od wzrostu eksportu, jeżeli powstrzymuje taryfami celnymi zbędne zakupy i jeżeli z całą dokładnością określa, co jest importem o znaczeniu narodowym — wtedy podstawą jego żywotnej suwerenności narodowej stanie się strategia w skali światowej i zawsze będzie mógł on zapewnić sobie swobodę działania przez wypowiedanie paktów i zmienianie klientów.

Wielcy posiadacze nie dopuszczali jednocześnie do wprowadzania polikultury i industrializacji. Reforma pozwoliła Kubańczykom zrozumieć, że natychmiastowe realizowanie gospodarki wielouprawowej od razu mogłoby spowodować ruch i w dziedzinie uprzemysłowienia.

Reforma nie kłamała: polikultura i wzrost popytu na rynku wewnętrznym tworzą jedną całość: pod naciskiem wiejskich mas znów puszczono w ruch maszyny, które stały beczynnym wskutek braku klientów. Dzisiaj, w czternaście miesięcy po zwycięstwie rebeliantów, znalazło pracę sto dwadzieścia pięć tysięcy bezrobotnych.

W tych majowych dniach rewolucja objawiła swój radykalizm: pocięła wielkie domeny. Oburzyło to tylko niewielu: po argumentach ustawy o reformie było jasne, że ten podział narzucała sama sytuacja.

Nowa ekipa rządowa nie przejmowała się ideologiami; niektórzy przywódcy nie znali ich, a inni — jak np. młody minister komunikacji Oltusky — uważali teorie za godne uwagi, ale żadna im nie wystarczała: były zbyt ogólne bądź zbyt specyficzne i najlepsze z nich miały ten mankament, że nie zrodziły się na Kubie, z przemyślenia układów cukrowych.

Niewątpliwie rewolucja spotkałaby się z żywym oporem, gdyby się określała jako socjalistyczna. Ale reforma rolna odbywała się bez nazwy. I słusznie: była atakiem na system własności, jakiego nigdzie się nie spotyka (chyba że w krajach zacofanych) — atakiem na ustrój feudalny.

Zdarzało się, że Rewolucja rozdrabniała odzyskaną ziemię, po dwie *caballerias* na rodzinę. Co więc robiła? Nic ponadto, co o półtora wieku wcześniej zrobiły wszystkie rewolucje, które zmieniały oblicze Europy: wprowadzała na pola własność mieszczańską. Natomiast w innych wypadkach nie dzielona posiadłość przechodziła do spółdzielni. Ta nowa forma nadziału zdawała się wyraźnie inspirować doświadczeniami socjalistycznymi. Koniec końców wszystko odbywało się tak, jak gdyby to ginąca własność feudalna wprowadzała na swoje miejsce dwa wszędzie dziś spotykane rodzaje użytkowania ziemi.

Ale na Kubie spółdzielnia rolna wynikała już z samej natury rzeczy. Trzcina cukrowa potrzebowała w każdym razie wielkich przestrzeni. Rozumie się samo przez się, że okraiwano dawne latyfundia z obszarów leżących odłogiem i przyznawano innym rolnikom, by zaprowadzili na nich inne uprawy. Ale rozkawałkowanie plantacji, z jej milionami zielonych łodyg, prowadziłyby do rozbicia produkcji cukru.

Czy więc rzucać na plantację dwadzieścia tysięcy drobnych, działających w pojedynkę producentów, których przeciwstawiają sobie *i* konkurencja, *i* interesy, *i* różnorodność narzędzi oraz technik? I jak wyznaczyć w tym dziewiczym lesie granice każdej własności? Ponadto jest jeszcze sprawa cukrowni, która daje

zamówienia i czeka na dostawę zbiorów. Po co więc brać ten kawałek plantacji na prywatną własność, jeżeli trzcinę trzeba ścinać wspólnie i posiadać wspólne środki transportu?

Krótko mówiąc trzcina domaga się zespołowej gospodarki; dotąd istniała feudalna wspólnota dziadów, najmitów, bezrolnych, którzy tonęli po uszy w długach i byli mocno trzymeni w garści — zamiast niej będzie jutro spółdzielnia produkcyjna.

Tutaj liczą się nie zasady czy przekonania: dawny system sam się przeobraża w organizację kolektywną. I jeden jest tego powód: stosując się do wymogów cukru, feudalna plantacja była już zorganizowana jako wspólnota pracy.

W tym też i szczęście Kuby, że nie znajdzie się tam sprzeczności, które kiedyś skrwawiły socjalistyczną Europę. Konieczność pracowania na ziemi we wspólnocie nie zderzyła się z pazernym pragnieniem robotników rolnych, żeby ziemię posiadać w pojedynkę. Przeczytajmy tekst ustawy o reformie: słowo "spółdzielnia" pojawia się w nim bez dęcia w trąby, jakby mimochodem, a ustawa w żadnym miejscu nie kłopotuje się o to, by je bliżej określić lub się z niego usprawiedliwić. Prosty jest tego powód: spółdzielnia rolna — owoc tradycji i konieczności — istniała już, zanim ją założono.

Z jakim bowiem obrazem spotykali się na Kubie ci, którzy tam przed 1958 rokiem zwiedzali tę czy inną wielką posiadłość ziemską? Pusty pałac, rządca, zespół robotników rolnych.

Dziś pałac jest nadal pusty; jego właściciel już nie wróci; rządca wolał czmychnąć lub zmienić zawód; został zespół robotników ze swoją wiedzą praktyczną, ze swoją znajomością terenu, ze swoimi narzędziami; to ta załoga zawsze zapewniała ciągłość produkcji; ci ludzie znają się wszyscy, razem tyrali, razem cierpieli i — przede wszystkim — są wdrożeni do wspólnej pracy.

Ponieważ ta elementarna, tradycyjna i od tak dawna docierana wspólnota pozostała na miejscu sama i ponieważ jej obecność jest nieodzowna, reforma czyni z niej — nic nie dzieląc — użytkownika uprawianej przez nią posiadłości; i oto wspólnota zostaje przechrzczona na "spółdzielnię".

W praktyce przemiana to o kapitalnym znaczeniu: załoga będzie sprzedawać zbiory cukrowni bez pośrednika i, przynajmniej w zasadzie, otrzymywać całość zysku.

Przed 1959 rokiem najemnicy zaopatrywali się u sklepikarza z najbliższej wsi; przemiły kupiec, który zapadł w gąszcz tamtejszej przyrody i nie miał konkurenta w promieniu co najmniej dwudziestu mil, uważał, że sam jeden wystarczy za monopol, i ustalał ceny, jak mu się żywnie podobało, a przy okazji sezonowego bezrobocia nie stronił również od uprawiania lichwy; tymi dwoma procederami zdobywał lekką ręką pieniądze mizeraków, o wiele ciężiej szło mu natomiast zdobywanie ich sympatii.

Nowy rząd postanowił zmieść tych małych paskarzy; konkurencją. I.N.R.A. otrzymał zadanie zorganizowania spółdzielni spożywców, aby spółdzielniom rolnym ułatwić produkcję.

Na każdej plantacji, w jak najbliższym sąsiedztwie robotników, pojawiają się "sklepy ludowe"; są w nich artykuły pierwszej potrzeby po cenach kosztu (plus 10% narzutu na transport, opłacenie pracowników, lokalu itp). Handel prywatny nie mógł stawić czoła takiej konkurencji: sklepikarze zamykają sklepiki.

Pieniądze z loterii państwowej przechodzą w ręce innej instytucji, I.N.A.V.(Państwowy Instytut Oszczędności i Budownictwa Mieszkaniowego), która przeznaczają je na budownictwo mieszkaniowe; każda rodzina dostaje podstawowe materiały: metalowy szkielet, trochę falistej blachy, cement. Do roboty przy budowie przystępują wszyscy. W niedzielę przyjeżdżają z miasta robotnicy, żeby też przyłożyć ręki. Plany domków są gotowe; wyjaśnia się je

robotnikom, ci się do nich stosują. W sektorze budownictwa prywatnego zadanie jest stosunkowo proste; samotniczą niewygodę dawnego *bohio* zastępuje się wygodną samotnością nowej siedziby. Ale w sektorze uspołecznionym nie wystarczy budować poszczególne domki, trzeba im dać pewien porządek jako całości.

Aż do reformy rolnej nie znany był załogom rolniczym ten ustabilizowany obraz solidarności ludzkiej, jakim jest wspólne miejsce zamieszkania. Załogi pracowały przez cztery miesiące na ziemiach wielmożnego pana, tłocząc się na noc byle gdzie, żeby tylko się przespać, a kiedy z wiosną następował okres bezrobocia, załoga się rozpraszała; robotnicy szli swoimi drogami, niekiedy aż na drugi koniec wyspy: wracali do rodzin. Obecnie pracownicy spółdzielni winni mieszkać w miejscu pracy. W porozumieniu z architektami rząd ustalił model wsi: jak najbardziej oszczędny i zarazem jak najprostszy, ponieważ sami robotnicy rolni mają realizować to wiejskie budownictwo.

Wszystkie spółdzielnie otrzymały lub otrzymają kopie takich modeli. Mogą je zresztą przystosowywać do miejscowych warunków; w jednym tylko punkcie rząd jest nieustępliwy: wieś powinna tworzyć zamkniętą w sobie całość — prywatne domostwa mieszkalne mają otaczać szkołę, "sklep ludowy" i inne budynki użyteczności publicznej.

Nie chodzi przy tym o nakłanianie rolników do życia we wspólnocie; Kubańczycy na to nie przystaną; nazbyt są przywiązani do rodzinnej intymności. Chce się po prostu, aby zobaczyli, że ich wieś to nie kupa grzybów wyrastających, jak popadnie, że grupa domostw nie może być tylko sumą przypadków, nieprzewidzianych sąsiedztw. Mieszkają razem, gdyż razem pracują; właśnie tę prawdę winni odkrywać otwierając co rano okna, jeżeli chcą pogłębić swoją "świadomość rewolucyjną".

Teraz, w marcu 1960 roku, więc bez mała w rok po ogłoszeniu ustawy o reformie, wszystko jest jeszcze do zrobienia, a mimo to zrobiono już, co najważniejsze: wszędzie, gdzie było można, spółdzielnie zabrały się do roboty; niekiedy ubiegały datę wyznaczoną przez rząd i zaczynały wznosić wieś przed otrzymaniem planów zabudowy.

Widziałem je wszędzie — rozbrzęczone jak ule, pełne rojeń o tym, żeby poprzez ciągły wzrost własnej produkcji podnieść raptownie, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, produkcję ogólnokrajową. Coraz dochodzi wśród robotników do dyskusji; mówi się, że miejscowy przewodniczący niezbyt się udał, wylicza się jego błędy, zarzuca mu, że nie wykorzystał możliwości poszczególnych ludzi, ale gdy się go chwali, wtedy można już być pewnym, że sobie na to zasłużył. Każdy chce usprawniać, odkrywać, organizować. I ta atmosfera radosnego tumultu jest dowodem pełnej zgody wszystkich na system spółdzielczy; wśród krytyk nie ma ani jednej, za którą by nie stało uprzednie zaaprobowanie tego systemu.

Usprawniać, owszem, i także lepiej organizować poszczególne prace, by zwiększyć produkcję, ale zawsze pozostając w ramach produkcji uspołecznionej. Kiedy spytałem moich kubańskich przyjaciół o przyczyny takiej harmonii, odpowiedzieli mi porównaniem warunków życia, jakie mają robotnicy spółdzielni, z warunkami życia tych czy owych robotników sezonowych.

Mówiłem o tym jeszcze przedwczoraj, podczas jazdy autem do Matanzas:

— Czy nie przychodzi im czasem ochota, żeby tę ziemię podzielić?

— Z jakiej racji? — odpowiedział mi mój sąsiad. —

Ochota na posiadanie ziemi nie jest z góry wypisana w mózgach. Aby odczuwać taką pokusę, trzeba by mieć przynajmniej jakieś doświadczenie w tej dziedzinie. A ci ludzie, z ojca na syna, nic nigdy nie mieli prócz czarnej maczety u pasa. Dziedziczyli głód, nędzę, choroby, nic poza tym; chcą, żeby ich od tego uwolnić; chcą mieć dach nad głową, chcą pracować dla siebie pracując dla wszystkich,

podnosić wciąż poziom życia, nie mieć innego pana nad naród, stopić się z całą kubańską społecznością. Mają lub też będą mieli to, czego pragną. To są roszczenia namacalne; w porównaniu z nimi sprawa posiadania ziemi — indywidualnie a nawet kolektywnie — jest dla nich, jak pan może sobie wyobrazić, abstrakcją.

X

Dla Stanów Zjednoczonych sprawa jest jasna: Castro zagarnął władzę bez stawiania swojej kandydatury; władzę tę sprawuje od czternastu miesięcy, a dotąd nie spytał wyborców o zdanie, nie uczynił nawet tyle, żeby ze zwykłej kurtuazji podać datę wyborów, choćby jak najodleglejszą, choćby taką, którą by później miał jeszcze bardziej przesunąć. Jednym słowem: jawna dyktatura.

Amerykańscy obywatele są bardzo przywiązani do swoich instytucji: liberalizm gospodarczy i parlamentaryzm to, według nich, dwa cycki demokracji. Albo więc demokracja, albo, rzecz jasna, faszyzm lub komunizm; wszelkie rządy o takich czy innych odchyleniach gotowi są pakować do jednego worka. Prasa sobie na tym używa; skończył się szlachetny rycerz z gór; w jego miejsce czytelnicy odkrywają z przerażeniem Hitlera. Albo Stalina. Co kto woli.

Fidel niepokoił o tyle bardziej, że od pierwszego dnia przywrócił Konstytucję z 1940 roku.

— Po co? — pytały kontynentalne dzienniki. — Po co, jeżeli nie wprowadza jej w życie?

Ten szacowny tekst przewidywał istotnie wybieralny parlament i odpowiedzialnych ministrów. W nowym rządzie nie było nawet śladu parlamentu — ani wybieralnego, ani niewyberalnego. Ministrowie, owszem, byli; może nawet odpowiedzialni, ale nikt nie wiedział przed kim.

Purytanów z Północy wyprowadzała z równowagi ta konstytucyjność zasady; uważali, że to hipokryzja, że jest to — jak się mówi u nas we Francji — zakłamany hołd występku wobec cnoty. Ta Konstytucja to tylko mydlenie oczu; była nieustannie gwałcona przez jednego despotę, który ją stworzył, a teraz drugi despota, który przepędził pierwszego, wyciągnął ją z rynsztoka, przywrócił w całej chwale po to, żeby też ją z kolei gwałcić.

Jankesi mają ugruntowany pogląd na demokrację: podporządkowuje ona — jeśli nie w praktyce, to przynajmniej w teorii — ekonomię polityce. Wynik tego jest taki: prezydent USA zabiega o wolne głosy wolnych obywateli, którzy je też dobrowolnie składają, a on, pragnąc je zachować dla swej partii, będzie bronił wolności osobistej obywateli i, w konsekwencji, wolności posiadania.

Castro — spadkobierca tyrana i sam tyran — nie potrzebuje ani wolnych wyborów, ani wybieralnego parlamentu, nic mu po nich; gwizdże sobie na aprobatę, chce posłuszeństwa; wyspa staje się z miejsca jego posiadłością, schodzi do rzędu własności prywatnej. Krótko mówiąc, podczas gdy parlamentaryzm zachowuje i pomnaża prywatne formy własności i produkcji, dyktatura prowadzi do socjalizmu — to znaczy, według tych myślicieli — do koncentrowania dóbr wszystkich w rękach jednego.

Nieporozumienie bierze się stąd, że poglądy Fidela Castro i jego przyjaciół są całkowicie odmienne.

Kubańczycy, jak to się zaraz okaże, są szczerymi demokratami. Ale półkoloniom, nawet wyzwolonym ostatnio, brak pewnej cechy metropolii: szlachetnego idealizmu. Patrząc, jak po ich murach płyną potoki obcych neonów, za które przyszło im słono płacić, rozważając sprawę współzależności między trzcina, nędzą, niewolnictwem i niemocą, młodzi Kubańczycy pomału przywykli uważać, że polityka jest zależna od ekonomii.

Należy zauważyć, że nie kierowali się przy tym żadną doktryną; doktrynerami są kontynentalni purytanie. Purytanin uogólnia; to przyjemność ludzi lubujących się w abstrakcji. Kubańczyk nie uogólnia nigdy. Jedyne jego problem to wyspa i to, co należy na niej zrobić. Powiedźcie mu, że w jakimś kraju, w Europie bądź w Afryce, stworzenie systemu politycznego jest chwilowo pilniejszą sprawą niż dążenie do wzrostu produkcji, wysłucha was uważnie, niewątpliwie uwierzy i po prostu zakonkluduje: — U nas jest akurat odwrotnie. Albo też nawet nic nie powie, wiedząc, że i tak się go rozumie. A "rozumieć" znaczy na tej wyspie tyle samo, co podzielać rewolucyjne przekonania, zwłaszcza to spośród nich, najważniejsze, że gospodarka kierowana jest dla Kuby nieodzowna, gdyż tego wymagają okoliczności.

W Nowym Jorku, w Waszyngtonie reaguje się oburzeniem już na samo słowo "gospodarka kierowana". I stąd ten dziwny obyczaj, że każdy rząd, który nie ma stanowiska w sprawie stosunków własności, jest tam zwany rządem komunistycznym.

Gdybym na ten temat dyskutował z nielicznymi przyjaciółmi, którzy mi jeszcze pozostali w Ameryce, uprzedziłbym ich najpierw, że nie będziemy wspominać o zasadach, bo nie o nie tu chodzi — że zastanowić się należy nad warunkami.

Nie można definiować niedorozwoju gospodarczego jako zwyczajnych niedomogów ekonomii narodowej. Jest to złożony stosunek między krajami zacofanymi a wielkimi mocarstwami, które je utrzymywały w zacofaniu; oswobodzona ze swych łańcuchów półkolonia znów staje w całej swojej nędzy wobec zirytowanego mocarstwa, które dotąd było jej metropolią. Musi jak najprędzej uporać się z własną biedą — albo znów popadnie w zależność. Innego wyjścia nie ma: nawet gdyby za dotknięciem jakiejś różdżki czarodziejskiej wielkie mocarstwo wyzbyło się imperialistycznych

koncepcji, wyzwolona kolonia musi się ratować o własnych siłach albo też sama oddać się w ręce swoich byłych kolonizatorów.

Jednym słowem, niedorozwój to gwałtowne napięcie między dwoma narodami, a o jego nasileniu decyduje stopień zapóźnienia jednego w stosunku do drugiego.

Śpiącej, trzymanej w odosobnieniu wyspie śniło się w 1958 roku, że żyje w roku 1900. Obudziła się, aby stwierdzić, że zegarek jej sąsiada szedł i dalej idzie bez zatrzymania, a on sam żyje ponad wszelką wątpliwość w roku 1958.

Prawie sześćdziesiąt lat zapóźnienia: oto sedno sprawy. I jedyny problem kubański polega na tym, jak nadrobić zapóźnienie.

Obecnie maruder startuje z półwiekowym handicapem; ślania się na nogach i widzi, daleko przed sobą, pędzącą w tumanie kurzu czołówkę. Jednak to właśnie ją musi dojść, co oznacza, że nieszczęśnik winien biec szybciej niż najlepsi.

Wyspa musi się uwijać w piekielnym tempie. Skoro zrezygnuje z wytwarzania u siebie jednego, choćby najdrobniejszego produktu, który może fabrykować, ' będzie go musiała sprowadzać z Nowego Jorku czy z Chicago, co stanie się początkiem regresji, której już nie da się zahamować: nastąpi nawrót do wielkich posiadłości ziemskich, do cukru, do niewolnictwa.

Tak więc, co by nie począć, kubańska produkcja w tym okresie, tak bardzo bliskim niedawnej sytuacji półkolonialnej, nie rozwija się swobodnie, chociaż jeszcze żaden kraj nie próbował naprawdę przeszkodzić rozwojowi wyspy. Gdyby nawet założyć, że wyspa spotyka się ze wszystkich stron tylko z życzliwością, to i tak szybkość oraz rytm jej produkcji a zwłaszcza wskaźnik wzrostu byłyby od startu uwarunkowane dotychczasowym rozwojem, aktualnymi przemianami oraz zamiarami otaczających ją mocarstw.

— Żąda się od nas idei, doktryny, przewidywań — powiedział mi Guevara — a zapomina się, że nasza rewolucja jest rewolucją odporu.

Chciał przez to powiedzieć, że główną sprężyną poczynań nie jest wyspa; środki podejmowane przez kubańskich przywódców w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi to zawsze riposty; nic bardziej oczywistego.

Z jednej strony mały kraj liczący sześć milionów sześćset tysięcy mieszkańców, a z drugiej kraj wielki, którego liczba mieszkańców sięga prawie dwustu milionów; dochód narodowy wielkiego jest pięć razy większy na głowę mieszkańca niż małego.

W gwałconej ekonomii, bo do tego sprowadzają się owe stosunki, przymus reprezentują Stany Zjednoczone; spróbujmy jednak uwierzyć w świętego Mikołaja i przypisać im na chwilę idealną niewinność. Otóż nawet w tak krańcowym przypadku fabrykanci z Pittsburga czy z Detroit wykazują obiektywnie zapóźnienie Kuby (aby tego nie wykazywać, musieliby zatrzymać swoje maszyny) i powodują tam stan zagrożenia, to znaczy prawie wymierną obecność śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Sądzę, że nie znajdzie się w Europie ani jeden człowiek o liberalnych poglądach, który by nie uznał, że okoliczności istniejące na Kubie wymagają gospodarki kierowanej; narzuca ją tej rolniczej wyspie hyperindustrializacja kontynentu. Rewolucyjny rząd podlega temu naporowi rzeczywistości, obraduje codziennie pod groźbą, przekształca tę cudzoziemską groźbę w wymogi gospodarki kubańskiej, określa wysiłek, jaki trzeba podjąć, oraz wskazuje, który z sektorów gospodarki znajduje się bezpośrednio w większym czy mniejszym niebezpieczeństwie. Jakże mogłoby być inaczej?

Czy wyspa ma prawo wyrzucać pieniądze w morze, kiedy rodzący się przemysł żąda na gwałt kapitałów? Czy ma pozwolić, żeby uprzemysłowienie dokonywało się, jak popadnie, w wyniku przypadkowego spotkania czyjś kapryśnego pomysłu z wypchanym portfelem kogoś drugiego? Nie. Już dłużej nie może marnotrawić swoich sił.

Rolnictwo samo się domaga umiarkowanego planowania gospodarczego; mało jest ważne po reformie rolnej, do kogo należą grunty; ważne natomiast podczas wprowadzania polikultury jest to, że naród, jako całość, decyduje, co właściciel — indywidualny bądź kolektywny — będzie na nich uprawiał.

Naród to, oczywiście, Instytut Reformy Rolnej, którego nikt nie wybierał i któremu nikt nie dawał mandatu. Lecz kiedy stało się zrozumiałe, że kraj umiera wskutek niestrawności spowodowanej dolarami i cukrem, kiedy stało się wiadome, że albo mu się przepisze inny pokarm, czerpany z własnej gleby, albo się dopuści do tego, że wyciągnie kopyta, wówczas przyznano Instytutowi Reformy Rolnej techniczną suwerenność — bez mandatu, którego przydzielanie zależy nawet nie od Castro, ale od surowej konieczności. I.N.R.A. to organizm, który robi, co robić należy.

Istnieją, będą istniały również inne instytuty powoływane przez rząd. Wszystkie. Bo nieodzowna jest myśl obejmująca całość — myśl, dla której punktem wyjścia w przeprowadzaniu drobnych realizacji jest całość tego wszystkiego, co chce się stworzyć.

Aby uzyskać od robotników największą wydajność, nie narzucając im jednak wyczerpujących godzin nadliczbowych, istnieje jeden tylko środek w okresie przejściowego braku nowoczesnych maszyn: organizacja; jednym, a nieustannym ruchem przeprowadza się zmianę struktury i stosunków produkcyjnych. I któżby miał przeprowadzać owe zmiany jak nie kierowniczy zespół, koncentrujący w swych rękach i umiejętności, i władzę?

Ale amerykański purytanin potępia wszędzie, nie uznając wyjątków ani okoliczności łagodzących, doświadczenia gospodarki kierowanej.

Według niego tylko tyrani mogą myśleć o koncentrowaniu wyłącznie w swoich rękach wszelkiej władzy gospodarczej, o czym przesądza już to, że prawem kaduka zagarnęli już wszelką władzę polityczną. Nawet najbardziej liberalni Amerykanie

nigdy na to nie przystaną, aby centralizacja gospodarcza dała się choćby w najmniejszej mierze pogodzić z prawdziwą demokracją. To ich *credo*.

Ale nieporozumienie występuje w jeszcze ostrzejszej formie; Amerykanin dobrej woli rzekłby w takim wypadku Kubańczykom: "W porządku! Dowiedźcie nam, że wasz rząd jest w stanie stosować tę swoją gospodarkę kierowaną w porozumieniu z wybranym parlamentem".

W gruncie rzeczy chce przez taką uwagę powiedzieć, że gospodarka kierowana to dyktatura, ale my, Amerykanie, dajemy wam następującą szansę: łagodźcie ostrość poczynań władzy wykonawczej rozsądkiem władzy ustawodawczej. Otóż jest to znowu całkowicie odmienne od praktyki kubańskiej: tamtejsi przywódcy, przeświadczeni o nadrzędności ekonomii, chcą przywrócić do życia wolność ludową wszędzie, gdzie należy stosować planowanie gospodarcze: lud nigdy nie będzie wolny, o ile najpierw nie osiągnie całkowitej wolności w zakładach pracy bądź na roli. Jimenez, dyrektor I.N.R.A., powiedział mi: — Wybory? Dlaczego by nie? Nie mam nic przeciw wyborom. Ale mówię o nich bez entuzjazmu, bo chwilowo polityka jest martwa; przecież zna pan nasze problemy, nasze pilne potrzeby. Za jakiś czas — dorzucił uprzejmię — kiedy polityka ożyje...

— Dlaczegoż by miała ożyć? — spytałem, chcąc zobaczyć, co z tego wyniknie.

Jimenez to człowiek subtelny. Nad bujną brodą przewinał mu się po twarzy uśmiešek. Nie odpowiedział mi jednak. A w każdym razie nie od razu; dopiero po chwili milczenia:

— Dlaczego ma się zawsze mówić o demokracji w jej politycznym aspekcie. Aspekt ten, oczywiście, istnieje i może pan być pewien, że jestem daleki od niedoceniań jego ważności, ale występuje on na samym końcu; nie jest niczym innym, jak tylko mamidłem, o ile poprzez wolność głosowania nie wyraża wszelkich przejawów wolności. Nie wiem, jak w pańskim kraju przedstawiają się stosunki między pracodawcami a pracownikami. Ale mogę panu powiedzieć, że u

nas, przed 1 lutego 1959 roku, nie były to stosunki demokratyczne. Dzisiaj wyspa kroczy naprzód, zwróciliśmy ludowi jego prawa; każde cięcie maczety, każde założenie nitu zbliża nas do pierwszego celu, do demokracji pracy.

W kilka dni później poprosiłem o okazały zbiór ustaw rewolucyjnych; otrzymałem go, przejrzałem. Szybko jednak zrozumiałem swoją pomyłkę; wziąłem go za zestaw nowych instytucji kubańskich, czym akurat być nie mógł, bo w gruncie rzeczy te instytucje nie istnieją. Nie dlatego, żeby rewolucja była jeszcze zbyt młoda na stworzenie sobie podstawowych instytucji, bywają rewolucje, które w sześć miesięcy po narodzinach określają się na całą wieczność, nawet gdy koło fortuny tak się potoczy, że przychodzi im zniknąć w niemowlęcym wieku.

Nie: Kubańczykom śpieszy się bardzo, żeby mieć pola pomidorów i huty stali, a o wiele mniej, żeby wejść w posiadanie tekstów prawnych. Zobaczymy jeszcze, jakiego rodzaju prawa narzuca im sytuacja; jednak już teraz mogę powiedzieć, że są to akty, nie słowa.

Pozostaje Konstytucja z 1940 roku. Po co ją adoptowano — ktoś powie — skoro nie pora ją stosować? Odpowiedź jest prosta.

Przede wszystkim ten stary testament Republiki cieszył się popularnością; Kubańczycy zachowali wdzięczność dla Konstytucji, że pozwoliła im w 1944 roku przepędzić Batistę po raz pierwszy; przywiązali się do niej przez opozycję do tyrana, który uważał w 1952 roku, że chytrze się jej pozbył.

Wskrzyszając ją, rewolucjoniści przedłużali jedność Kubańczyków, co było, jak mówiłem, jednym z ich głównych celów. Ale istniało już między nimi i narodem zrozumienie bez słów, w czym amerykańscy korespondenci ani rusz nie mogli się zorientować. Nie było Kubańczyka, który by uważał, że go wyprowadzono w pole; nikt nie oczekiwał z niecierpliwością przyszłych wyborów; byli zadowoleni, że rząd oddał hołd temu historycznemu pomnikowi. Może to brzmieć paradoksalnie,

ale z głębokim respektem dla Konstytucji łączyli równie głęboką pogardę dla zrodzonego przez nią systemu rządów.

My, Francuzi, możemy ich zrozumieć: również i w naszych dziejach zdarzało się, że mieliśmy gorycz w ustach i żółć w gardle, myśląc o wybranych Izbach, na przykład tych z 1849 roku.

Na Kubie parlamentaryzm skończył się na długi okres czasu. Raz się tylko zdarzyło, że wygwizdano Fidela Castro; było to w Oriente, kiedy wojna została już wygrana, ale rewolucja nie objęła jeszcze władzy; Fidel urządził wiec i przemawiał; otrzymał brawa. Ale gdy mówiąc o suwerenności narodu zaczął wyjaśniać, w jakich formach ta suwerenność będzie się przejawiała, szczególnie podkreślając system Izb ustawodawczych, powstał wówczas taki harmider, że uznał za właściwe nie nastawać dłużej.

Trzeba było w każdym razie zdać sobie jasno sprawę, że ci ludzie nie kochają swoich dawnych posłów; z chwilą kiedy wyrwano ich ze stanu upokorzenia, niemocy, nie zgadzali się, by spychano ich tam ponownie, żeby wydawano szympansom.

Co do młodych ludzi na stanowiskach kierowniczych, ich niechęć do parlamentaryzmu zasadza się nie tyle na przeszłości, na nieprzyjemnych doświadczeniach ich ojców, ile na przyszłości, na groźbach tkwiących w zarodku w systemie parlamentarnym.

— O co chodzi? — pytał mnie jeden z nich. — Żebyśmy głosowali? Nic z tego. Bardzo przepraszamy, ale nie dajcie sobie zawracać głowy amerykańskimi bzdurami, że wszyscy umieramy tu ze strachu, bo wybory postawiłyby nas w mniejszości. Tylko jak macie przy tym czoło domagać się, by nasi przywódcy przeprowadzili referendum, a jednocześnie powtarzacie w waszych wszystkich książkach z dziedziny historii politycznej, że referendum jest w zasadzie tylko uświęceniem faktu dokonanego? Doprawdy, my znamy naszą wyspę i wiemy, że

konsultacja wyborcza — referendum czy nie referendum — dałaby Fidelowi Castro 90% głosów. Wolno panu w to nie wierzyć, ale niech pan trochę zaczeka, niech pan trochę pojeździ z Fidelem, a będzie pan jak i my, będzie pan wiedział.

Miał słusność: w dwa dni później wiedziałem. A raczej — jeszcze lepiej — wiedziałem na własne oczy.

Do tego, co zobaczyłem, powrócę i przedstawię czytelnikowi moje racje. Tymczasem jednak sprawy jeszcze nie zaszły tak daleko. Mojemu rozmówcy powiedziałem najzwyczajniej:

— Załóżmy, że podana przez pana cyfra jest prawdziwa; otóż właśnie dlatego powinno by się chyba uznać referendum za konieczne. Jego wynik byłby wielkim triumfem; wszystkie wrogie dzioby musiałyby się wtedy zamknąć; nie bardzo więc rozumiem, dlaczego byście mieli wyrzekać się triumfu?

— Z jednego powodu — odpowiedział. — Nie chcemy płacić za triumf rewolucjonistów miażdżeniem rewolucji. Co jest istotą naszej ekipy? Jedność poglądów, jedność praktyczna. Jesteśmy wielością w jedności; jeden i ten sam człowiek jest wszędzie równocześnie; nieustannie wyjaśniamy tę prawdę, że po przepędzeniu obszarników naród niedorozwinięty gospodarczo musi widzieć w produkcji wspólny mianownik, wspólny interes wszystkich klas. Czym byłby obecnie wybieralny parlament? Zwierciadłem naszej niezgody.

— Mówił pań, że niezgody nie ma.

— Właśnie, trzeba napięcia pracy, temperatury stopu, ażeby grupy i osoby mogły się uwolnić od swego ograniczonego punktu widzenia. Na szczęście wszystko, co robi się u nas, robi się na gorąco. Lecz gdyby pan wszystko zatrzymał, żeby dać ludziom ustawę wyborczą, wtedy by się rozdzielili, bo ustawa wyborcza jest po to, żeby rozdzielać. Wystarczy na dowód powiedzieć, że nazywają ją sprawiedliwą, gdy grupy i interesy są reprezentowane w parlamencie proporcjonalnie do swojego znaczenia narodowego. I zresztą wyborca powinien przecież wybierać; istnieją

więc co najmniej dwie partie. Znaczy to, że istnieje wymienna ekipa, co nie jest znów takie złe, ale co znaczy również, że istnieje wymienna gospodarka. Dwie gospodarki, dlaczego by nie? Ale gdzie indziej, nie na naszej wyspie i nie dzisiaj.

I spytał mnie wprost:

— Co by pan począł, gdyby panu zaproponowano przeprowadzenie wyborów na Kubie? Wyborcę znajdzie się zawsze i nie on nas niepokoi. Ale co z tymi, których należałoby wybierać? Ustanowimy na papierze liczne partie; owszem, bardzo dobrze. Ale skąd wziąć partie rzeczywiste? Myśli pań, że się same urodzą? Wątpliwe; niech pan tylko spojrzy, jak im spieszno zniknąć. Zazieleni się znowu kilka uschłych drzew; partia ortodoksyjna zachowała egzystencję nominalną i siedzibę; opowie się za nią trochę czterdziestolatków. Ale podejmie się pan wynaleźć jej program? Ta mieszczańska formacja umiarkowanej lewicy nie będzie miała czoła stanąć bardziej na lewo od rewolucjonistów i nie będzie też tak naiwna, żeby stawać na prawo od nich. Rewolucja jest nieodwracalna: czy ktoś może sądzić, że naród oddałby głosy na kandydata, który by proponował odejść od reformy rolnej i zacząć od momentu zerowego?

Prawda przedstawia się tak, że w półkolu ław poselskich nie byłoby dziś miejsca na żadną inną orientację; z konieczności, przez jedność swego praktycznego działania rewolucja jest swoją własną prawicą i swoją własną lewicą. Znaleźli się w niej i z sobą związali członkowie ruchu oporu i rebelianci. Każda nowa partia musiałaby najpierw akceptować ramy rewolucyjnej działalności, jej podstawowe zamierzenie i środki; nie mogłaby nic przedsięwziąć, o ile by nie przejęła na swoje konto aktualnego celu całej wyspy: zwiększenia produkcji.

Na czym by więc polegały rozbieżności? Dla wszystkich istnieje w każdym razie ta sama najpilniejsza potrzeba: iść szybko naprzód. Wszędzie — jak to zobaczymy — ludzie uczą się wymagać; wszyscy są zainteresowani w pośpiechu. Czy można sobie wyobrazić kandydata, który by chciał stanąć przed wyborcami, aby im

obwieścić, że w odróżnieniu od ekipy rewolucyjnej będzie szedł naprzód wolniej niż ona? Jedyne sposoby, by się od niej odgradzić, a przy tym nie przepaść, polegałyby na jej zdystansowaniu.

Ale te młodziki u władzy potrafią się uwijać i mają poza tym siedemnaście miesięcy doświadczenia. Niech ich ktoś popróbuje dogonić. Nawet by nie podejmowano takiej próby. Gdyby jutro przeprowadzono konsultację wyborczą, gdyby nawet wiele partii ubiegało się o głosy Kubańczyków, wybór byłby zbyt łatwy: z jednej strony dobrze wprowadzona, skutecznie działająca, sławna ekipa, która może się powołać na swoje chwalebne czyny, przedsięwzięcia i ich rezultaty, a z drugiej strony formacje, które ledwo wyszły z powijaków, które nie mają najmniejszego doświadczenia w sprawowaniu rządów i które nie mogłyby dać nic prócz abstrakcyjnych obietnic.

XI

Największy skandal kubańskiej rewolucji nie polega na tym, że wywłaszczyła plantatorów, ale że zasadziła do władzy dzieciaków. Ich dziadowie, ojcowie, starsi bracia czekali od lat, aby dyktator był łaskaw umrzeć i aby mogli go zluzować: awansowano by według starszeństwa.

W przewidywaniu tego odległego dnia, w którym by doszło do zmiany ekipy rządzącej, partie podejmowały od czasu do czasu ryzyko głoszenia publicznie, jak bardzo są przywiązane do parlamentaryzmu. Wszystko szło gładko aż do owego pięknego poranka, kiedy młodzi świsnęli władzę i dali do zrozumienia, że jej nie wypuszczą z rąk.

Nic po starych u władzy! Istotnie, ani jednego z nich nie widziałem na kierowniczych stanowiskach; krążąc po wyspie, stykając się z ludźmi na wszystkich szczeblach kierowniczej drabiny, spotykałem — jeśli wolno mi się tak

wyrazić — moich synów. A w każdym razie synów moich rówieśników. Ojców się nie zauważa; ta wyspa ma pięćdziesięciolatków niezwykle dyskretnych.

Szczupły blondyn bez zarostu, minister komunikacji, na pewno nie jest beniaminkiem Rewolucji; ma dwadzieścia dziewięć lat: przeciętny wiek w tej ekipie. Cechuje go jednak właściwa młodzieniaszkom wesołość na poważnie; to wystarczy, by koledzy żartowali sobie z jego młodzieńczości, co znów powoduje, że ich własna młodość budzi zdziwienie.

Armando Hart ma dwadzieścia siedem lat, Guevara, Raul Castro ledwo przekroczyli trzydziestkę. Kiedy nie rozmawiają o sprawach publicznych, są to, między sobą, młodzi ludzie, którzy uprawiają szermierkę na ciężkie dowcipy; ale jednocześnie można zauważyć, że szybko zaczynają się starzeć — o wiele za szybko, moim zdaniem.

Słyszałem od niektórych z nich, że upór Urrutii należy tłumaczyć brzemieniem jego wieku; Urrutia nie przekroczył sześćdziesiątki. Zgodni są jednak, że prezydentem Republiki powinien być człowiek w latach, co jest zewnętrzną oznaką rozwagi; dlatego też cieszą się, że nowy prezydent, Dorticos, liczy sobie, jak mi powiedział jeden z nich, "co najmniej czterdzieści lat". Jeśli chodzi o mnie, czuję się — gdy jestem pośród nich — bardziej stary niż w Paryżu. I, mimo ich bezgranicznej uprzejmości, obawiam się, że ich krępuję swoją osobą, a zarazem zdradzam mych rówieśnych.

Ponieważ istniała potrzeba rewolucji, okoliczności dały młodzieży mandat na jej przeprowadzenie. Tylko w młodych było pod dostatkiem gniewu i lęku, by się tego podjąć — i pod dostatkiem czystości, by się im powiodło.

Przyrost demograficzny obalał na tej wyspie równowagę i sprawiał, że starzy byli w mniejszości. Ale starzy mieli od dawna posady, miejsca pracy; kurczowo się ich trzymali. Nowo przybywający spostrzegli — skoro tylko zdołali podnieść wzrok i ogarnąć kubańskie społeczeństwo — że u wszystkich drzwi jest tłok, że ostatnie

miejsca pracy zostały zdobyte szturmem przez ich starszych braci. Potem drzwi zamknięto: ani mowy, żeby się przepchać.

Z jednej strony muru była niezmienna piramida ludzi jakoś urządzonych, a z drugiej powiększający się z roku na rok tłum bezrobotnych, którego pierwsze szeregi odczuwały coraz bliższy, coraz mocniejszy napór następnych. Żadnej przyszłości, chyba że nazwać przyszłością kurczące się możliwości egzystencji. Nowi bezrobotni odkrywali, że bezrobocie nie jest rzeczą przypadku, że to po prostu ich przeznaczenie. Masy owych młodych ludzi odmówiły nagle uznawania systemu, który im odmawiał życia. Dorośli mieli szczęście — a może nieszczęście, patrząc na to dzisiejszymi oczyma — że mieli pracę: jeszcze więc coś posiadali, co by mogli utracić; regularny zarobek, choćby nawet najskromniejszy, skłania do rezygnacji.

Młodzi nie mieli nic do stracenia; widzieli, że starsi od nich nie chcą się narazić tyranii, i myśleli: "Godzą się z nieszczęściem, bo to nasze nieszczęście". Porywając się przeciw przywilejom, synowie buntowali się zarazem przeciw dorosłym i, w obliczu ich zrezygnowania, doszli do bezkompromisowości, której już nie utracili i która pomogła im zrozumieć bezkompromisowość Fidela Castro. Dla tych *enfants terribles* rewolta przeciw dyktaturze stanowiła jedną całość z rewoltą przeciw postawie ludzi, którzy swoją biernością przyzwalali na dyktaturę bądź ją podtrzymywali; jedną i te samą całość stanowiło dla nich starcie na proch zaciężnej armii i zmuszenie do abdykacji starszych pokoleń. W tej zaskakującej przygodzie wsie wyzwoliły miasta, a synowie ojców.

Gdy żołnierze wracają z wojny, łączy ich braterstwo niedostępne cywilom; tutaj to zjawisko wy sięgnęło w formie jeszcze ostrzejszej; młodzi żołnierze podziemia zwierzali się niekiedy ze swoich zamierzeń młodszym braciom, młodszym siostrą, natomiast ze złośliwą satysfakcją strzegli tajemnic przed pokoleniem odchodzącym.

Kwestia bezpieczeństwa, jasne; ale skąd się to brało, że właśnie starsi nie cieszyli się zaufaniem? Synowie przemierzali okolice pod fałszywymi nazwiskami, zaopatrzeni w fałszywe papiery; w ich rodzinnych domach młodsze rodzeństwo czuwało, gotowe kłamać, jeśli by zaszła potrzeba, gotowe ich o wszystkim uprzedzać, tak że szacowne głowy rodziny nie wiedziały o niczym.

W jednym z prowincjonalnych miast zdarzyło się w kilka dni po zwycięstwie, że pewien lekarz potrzebował benzyny; zwrócił się o jej przydział, został skierowany do rewolucyjnych władz i stawił się w ich głównej kwaterze. Miejscowy dowódca znajdował się akurat na inspekcji, doktor musiał więc poczekać na jego powrót. Czekał; podobnie jak wszyscy znał młodego dowódcę z jego konspiracyjnego nazwiska i wiedział o jego zasługach; były one — według tego, co mówiono — tak znaczne, że rebelianci powierzyli mu, po zdobyciu miasta, zadanie jak najszybszego zlikwidowania bezhołowia spowodowanego wojną. Lekarz poczuł się niebawem zbity z tropu, ponieważ wydało mu się, że chyba zna uwijających się tam młodych ludzi, bezpośrednich współpracowników dowódcy, którzy z uporem zwracali się do siebie po pseudonimach, a dowódcę określali jego przydomkiem; miał wrażenie, że ich widywał przed bramą uniwersytetu bądź gimnazjum. Nieco później odkrył, na pocieszenie, że zna również dowódcę, i to od strony na ogół najmniej znanej: był to jego syn.

Ów młody człowiek wcześniej się był ożenił, miał synka, młoda para mieszkała — zgodnie z tradycją — u rodziców męża: czy można sobie wymarzyć rodzinę bardziej zżytą? Wojna szalała, ale poczciwy syn spał każdej nocy pod rodzinnym dachem. To znaczy, że kilka razy w tygodniu spędzał noce poza domem, ale żona strzegła tajemnicy jego nieobecności.

Z bardzo pomieszаныmi uczuciami lekarz przyjął do wiadomości, że jego syn jest słynnym człowiekiem, ale trochę nazbyt dyskretnym. Przez cały czas trwał w niewiedzy; zwiódła go spokojna obecność młodziutkiej żony i niemowlęcia.

Utrzymano go w tej niewiedzy, aby nic nie zakłócało nocnych wypadów syna. Co gorsza, o wszystkim wiedziała synowa; mimo swojej wåtłosci więcej budziła zaufania niż mężczyzna w sile wieku. Wyjaśnienie całej tej historii odbyło się w radosnej atmosferze; rewolucja zwyciężyła, więc działalność syna była w pełni godna pochwały.

Nie wiem, czy ów lekarz zastanawiał się nad samym sobą, czy doszukiwał się powodów ostrożności, która, koniec końców, zawierała potępienie dla niego; na pewno jako powiernik syna nie wydałby go nawet na torturach; ale czyby go zachęcał? Słowa pewnego młodego mieszczanina rewolucjonisty wydają mi się najlepiej wyrażać punkt widzenia młodzieży:

— Poważałem i wciąż poważam ojca i starszych braci; to porządni ludzie, byli mi wzorem w dzieciństwie, chciałem ich przez całe życie naśladować. A potem rozczarowałem się; nie ich w tym wina i nie moja.

Wyobrażam sobie, że można na sto innych sposobów opisać styl ludzi i funkcjonowanie mechanizmu państwa. Co do mnie, zaczynam od tego jednego sposobu i będę się go trzymał. Jeżeli jest potrzebna — a jest potrzebna — jakaś nić przewodnia, to najbardziej bezpośrednią, najbardziej niewåtpliwą oczywistością jest młodzież; wszędzie jest obecna, pełno jej na ulicach; wieczorami, w Hawanie, przeprowadza ćwiczenia nad morzem. Nie przestając być sobą, młodością, przeistoczyła się w wewnętrzną wartość swoich przywódców. Deklarując swą rewolucyjność, działała jako statut społeczny; stosunki pracy, konflikty klasowe, wszystko się podwajało o czynnik podstawowy: konflikt młodych, dźwigających życie, z dorosłymi, którzy im to życie dali. W warsztatach, na polach, w ministerstwach praca jest dzisiaj młoda. Naprawdę młoda. I idzie z biegiem wskazówek zegara: nie należy mieć za sobą zbyt wielu lat, żeby rozkazywać; aby słuchać, wystarczy nie mieć więcej niż lat trzydzieści. Oznacza to, że ustrój dokonuje radykalnego przeobrażenia stosunków międzyludzkich i jest tego

wyrazem. Jeżeli chcemy zrozumieć te zmodyfikowane stosunki, należy we wszystkich dziedzinach szukać konsekwencji następującego wydarzenia historycznego: inwazji barbarzyńców na Kubę.

Na bardzo ucywilizowaną, lecz nieco indolentną część ludności wyspy rzuciła się nowa barbaria: młodzież, która do ostatniej chwili szła zamaskowana. Nowi zdobywcy dobrze traktują tubylców, lecz zachowują wobec nich dystans, zawierają związki małżeńskie między sobą: nie bratają się.

Wiele rewolucji może się użalać na ludzką modłę: "W moim życiu nie było młodości!" Za mocno — i za wcześnie — popędzano je, biedactwa: z konieczności musiały nadrabiać klasy, zdawać egzaminy, zapadały na choroby dziecięce. Kuba ma dotychczas szczęście: nie musiała sobie skąpić na tym pierwszym okresie; ma szczęście, bo inaczej by się to dla niej skończyło samounicestwieniem; od 1957 do 1959 roku rewolucja młodości przygotowywała nową przygodę, którą wyspa przeżywa od czternastu miesięcy: młodość rewolucji.

Postawmy sobie pytanie: jakie ma to znaczenie dla młodej władzy, że sprawują ją młodzi?

Co do mnie, rozpatrzę tylko trzy główne kwestie: jak nowe zadanie formuje tych młodych ludzi na wykonawców, którzy je mają skutecznie przeprowadzić; jak ci młodzi ludzie przedłużają w konstruktywnej rewolucji jej negatywne właściwości rebelii; jak realizują w praktyce wyrok, który na ludzi dojrzałych wydała presja demograficzna. Innymi słowy: co zrobiła z nich władza? Co oni robią z władzy? Czy na tej wyspie, która każdego dnia młodnieje, przeprowadzili konieczny przewrót w dziedzinie sojuszów i oparli swoją praktyczną demokrację na jak najbardziej nowych stosunkach międzyludzkich?

Kiedy objęli władzę, wówczas ich młodość stała się miarą ich niedostatków i ona też im pozwoliła je udźwignąć. Na wszystkie stanowiska potrzebowano fachowców, techników, ekspertów, specjalistów: skąd ich brać? Brakowało kadr; a

jeśli nawet można było je znaleźć, należało szukać tej elity w podejrzanym świecie ludzi dojrzałych. Wykwalifikowani specjaliści mają skłonność do wyczekiwania; trzymali się w rezerwie, między światłem a cieniem, i ukradkiem badali puls rewolucji; otóż nazajutrz po dziejowych burzach, kiedy wszystko leży powywracane, kiedy trzeba uprzątnąć ślady wojny i kiedy nawrót wrogiej ofensywy nie jest jeszcze zupełnie wykluczony — podstawową więź stanowi wówczas zaufanie.

— Castro — powiedział mi któregoś dnia Guevara, wskazując na swoją głowę — z trudem mógłby znaleźć głowę odpowiedniejszą; znalazłby może bardziej udaną, ale wie, że nie znajdzie takiej, z którą jego własna mogłaby porozumieć się lepiej nawet w szczegółach myśli.

Uznanych praktyków pozostawiono ich niepewności; zdecydowano obejść się bez ich usług, zadania przydzielano zaufanie. Rząd rebeliantów i członków ruchu oporu stawiał rebeliantów i członków ruchu oporu na czele najbardziej technicznych wydziałów w ministerstwach i instytucjach. Otóż ani jedni, ani drudzy nie mieli dotąd czasu (w dwudziestym roku życia pochłonał ich zamęt walki) wyrobić sobie jaśniejszego poglądu na ten czy inny wycinek problemów kubańskich, zdobyć potrzebnych kompetencji i doszlifować ich. Wszyscy się uskarżali, o czym już mówiłem, na szkolnictwo: słowa, słowa, w których nie ma prawdy; tym, którzy chcieli studiować i uzyskać na uniwersytecie pierwsze stopnie wyspecjalizowania, Batista odmawiał kultury w sposób bardziej jeszcze kategoriyczny: byle niepokój na uniwersytecie wystarczył mu w ostatnich latach za pretekst do zamykania uniwersytetu *sine die* (Ostatnie w czasie zamknięcia uniwersytetu trwało od 26 listopada 1956 roku do kwietnia 1959 roku).

.Doprawdy, nic i nikt nie mógł pomóc młodym na odpowiedzialnych stanowiskach; ani ludzie dojrzały, ani tradycje (więzy wyspy z jej folklorem, z jej

pragnieniem niezawisłości, zostały zdecydowanie przecięte jan-kesowskimi nożycami około 1900 roku), ani też wielcy ludzie przeszłości. Przykład tych ostatnich nie mógł się na nic przydać Fidelowi Castro; sytuacje były zbyt odmienne; łączyła ich tylko odwaga i niezłomna wola zdobycia dla kraju niepodległości.

Tak więc zwycięzcy mogli liczyć jedynie na samych siebie; cele były widoczne, ale droga do nich nie urotowana. Co mieli robić ci młodzi, skrupulatni ludzie? To samo, co by kto bądź zrobił na ich miejscu; zrozumieli, że weszli w okres "człowieka-orkiestry"; każdy z nich musi grać na wszystkich instrumentach. Kiedy niedorozwinięty kraj porywa się na wielki wysiłek, żeby się uwolnić od nędzy, cały zapoczątkowany ruch albo gdzieś naraz skręci, tak że cierpienia i ofiary w ludziach pójdą na marne, albo też przywódcy wezmą na siebie — do czasu stworzenia kadr — całe brzemie obowiązków, uznają się za kompetentnych we wszystkim i nie będą się lękali zamienić w ludzi uniwersalnych.

— Zrobiono mnie ministrem komunikacji — mówił mi Oltusky — ale nie bardzo wiem dlaczego; chyba z tego powodu, że przedtem miałem za zadanie ją niszczyć.

— Przede wszystkim jestem lekarzem — mówił Guevara, częstując mnie świetną kawą w swym biurze — następnie trochę żołnierzem, a wreszcie, jak pan widzi, bankierem.

Nie jest on na Kubie wyjątkiem pod tym względem: rewolucja chętnie rekrutuje swoich "ludzi-orkiestry" spośród lekarzy lub chirurgów.

Instytut Reformy Rolnej podzielił wyspę na strefy ekonomiczne; do administrowania każdą z nich, na wszystkich szczeblach, potrzebni byli agronomowie. Wzięto lekarzy, niekiedy weterynarzy. Pytali, co tam mają robić. Otrzymali odpowiedź:

— Zobaczycie.

Było sporo niepowodzeń, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, ale, podsumowawszy wszystko, korpus medyczny wypełnił swoje dodatkowe zadanie lepiej niż zaszczytnie.

.— To dlatego — powiedział mi ktoś — że lekarze mają wycucie organizmu; traktują strefę, okręg gospodarczy jak żywe ciało i wiedzą, że jedno jest w nim zależne od drugiego.

Dla mnie jednak ten sukces lekarzy-agronomów bierze się przede wszystkim ze szczególnego charakteru ich umiejętności; ci praktycy nauczyli się od czasów uniwersyteckich łączyć nierozdzielnie praktykę i wiedzę; do swojej nowej działalności wnieśli dotychczasowe przyzwyczajenia; w improwizowanym przez siebie rozwiązaniu widzą od jednego rzutu oka zastosowanie ścisłego prawa, które będą próbowali ustalić.

Fakultet medycyny nie sam tak króluje; ze wszystkich wolnych zawodów przychodzą ochotnicy; bywają także wśród nich młodzi ludzie, którzy dotąd nie pracowali w żadnym zawodzie.

Innymi słowy, "człowiek-orkiestra" jest zawsze uzurpatorem: zajmuje stanowisko, które normalnie powinno by przyspać komuś drugiemu; na swoje wytłumaczenie może powiedzieć tyle tylko, że tego drugiego nie ma. Nikt na Kubie nie posiada pełnych kwalifikacji, żeby robić, co robi; ale ludzie tym się nie przejmują; kwalifikacje przyjdą z sukcesami w pracy, dyskwalifikacja z niepowodzeniami.

Jak długo rewolucja nie oddziela plew od ziarna — jak długo nie zwróci prywatnym zawodom pechowców i ludzi jej nieprzychylnych — tak długo nikt nie obejmuje na Kubie swego stanowiska z przeświadczeniem, że będzie je sprawował na stałe; nominacja oznacza wystawienie człowieka na próbę, nic więcej; każdy jego kolejny sukces to kolejne odroczenie, ale już następny dzień, następna godzina są dla niego w dalszym ciągu niepewne. Jest uzurpatorem, być może, ale

tymczasowym; wyspa nie zna tego, co gdzie indziej określa się jako p r a w a n a b y t e.

Ci młodzi ludzie, nurtowani poczuciem swojej niekompetencji, obawiają się przyszłego błędu i wynikającego stąd potępienia; nawet nie przychodzi im do głowy, że mogliby się bronić powołując się na dawne zasługi; nie licowałyby to z poczuciem dumy.

Istnieje jednak wyjątek: Jimenez. Z góry miał kwalifikacje na kierowanie I.N.R.A. Jedyne wartościowe studium o Kubie, opublikowane za czasów Batisty, wyszło spod pióra tego geografa. Czy doszedł do geografii przez bunt, czy do buntu poprzez geografę? Pewne jest w każdym razie, że ujawniał w swojej książce schorzenia i wskazywał leki; czynił to z obiektywnością, która ani trochę nie przypadła do gustu reżymowi: książkę skonfiskowano. Obecnie ukazała się ponownie, wciąż aktualna.

Mówiąc o tym, do czego jednak oto prowadzę: najbardziej niezawodna wiedza i uznawane wszędzie, nawet za granicą, kompetencje są dla tego rewolucjonisty kwalifikacjami tylko pozornymi: wszystko, co zostało napisane, powiedziane, zrobione przed pierwszym dniem owego wiadomego roku, jest i będzie martwą literą, to przeszłość. Jimenez geograf nie ma większych kwalifikacji od Jimeneza rebelianta, by się stać reformatorem. Ma pełne dane i jest godny kierować Instytutem dzięki mozolnemu wysiłkowi, na jaki musiał się zdobywać i wciąż się zdobywa, aby samemu się przeobrazić przeobrażając kraj. Podczas powstania mógł być bez trudu uczonym oraz żołnierzem: te obydwie działalności nie są ze sobą ani w stanie wojny, ani pokoju: nie znają się nawzajem. Wszystko zaczęło się dopiero po zwycięstwie: nie da się zakreślić granicy, nie da się powiedzieć "odtąd—dotąd" wymogom sprawy narodowej. Jest rzeczą niemożliwą być w spokoju ducha i geografem, i rewolucjonistą. Jimenez wprzągnął geografę w służbę rewolucji. Trzeba było przystosować wiedzę naukową do szczegółów potrzeb praktycznych,

nieustannie przeobrażać uczonego w praktyka, aby poddać działanie kontroli wiedzy. Jego znajomość miejscowości, terenu, klimatu straciła wszelką autonomię: sprowadza się ona codziennie, tylko dla niego czytelna, do zarządzeń z rodzaju detalicznych: założyć w takiej a takiej węglami spółdzielnię złożoną z dziesięciu bądź piętnastu rodzin; zdecydować, jakie ziarno należy siać w takim a takim miejscu, gdzie indziej zarządzić przystąpienie do prac zalesiania. Niełatwa to rzecz stać się człowiekiem czynu, kiedy jest się uczonym; nie osiąga się tego bez nadwerężenia sobie kości.

W chwili kiedy ludzie przywykli do naukowych gabinetów uczyli się wprowadzać teorię w czyn, inni, uformowani przez czyn, musieli szukać światła teorii.

Jednym i drugim mocno doskwierały ich braki, a już najbardziej w pierwszych miesiącach 1959 roku. Stając przed zadaniami niecierpiącymi zwłoki, odczuwali swoje mankamenty tak dotkliwie, że czuli się zagubieni. Jedni mówili: "Czy się odwagę podjąć decyzję?", a drudzy: "Czy będę rozumiał, co zadecyduje?"

Z tych dwu wypadków drugi może wydać się bardziej deprymujący: oto po dwóch latach dżungli konieczność powrotu na ławę szkolną. Gdyby mieli czterdziestkę, wiek by sprawił, że ich niewiedza byłaby w sobie bardziej okrzepła, a zdolności nadszarpnięte rdzą: ludzie dojrżeli gubią się, gdy chce się ich uczyć; oblatuje nas strach, że nie potrafimy czegoś wchłonąć lub zatrzymać. Kiedy "człowiek-orkiestra" jest zbyt stary, rewolucja skrzypi, sztywnieje: następują ciągle tarcia, wszystko robi się nerwowo. W krajach niedorozwiniętych, które próbują wybrnąć z sytuacji, brak kadr wywiera zdwojony nacisk na przywódców: produkować, najpilniejsza rzecz to produkować. Przystępuje się więc do batalii: o pomidory, o ryż, następnie o żelazo. Przeznaczać wówczas jedną czy drugą godzinę na postudiowanie agronomii, obróbki metali — to znaczy ukraść ją i stracić.

Traci się ją równie dobrze, angażując się, a nie widząc przy tym dalej niż koniec własnego nosa i pracując we mgle. Tyle tylko, że jest to mniej widoczne: już się nie kradnie, w grę wchodzi marnotrawstwo. W ostatecznym rozrachunku koszty są takie same; nawet większe, jeżeli będzie trzeba ponownie przystąpić do tej samej roboty. Jakże produkować, jak zwiększyć produkcję bez dostatecznej wiedzy? Nie należy przy tym utożsamiać rewolucji — która podejmuje świadome ryzyko i opiera swoje inwencje na doświadczeniu — z awanturnictwem, które jest tylko przezabawną grą przypadków.

Krótko mówiąc, dwojaki i sprzeczne z sobą wymogi określają czas rewolucjonistów: ani minuty na teorię, wszelka akcja musi być oparta na doświadczeniu. "Człowiek-orkiestra" wie najpierw, że nie wie nic, że wszystkiego musi się nauczyć, więc musi uczyć się cały czas, ale ponieważ wszystko przed nim do zrobienia, więc musi przez cały czas działać.

XII

Na Kubie ratuje przywódców ich wiek. Młodość pozwala im podchodzić do rewolucyjnego zjawiska w jego całej krańcowej surowości. Jeżeli któryś z nich musi wziąć się do nauki, sięgnąć po wiadomości teoretyczne, nie mówi o tym nikomu: traktuje to jako swoją osobistą sprawę; nikt nie będzie wiedział, na jakim odcinku (zazwyczaj w grę wchodzi życie prywatne) zebrał trochę okruchów czasu; nikt nie będzie wiedział, że nieustannie wzmaga intensywność wysiłku, aby nieustannie skracać okres nauki.

Jednak to, o czym nikt mi nie mówił, można odgadnąć: Guevara (poprzestańmy tylko na jego przykładzie) uchodzi za człowieka wielkiej kultury. I to się widzi; nie potrzeba wiele czasu, aby zdać sobie sprawę, że za każdym jego zdaniem jest złota skarbnica. Ale tę rozległą wiedzę, te ogólne wiadomości młodego lekarza, który

poszedł za swoimi zainteresowaniami, za swoją pasją i poświęcił się studiowaniu nauk społecznych, dzieli całą przepaść od precyzyjnych, fachowych wiadomości, jakie są nieodzownie potrzebne bankierowi Państwa.

Sam nigdy o tym nie mówi, chyba że żartując ze swojej zmiany zawodów. Ale wyczuwalna jest intensywność wysiłku: zdradza ją wszystko prócz spokojnej i wypoczętej twarzy. Już sama godzina naszego spotkania jest niezwykła: dwunasta w nocy. A i to jeszcze miałem szczęście; dziennikarze i zagraniczni goście są przyjmowani bardzo chętnie i długo, ale około drugiej lub trzeciej nad ranem.

By się dostać do jego gabinetu, przechodzimy przez obszerny pokój. Jest nieumeblowany; tyle tylko, że kilka krzeseł i ławek stoi wzdłuż ścian. W rogu stół z telefonem. Na krzesłach i ławkach żołnierze; zmęczenie przytłacza wartowników, a jeszcze bardziej tych, którzy śpią i których nawet w snach dręczy niewygodna pozycja. Za stołem z telefonem młody rebeliancki oficer: skurczony we czworo, długie czarne włosy rozsypane na ramionach, czapka zsunięta na nos, oczy zamknięte. Lekko pochrapuje; jego zaokrąglone wargi mocno ściskają koniec dużego, ledwo co napoczętego cygara; widocznie je zapalił, by odpędzić pokusę snu, i była to ostatnia jego czynność przed zaśnięciem. Przechodząc przez ten bardzo jasno oświetlony westybul, miałem wrażenie, że wsiadłem przed świtem do pociągu i znalazłem się w przedziale ze śpiącymi pasażerami. Widziałem otwierające się, podczerwienione oczy, bezwładne, zmordowane ciała. Jeszcze nie chciało mi się spać, ale już czułem — za ich pośrednictwem — jak gruby jest we mnie pokład nie dospanych nocy.

Otworzyły się drzwi, weszliśmy: dotychczasowe wrażenie znikło. Oczekiwał mnie rebeliancki oficer; był w furazerce i, podobnie jak żołnierze z westybulu, nosił długie włosy i brodę okalającą mu twarz o matowej cerze; sama twarz, gładko wygolona, była jednak rześka, jakbym spotykał go rano. Był to Guevara.

Czy brał przed chwilą prysznic? Dlaczego by nie? W każdym razie wcześniej zaczął pracować poprzedniego dnia, obiad i kolację jadł w biurze, już przed moim przyjściem przyjmował zgłaszających się do niego ludzi i miał zamiar jeszcze przyjmować następnych po moim wyjściu. Usłyszałem, jak zamykają się za mną drzwi, i utraciłem zarówno uczucie zmęczenia, które tkwiło we mnie od dawna, jak i poczucie czasu. Noc nie ma wstępu do tego biura; odniosłem wrażenie, że dla tych czuwających — dla tego wszystkiego, co w nich najlepsze — potrzeba snu nie jest potrzebą naturalną, a tylko rutyną, od której mniej czy bardziej się wyzwolili.

Nie mam pojęcia, kiedy Guevara odpoczywa i kiedy odpoczywają jego towarzysze. Pewnie różnie z tym bywa; czynnikiem decydującym jest wydajność: jeżeli się zmniejsza, zatrzymują się. W każdym razie szukają godzin leżących odłogiem, więc nic bardziej oczywistego, że wyrywają je przede wszystkim z latyfundiów snu.

Należy sobie wyobrazić pracę — nieustanną, na trzy zmiany po osiem godzin — i dodać, że od czternastu miesięcy wykonuje ją jedna i ta sama ekipa. Właśnie to jest ideałem owych młodych ludzi, ideałem prawie osiągniętym; rok 1960 stał się na Kubie rokiem białych nocy. Jeszcze się wprowadzie przeprowadza rozróżnienie między nocą a dniem, ale tylko przez uprzejmość i wzgląd na zagranicznych gości: oszczędza się ich.

Jednak mimo wszelkich względów, jakimi mnie otaczano, moi kubańscy przyjaciele nie mogli się powstrzymać, żeby nie ograniczyć do ścisłego minimum ilości godzin, niedorzecznie poświęcanych przeze mnie na sen; kładłem się bardzo późno, budzono mnie bardzo wcześnie. Lecz wcale nie dawało mi się to we znaki; przeciwnie: często mnie złościło, że ja już idę spać, a oni jeszcze nie śpią, choćby pora była jak najbardziej późna, i że są na nogach o kilka godzin wcześniej ode mnie, choćbym się budził nie wiem jak rano.

Nie da się żyć na tej wyspie nie uczestnicząc w napięciu, które jest tu wszystkim wspólne.

Ci młodzi ludzie mają kult, dyskretny zresztą kult energii, którą tak bardzo umiłował sobie Stendhal. Ale niech nikt nie sądzi, że mówią o tym, że robią z tego jakąś teorię. Żyją energią, posługują się nią, może ją odkrywają, w każdym razie widzi się ją po rezultatach, bo mówić o niej nie mówią zupełnie. Ich energia się przejawia.

Chcąc dniem i nocą utrzymać w swoim biurze i na własnej twarzy tę pogodną świeżość, jaka jest właściwa porannym godzinom, Guevara potrzebuje energii. Potrzebują jej wszyscy, żeby pracować, a bardziej jeszcze, żeby usuwać — w miarę jak się pojawiają — oznaki znużenia pracą, oznaki senności i skazy przez nią powodowane. Mówią, owszem, o swojej nerwowości, ale ani im w głowie ją okazywać; w samokontroli nad sobą dążą do tego, żeby wyglądać na wypoczętych — więcej: są wypoczęci. Sięga to tak daleko, że owa energia, która się stała ich drugą naturą, służy im do tyranizowania ich natury właściwej.

Robią, co trzeba robić; robią wszystko, co trzeba, więcej niż trzeba. Mówiłem, że skąpią sobie na śnie; to jest konieczność; z drugiej strony nie ścierpiłoby, żeby agresja, gdyby do niej doszło, zaskoczyła ich w łóżkach. Rozumiem ich. Kto by nie rozumiał? Kto by nie zrozumiał tego, że w obliczu zamachów i sabotaży obawa i gniew każą im czuwać niejedną noc? Jednak zaszli w tym jeszcze o wiele dalej. Bez mała mogliby powtarzać za Pascalem: "Trzeba przestać spać". Na zawsze. Chciałoby się powiedzieć, że sen ich opuścił, że on także wyemigrował do Miami. Znam ich tylko od strony ich potrzeby czuwania. Bo jest to potrzeba. Pasja.

Czuwają nawet bez powodu. Czy też raczej przedstawia się to tak: oto muszą skończyć przed świtem jakąś pracę; skończyli; za oknami już dzień; praca kończona o świcie daje poczucie swoistej radości, której dobrze ze wstającym dniem. Nie mają więc ochoty wracać do siebie, zapuszczać story i znów

wprowadzać ciemność przepędzoną przez słońce; nie chcą na tych kilka wolnych godzin grzebać w otępiałość fałszywej nocy ani świtu, ani swojej własnej sprężystości umysłu. Patrzą na wstający dzień, na palmy dziedzińca, na morze; są szczęśliwi; wracają do biurka, zatrzymują się, na stojąco kartkują jakieś mniej pilne akta, siadają by przeczytać któryś z dokumentów i — o ósmej czy dziewiątej — pierwszy interesant zastaje ich w biurze; są ogoleni, uśmiechnięci, wyglądają świeżo, lecz oczy im się mrużą wobec naporu nowych zadań.

Przy tym wszystkim nie ma u nich ani śladu jakiegoś zgrywania się; przeciwnie: są skupieni, skrupulatni. Zużyją się na pewno zbyt szybko. Podczas posiedzeń Rady Ministrów, zebrań komitetów czy też podczas innych dyskusji zawsze jednak się znajdzie grupa kierowników za każdym razem innych, którzy postanawiają palnąć pozostałym kazanie, przemówić im do rozsądku; w końcu dochodzi do istnej ulewy oczywistych prawd: nie ujedzie się daleko, jeśli nie dba się o konia. Czyli: czas spać.

Te rozsądne rady spotykają się z ogólnym entuzjazmem, wszyscy jednogłośnie postanawiają natychmiast się do nich zastosować. Zebranie się kończy, jeszcze tylko pożegnalne uściski i — dobranoc. Każdy wsiada w czekające na niego auto, budzi szofera i, skręciwszy za rogiem gmachu, podaje adres ministerstwa, instytutu itp., aby tam po prostu zostawić na biurku jakieś zlecenie na jutro. Następnego dnia można znaleźć pod przyciskiem zarówno to zlecenie, jak i wiele innych — i można także zastać ministra czy dyrektora, który z ożywieniem kreśli plan jakiegoś nowego zadania.

Z Franquim, dyrektorem dziennika "Revolucion" sprawa wygląda inaczej; jest cokolwiek starszy niż ogół rewolucjonistów, ale dopóki rewolucja nie przestawiła jego życia, żył swobodnie, zależnie od humoru pisał lub nie pisał. Obecnie żyje życiem twardym, pełnym, nie zostawiającym czasu na wytchnienie. Kiedy przystał do ruchu oporu, kiedy wziął na siebie sprawę prasy podziemnej, kiedy

wybrał wojnę domową — poczuł, że gwałtowna siła wyrywa go z właściwego mu rytmu, że naznacza go na całe życie rytmem prawie ponad siły, że wciąż w nim wzmaga napięcie.

Od czasu do czasu odczuwa zmęczenie i to go niepokoi. Ten ogorzały, wąsaty mężczyzna o wielkich oczach nie chciałby przede wszystkim, żeby nerwy zaczęły mu nie dopisywać. W jego spokojnym, nagim głosie ani śladu jakiegoś akcentowania, gdy mówi, że nie spał od trzydziestu dwóch godzin, więc nie może nam dotrzymać towarzystwa; jest za dumny i za dyskretny, żeby nas krępować swoim stanem fizycznym czy swoimi troskami. Rozumiemy w każdym razie, że musi być rzeczywiście bardzo wyczerpany. Jeżeli więc chce, odwieziemy go. Ależ nie, nie trzeba; zresztą: może po prostu podwieziemy go do redakcji, gdyż ma tam jeszcze coś załatwić, a w godzinę później będzie już w łóżku. Wysadzamy go przed redakcją i udajemy się, wraz z innymi przyjaciółmi dziennikarzami, do restauracji, którą dla nas wybrał. W godzinę później, gdy siedzimy przy stole, zjawia się Franqui; twarz ma znużoną, ale uśmiecha się do nas. W redakcji zastała go robota; trzeba się rozprawić z bałwańskimi oskarżeniami opublikowanymi przez któryś z amerykańskich dzienników przy okazji podróży Eisenhowera do Ameryki Południowej; krótko mówiąc, ma nocną robotę; zje coś teraz z nami, zanim znów się wprzęgnie w kierat. Wkrótce potem odchodzi. Gdy go spotykamy na drugi dzień, jest ogolony, rześki.

W sprawach jedzenia są wszyscy mniej pryncypialni; kiedy akurat jest coś pod ręką, kiedy akurat o tym pomyślą i kiedy nie mają nic innego do roboty, jedzą; oczywiście nie znaczy to, żeby mieli zaraz brać dwa posiłki dziennie, choćby nawet chodziło o posiłki bardzo skromne. Ale zakazu jedzenia nie ma.

Kiedy zapraszali mnie na kolację, nie odmawiali sobie. Jednak żadnych trunków. Chyba że — przez uprzejmość — typowo kubański "daiquiri"?, ponieważ polubiłem jego lekki smak rumu w topniejącym śniegu cytryny.

Jest w nich latyńska wstrzemięźliwość. Cudzoziemcy przychodzili upijać się w hotelach Vedado, ale Kubańczycy, nawet za Batisty, odnosili się do picia z niechęcią. Rzecz w tym, że moi przyjaciele chcieliby odszukać atmosferę czasu wojny, kiedy trudności zaprowiantowania nadawały gwałtowny charakter miłości od pierwszego wejrzenia krótkiemu spotkaniu rebelianta z gorącą strawą. Móc ni stąd, ni zowąd nasycić głód, poddać się mu, to rebeliancki ideał; wykluczyli natomiast ze swego codziennego programu rutyniarską kolejność obiadów i kolacji — do tego zresztą stopnia, że zdarzały się dni, kiedy ci młodzi ludzie, okazujący swoim zagranicznym gościom jak największą troskliwość i dbałość, zapominali o naszych żołądkach, ponieważ nie pamiętali o swoich własnych.

Zbudzeni pewnego dnia o wczesnej godzinie porannej wyruszyliśmy autem z Santa Clara do małego portu rybackiego, a stamtąd, wraz z dziesiątkiem naszych przyjaciół, popłynęliśmy żaglówką i po kilku godzinach dobiliśmy do bezludnej wyspy, która zresztą nie stała się o wiele bardziej ludna, gdy wysiedliśmy na jej brzegu. Jakby uwięzieni na wąskim pasie ziemi i piasku przez bujną, zachłanną roślinność, prażeni słońcem, rozmawialiśmy ospale, w mocno zwolnionym tempie. Zapadł już wieczór, kiedy zaczęliśmy się zbierać do powrotu, zdając sobie lepiej niż kiedykolwiek dotąd sprawę z niedoli Robinsona. Ktoś się wtedy spostrzegł, że nie dano nam nic do jedzenia. Kilka godzin postu to nie taka znowu wielka historia i, prawdę mówiąc, nawet tego nie zauważyłem; energia moich współtowarzyszy jest zaraźliwa: zapominając tak dokładnie o prawach swoich żołądków, oddali mi tę przysługę, że i mój żołądek nie upominał się o swoje. W osłupienie wprawiło mnie jednak, że ci młodzi ludzie i ich młode żony niczego nie zaniedbali: na żaglówce były kanapki. Przygotowano je w Santa Clara, wieziono autem, wieziono łodzią, aby dostawić na tę nie zamieszkaną wyspę — tyle tylko, że w ostatniej chwili zostawiono je na pokładzie. Ktoś gotów by spytać, dlaczego ?

Jednak gdy się cokolwiek, choćby nawet bardzo powierzchownie zna Kubańczyków, miałoby się ochotę odpowiedzieć pytaniem na pytanie: dlaczego je w ogóle brano?

Najbardziej zaskakujące było dla mnie, że przez cały czas trwania tej robinsonowskiej wycieczki na wyspie mieliśmy żaglówkę przed oczyma. Widzieli ją. Ale nie widzieli kanapek. Gdyby jechali sami, nie robiliby sobie nawet zachodu, żeby przygotowywać piknik, żeby się z góry troszczyć o swoje apetyty.

Ze wszystkich, którzy tu nie dosypiają, najbardziej nie dosypia Castro; z tych wszystkich poszczących najwięcej zjeść i najdłużej pościć jest w stanie Castro. O tym jego pełnym pasji zapamiętaniu można mówić jak o szansie Kuby. W każdym razie rebelianci są jednego i tego samego zdania; nie mieliby danych po temu, żeby się zwracać do narodu o zwiększenie wysiłku, gdyby nie sprawowali prawdziwej dyktatury nad swoimi własnymi potrzebami. Pracując dwadzieścia cztery godziny i więcej pod rząd, zwiększając ilość nieprzespanych nocy, składając dowody, że potrafią zapomnieć o głodzie, przybliżają swym przywódcom milowe kamienie rzeczy osiągalnych; ten przejściowy triumf, ten wszędzie niesiony obraz ciągle stojącej się rewolucji jest dla robotników wyspy bodźcem do ostatecznej likwidacji fatalizmu i codziennego podbijania nowych terenów na obszarze starego, śmiesznego piekła rzeczy niemożliwych.

Należy powiedzieć wprost, że przywódcy osiągnęli nieosiągalne. Robią to każdego dnia i wiedzą, że długo tak nie pociągną; zwycięstwo nad nieosiągalnym mści się nad zwycięzcą — skraca mu życie. Ale czy znów mają taką wielką ochotę umierać staro? Zupełnie im nie przypada do gustu sytuacja rebelianta na emeryturze. Rewolta nie polega na członkostwie honorowym.

A poza tym już prawie cztery lata mijają od czasu, kiedy dokonali radykalnego wyboru; mogliby się dać zabić, ale nie poddać. Ich nowe życie zrodziło się właśnie z tego zaakceptowania śmierci. To było ich wtajemniczenie, ogniowy chrzest.

Batista już dziś obalony, inni nieprzyjaciele Kuby wahają się; jest już za późno albo jeszcze za wcześnie, żeby się bić. Lecz w nich samych śmierć jest obecna; złożyli już swoje życie i — choć go jeszcze nie wzięto — ofiarowują je dalej; zapamiętanie się w pracy zużywa człowieka prędko; ich życie płonie i szybko się spali dla dzieła, które pozostanie na długo.

Ile jeszcze lat? Pięć? Dziesięć? Nie wiedzą; zadecyduje o tym wyspa; nie odejdą, dopóki wszystko nie zostanie spojone, dopóki nie zlikwiduje się analfabetyzmu i nie uformuje kadr dla nowego przemysłu.

A potem, co będą mieli potem do roboty? Rozliczne, a wciąż niepełne umiejętności "człowieka-orkiestry" mogą tylko przeszkadzać w następnym okresie technikom i uczonym, których sami uformują. Jednym słowem, celem tych młodych przywódców jest realizowanie obecnej fazy rewolucji, podprowadzenie jej na skraj następnej, aby wówczas skończyć z pierwszą fazą, eliminując równocześnie samych siebie.

Znąją swoją siłę; wiedzą, że dekada rozpoczęta w Roku I należy do nich. W Roku X wszystko będzie szło jeszcze lepiej. Zgodziliby się nie żyć nawet przez jeden dzień w 1970 roku, gdyby w zamian przyobiecano im, że nie utracą nawet jednej godziny w roku 1960.

Te same wysokie wymagania są widoczne w ich rygorystycznym obyczajowym. Od dzieciństwa mieli w pogardzie kłamliwe wdzięki i uciechy, które stolica sprzedawała cudzoziemcom. A jeszcze bardziej gardzili wątpliwymi przyjemnościami, które odwoziły Kubańczyków — bogatych i biednych — od ich nieszczęścia,

Kiedy widzieli, jak cudzoziemcy traktują ich wyspę niby nazbyt łatwą dziewczynę, ogarniał ich wstyd. A wstyd, żeby powtórzyć za Marksem, jest uczuciem rewolucyjnym. Tyle wystarczy, aby określić główne linie ich moralności; miała ona przeciwstawiać się wszystkiemu, co działo się dotąd.

Widziałem dom Franquiego, a więc dom dyrektora dziennika o największym nakładzie; po drugiej stronie tej samej ulicy widziałem dom ministra komunikacji, Oltuskyego: były to dwa dostatnie, na wpół wiejskie domki, nad wodą, pośród podobnych im domków zamieszkałych przez drobnomieszczan; przyjemne, ale skromne.

W innych dzielnicach Hawany stoją, zwrócone frontem do morza, luksusowe wille. Niektóre skonfiskowano; między innymi prawdziwy pałac, który pewien bogaty urzędnik Batisty kazał zbudować dla swojej metresy. Nie mieszka w nim jednak ani Jimenez, ani Guevara, ani nawet Castro; dano go pisarzom i intelektualistom, by przyjmowali w nim zagranicznych gości, zanim pałac stanie się siedzibą ich związku.

Ministerstwa posiadają auta. Ale nie ministrowie. Właściciel — Państwo — przydziela je urzędom; osób nie zna. Poza tym i urzędy, i osoby nie lubią zużywać benzyny, hamulców, opon bez istotnych powodów. Kuba nie fabrykuje samochodów i długo ich nie będzie fabrykowała; sytuacja w kraju nie pozwala również ich importować, chyba że tylko w koniecznych wypadkach; człowiek na odpowiedzialnym stanowisku czuje pod swoimi stopami, w krzyżach, w szumie motoru nieodwracalną, powolną przemianę karoserii w żelastwo — nawet wówczas, gdy jest to przemiana jeszcze niewyczuwalna. Oltusky woli, kiedy może, chodzić piechotą. Wszyscy uważają się w każdym momencie za buchalterów narodu. Są zdecydowani nie marnować jego pieniędzy. Kiedy udają się za granicę, biorą samolot, by zaoszczędzić na czasie, który należy do narodu, ale jadą klasą turystyczną, by oszczędzić publicznego grosza.

Ta skromność przystoi zresztą ich wiekowi; co po nich wśród luksusów pierwszej klasy? "Cubana" wiezie niekiedy wśród kobiet, dzieci, śpiących mężczyzn młodego człowieka, który siedzi na swoim fotelu wyprostowany, z otwartymi oczyma; w

innych czasach byłby to jakiś poszukiwacz fortuny, dziś jest to któryś z wyższych urzędników w służbowej podróży.

Zdarzyło się ostatnio, że gdzieś nad Europą pewien stary poczcwiiec bardzo się spłoszył, a jednocześnie musiał zdać sobie sprawę ze swojej starości i ze schyłku pewnej epoki; był to uczciwy dyplomata, który przystosowywał się do wszystkich rządów, ale nie do dyktatury Batisty. Ponieważ ambasadorami są zazwyczaj ludzie w podeszłym wieku, nowy rząd kubański przywrócił Jego Ekszelencję do służby dyplomatycznej; Jego Ekszelencja jechał właśnie objąć swoje stanowisko. Pod koniec jednego z postojów znalazł się obok dość kiepsko ubranego młodego człowieka, który miał w ręku kartę samolotową. Uśmiechnęli się do siebie. Wchodząc do samolotu, młody człowiek przepuścił starca, który szedł, jak przystało na dygnitarza, zająć swoje miejsce w pierwszej klasie; za granicą honor państw mierzy się honorami, jakie przysługują ich ambasadorom.

Dyplomata zwrócił się do swojego towarzysza:

— Obok mnie jest wolny fotel.

Młody człowiek zrobił przeproszający gest:

— Jadę — odrzekł — klasą turystyczną — i wrócił na swoje miejsce, między emigrantów przestworzy.

Na następnym postoju ambasador stał się niewidoczny.

— No cóż, byłem jego ministrem, wstydził się mnie. Opowiadając mi tę historyjkę, mój kubański przyjaciel na pewno nie chciał wydrwić owego dyplomaty; on również uważa, że nie można sknerzyć, kiedy chodzi o reprezentowanie kubańskiego narodu za granicą; wszystko dla ambasadora — rześka starość, luksusowy fotel i orchidee na powitanie, jeśli mogą być orchidee. Ale minister? Minister nie jest reprezentantem; uważa się za robotnika nowego ustroju, za jednego ze stu tysięcy robotników, którzy powierzają naród kubański ambasadorom, by go reprezentowali.

XIII

Gdy w którymkolwiek kraju świata wybucha powstanie, rząd określa powstańców jako rebeliantów. Ma to znaczyć, że porwali się oni, dając upust swoim niecnym pragnieniom, przeciw prawowitej władzy i że będą musieli się poddać lub zginąć.

Jeżeli dochodzi do triumfu powstańców, rząd się ulatnia lub osiada w więzieniu, a przywódcy zwycięzców obejmują i sprawują władzę; odtąd będą się nazywać wyzwolicielami, rewolucjonistami czy jeszcze inaczej, aby tylko nazwa mówiła ludowi, że zlikwidowali dawne bezhołowie i że zaprowadzą nowy ład. Słowo "rebelia" wychodzi na pewien czas z użycia, a gdy się znowu pojawi, będzie oznaczać następne powstanie. Wszystko to się dzieje jakby samo przez się: zastosowanie słów do sytuacji odbywa się automatycznie.

Wszędzie, ale nie na Kubie. Słowo "rebelianci" czytano w gazetach za czasów dyktatury i czyta się je obecnie w prasie rewolucyjnej; w obydwu wypadkach chodzi o tych samych ludzi: o Fidela Castro i o partyzantów z Sierry.

Pewnego dnia rozmawiałem w aucie z kierowcą, bardzo młodym wojskowym, i w trakcie rozmowy popełniłem ten błąd, że spytałem go o "żołnierzy". Dotąd wesoło i z ożywieniem odpowiadał na wszystkie moje pytania; to ostatnie sprawiło go jednak w zakłopotanie; spojrzął na mnie z odrobiną nieufności, jak gdybym mówił do niego w jakimś nieznanym języku; rzucił okiem na siedzącego obok Franquiego, wzywając go na pomoc.

— On chciał powiedzieć "żołnierzy rebelianckich" — wytłumaczył mnie Franqui.

Nic więcej nie było potrzeba młodemu kierowcy, żeby przywrócić mu ufność i dobry humor.

— Słowo "żołnierz" — zwrócił się Franqui do mnie — nic już u nas nie wyraża. Gdy występuje samo, ma sens nieokreślony. Albo też znaczy: żołdak Batisty. Podobnie słowo "armia", gdy mu nie towarzyszy bliższe określenie, to wojskowa instytucja dawnego reżymu. Jeżeli natomiast ma pan na myśli naszą armię, musi pan powiedzieć "armia rebeliancka". Dla nazwania ludzi, którzy w niej służą, wystarcza samo "re-belianci" lub też "żołnierze rebelianccy", ale wypowiedziane to jednym tchem, jednym haustem, jakby chodziło o jedno jedyne słowo.

Cały naród przejął to słownictwo — domagając się w pewnym sensie, aby pionierzy nowych rządów byli nadal ludźmi ściganymi przez prawo.

Dlaczego? Przede wszystkim w grę wchodzi przyczyna zasadniczej i praktycznej natury: oddziały Fidela Castro wyrosły w wojnie domowej, to znaczy w wojnie, którą cywile prowadzili przeciw wojskowym; stawiały sobie za cel nie tylko pokonanie armii regularnej, ale również jej unicestwienie, co też uczyniły.

Tym samym ci cywile, zwycięzcy armii zaciężnych, przeobrazili się w wyniku swojego zwycięstwa w żołnierzy. Jak wiadomo, armie ludowe stają po zwycięstwie przed alternatywą: albo się przekształcić w instytucję wojska, albo zniknąć. Na nieszczęście — które jest regułą — nowy rząd odkrywa w chwili owego wyboru, że ma potężniejszego wroga poza granicami kraju. Byłoby szaleństwem rzucać broń, kiedy krajowi grozi inwazja. Armia ludowa zostaje zachowana, ale bez statutu, jest usługowym nieoficjalnym aparatem, o którego dalszym istnieniu zadecydują wymogi obrony narodowej.

Na Kubie nikt nie jest skłonny godzić się z tak żenującym tolerowaniem aparatu wojskowego, gdyż został on utworzony dla osiągnięcia wyłącznie jednego, dokładnie określonego przez Fidela Castro celu: systematycznego niszczenia armii regularnej. Osiągnąwszy ten cel, aparat wojskowy miał natychmiast zniknąć.

Ponieważ funkcją żołnierzy, skąd by się nie brali, było trzymanie narodu w niewoli, wyspa już nigdy nie będzie utrzymywać żołnierzy. Istotnie, główne

zadanie towarzyszy broni Fidela Castro polega na tym, by przyspieszyć moment, w którym ta cywilna armia, powołana pod broń przeciw armii wojskowych, będzie mogła zacząć się likwidować.

Pobudzili cały naród do organizowania się w milicję; jeszcze w październiku nie było jej zupełnie; dzisiaj mieszkańcy wsi i miast uczą się posługiwać bronią; jest już sto tysięcy milicjantów. Uczestników wojny domowej było tylko trzy-cztery tysiące.

Kiedy cała ludność stanie się siłą zbrojną, armia rebeliancka skończy swój żywot. Pozostanie tylko trochę służb technicznych, które byłyby czynnikiem organizującym, w razie gdyby wypadło prowadzić wojnę ludową.

Podczas gdy ludność zbroi się na wojnę, żołnierze Fidela uczą się prac pokojowych. Ta wymiana, która na gorąco odbywała się w walce przeciw Batiście, jest systematycznie prowadzona dalej. Oddziały wycofują się z miast, dzielą na małe jednostki, które wraz z chłopami karczują bruszę.

Krótko mówiąc, armia jednocześnie likwiduje się i instaluje, pierwsze idzie w parze z drugim, drugie z pierwszym. Chodzi o proces złożony i nieodwracalny: naród wytworzył organ obrony, naród go znowu wchłania i w sobie rozładowuje, ów specjalnie przeciw, instytucji wojska stworzony organ winien zapowiadać to, czym jest: anty-armię.

To wszystko musi znajdować swój wyraz w znakach, w oznakach. I oto dlatego bohaterzy tej wojny nazywają się "rebeliantami", dlatego noszą brody i długie włosy.

Dlatego też najwyższym stopniem jest stopień kapitana; dlatego na czele antyarmii znajduje się Murzyn (sprawuje najwyższe dowództwo, ponieważ jest jedynym, który potrafi robić, co robi, ale przed 1957 rokiem nie miałby najmniejszych szans na wykazanie się swoimi umiejętnościami).

Noszenie bród miałyby być rezultatem ślubowania: aż do końca wojny nie będziemy się golić! Osobiście nic nie mam przeciw temu, lecz wojna bądź co bądź skończona, a brody dalej rosną i włosy są nadal długie. Poza tym zresztą, jeśli już ślubowanie, to trudno by o łatwiejsze: wciąż w stanie pogotowia, znużeni marszami, gnębieni przez samoloty rebelianci napytaliby sobie nie lada kłopotu, gdyby tak poprzysięgli golić się codziennie!

Długie włosy i broda rosły wówczas w bezładzie z konieczności, z braku czasu: świadczyły tym swoim bezładem, że ich właściciele to rozbójnicy opowiadający się przeciw łaadowi. Istotnie, większość armii regularnych nakazuje swoim ludziom golić się dokładnie: to nie przypadek, że właśnie one nie są w stanie wygrać wojny ludowej. W Sierra owłosienie zwyciężyło gładko wygolone szczęki — i ośmieszona została sztuka wojskowa.

— Żołnierze Batisty — mówił mi jeden z wojennych współtowarzyszy Fidela — uważali nas za tak brutalnych, tak zawziętych, że im skóra cierpła. Broda, według nich, to była zasadzka, prawo dżungli i zagłada. Wypuszczaliśmy jeńców, włos im nigdy nie spadł z głowy, ale to niczego nie zmieniało: byliśmy ludożercami; doszło wreszcie do tego, że żołnierze szli w rozsypkę, gdy tylko zobaczyli w jakimś wąwozie brodę za błyszczącą lufą karabinu.

Tylko trzy tysiące ludożerców, którzy nosili brodę i długie włosy przed 1959 rokiem, nosi je i dzisiaj. To ordery bezładu. Nigdy nie zdejmowany, a wciąż kwestionowany mundur. Trzy tysiące bród na całą wyspę. Od chwili mojego przyjazdu do Hawany widziałem ich mniej niż w jedno popołudnie na Saint-Germain-des-Pres. Zresztą tamte brody paryskiego chowu wyrażają pewien konformizm młodych ludzi: są pielęgnowane, fryzowane, to kwiatuszki szczęk, jedna w drugą do siebie podobne; u Kubańczyków każda rośnie, jak potrafi, jak się jej żywnie podoba. Widziałem czarne rzeki spływające na pierś aż do przepony,

widziałem gładkie oblicza z czterema włoskami, hodowanymi z całym samozaparciem u styku szczęki i szyi.

Nigdy nie przestanę podziwiać rozłożystego wachlarza pewnej brody, której posiadacz objawił mi — kiedy zdjął furażerkę — przedwczesną dojrzałość głowy: na "kolano". U bardzo młodych bohaterów ostatnich walk twarze są gładkie jak u dziewczynek, ale włosy opadają im aż na ramiona. Zerwany wcześniej szofer Fidela rozczesywał swoje czarne kędziory przed wizjerem samochodu i upinał je sztyftem.

Olbrzymia różnorodność kombinacji świadczy, że w łonie dyscypliny istnieje głęboki indywidualizm. Lud w każdym razie się nie myli; ci zarośnięci szefowie chcą nadal, po czternastu miesiącach sprawowania władzy, uchodzić w oczach wszystkich, i w swoim własnym przeświadczeniu, za takich samych, jakimi ich widziano, kiedy wyczerpani zwycięstwem wkraczali do stolicy, kiedy jeszcze tylko byli wyzwolicielami i kiedy patrzono na nich jako na triumfujące zaprzeczenie rygorystycznego, lecz nieznośnego porządku.

Rzecz jasna, że to jedynie znak rozpoznawczy. Tak samo jak i słowo "rebelia", które postanowili zachować; można sobie wyobrazić, że słowa i postawy stanowią tu osłonę dla systematycznego rekonstruowania armii. Ale świadczyłoby to tylko o bezpodstawnej nieufności do kubańskiej Rewolucji — nieufności zasadzającej się jedynie na typowo francuskim upodobaniu sobie tej cechy i na niczym więcej.

Rządząca ekipa wyłożyła karty na stół, stwierdzała nie jeden raz, że instytucja wojska broniła przywilejów przeciw nędzy i że trzeba nie tylko ją zniszczyć, ale również przedsięwziąć odpowiednie środki, by się nigdy nie mogła odrodzić.

Trzeba nawet pójść jeszcze dalej: istnieją okoliczności, które uniemożliwiają Kubie prowadzenie wojny, chyba że chodziłoby o wojnę ludową, partyzancką. Stosunki wyspy ze Stanami Zjednoczonymi rzeczywiście nie są dobre — delikatniej nie można już ich określić. I jest widoczne, jak się pogarszają z każdym dniem. Oburzeni, zaniepokojeni Kubańczycy głowią się: czy USA zaczną

bojkotować kubańskie statki, które dopływają do południowo-wschodniego wybrzeża kontynentu? Czy obniżą cukrową "quota"? Czy zorganizują blokadę Kuby? Albo też, czy w momencie, kiedy byli żołnierze Batisty, chwilowo rozproszeni po całej wyspie, otrzymają już dosyć zrzutów broni — czy właśnie wówczas nie obwoła się fałszywej wojny domowej, by usprawiedliwić zbrojną interwencję ONZ, to znaczy: zbrojną interwencję USA?

Oczywiście Kubańczycy nie twierdzą, że już doszło do wymiany ciosów; mają nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Stwierdzają jednak, że kubańska wolność bardzo irytuje kraj wolności. Wojna nerwów, złośliwości, ukłucia szpilką, a potem, niekiedy, nagłe i posępne przeczucie, w którego świetle morze staje się jasne aż po brzegi: eksplozja statku "La Coubre". W locie chwyta się tragiczną prawdę: "Kuba jest śmiertelna". Później jakoś to przechodzi, następuje po prostu nawrót zimnej wojny.

Zimna wojna — no, powiedzmy. Między tego samego rządu przeciwnikami, którzy dążą do zachowania równowagi, ostatecznie jest to także sposób na zamrożenie wojny. Lecz gdy takie, przekraczające wytrzymałość napięcie przeciwstawia mały, biedny naród zirytowanemu kolosowi, dysproporcja sił wytwarza sytuację gwałtu. Przypuśćmy na chwilę, że Stany Zjednoczone utemperują swoją niechęć, przypuśćmy, że nigdy nie zamierzały, nie zamierzają i nie będą zamierzały użyć siły. Jednak mogą jej użyć. Mogą zorganizować blokadę Kuby. Czy natomiast ktokolwiek jest w stanie sobie wyobrazić, że wyspa mogłaby uczynić to samo w stosunku do wybrzeża amerykańskiego?

I jeśli oburzeni kongresmeni oświadczyliby w Waszyngtonie, że w każdym wypadku odrzucają możliwość interwencji zbrojnej, to ich zapewnienie zachowałoby swoją dwuznaczność i musiałoby niepokoić. Bo po co w samej rzeczy narzucać sobie zakaz nagłego zaatakowania, zakaz inwazji na wyspę, o ile by się nie miało po temu nieustannej możliwości i, niekiedy, pokusy?

Nikt się nie zwraca do Castro, by przyrzekł solennie, że nie rzuci swoich oddziałów do szturm na Biały Dom. Po co?

Koniec końców wszędzie tu występuje ta właściwa układom cukrowym jednostronna zależność, która charakteryzowała istotę stosunków między metropolią a jej półkolonią i rujnowała tę drugą na korzyść pierwszej. Od pierwszego stycznia Roku I półkolonia wprowadziła nowy system gospodarczy, co uwolniło ją w trzech czwartych od metropolii. A jednak jednostronna zależność istnieje nadal jako brutalna i nieustanna groźba; wynika to z niewiarygodnej dysproporcji sił. Po prostu groźba ta ukazuje się dzisiaj w całej swojej nagości za przeobrażeniami gospodarczymi: jest nią prawo silniejszego. Silniejszy ma w ręku inicjatywę, on decyduje, czy poprzestanie na zademonstrowaniu swojej siły bez uciekania się do niej, czy też całą ją zaangażuje w akcję, która wzbudzi o tyle mniejsze oburzenie, im szybciej się z nią uwinie. Silniejszy zawsze ma rację: narzuca swój porządek i utrzymuje go tak długo, póki się nie zjawi nowy herszt. Silniejszy ma wszelkie prawa w swoim świecie, zarówno tym nowym, jak i starym. Narody patrzyły z zapartym oddechem, jak w Gwatemalę uderzył piorun; po większej części nic na to nie powiedziały: siłami porządku są siły najbardziej brutalne; świat patrzył nie mrugnawszy okiem, jak Monroe przywołał do porządku Gwatemalę.

Kuba ryzykuje w każdej chwili, że spotka ją los owej republiki: że przywołają ją do porządku. Każde z jej osiągnięć może się okazać dla niej zgubne, ponieważ każdym z nich potwierdza swoją niezłomną wolę niezawisłości.

Tak więc jej najlepsze osiągnięcia stanowią dla niej niebezpieczeństwo, które wzrasta w miarę ich udoskonalania. Jest to wyścig z czasem. Kuba może mieć swoje racje wierząc, że jedność uzbrojonego narodu potrafi, w połączeniu z industrializacją, sama przez się usunąć groźbę. Lecz dopóki rewolucja nie

przekroczy tego progu, dopóty każdy jej krok, przybliżający ją do niego, przybliży również moment obcej ofensywy.

Krótko mówiąc, Kuba idzie naprzód odsłonięta. Bojaźliwi są przeświadczeni, że przypadnie jej w udziale los Gwatemali. Istnieje bowiem porządek Nowego Świata, ustanawiany w Waszyngtonie i narzucany kontynentowi oraz jego wyspom od Alaski do Ziemi Ognistej, i wbrew niemu nie będzie mogła przeciągać się za długo sytuacja, która w obliczu owego porządku jest drobnym, wyspiarskim bałaganem: pewnego dnia zbrojne siły kontynentu przyjdą nauczyć rozumu tę protestującą kostkę cukru.

Jednak wszystkie okoliczności powodujące zmęczenie i strach oddziałują zupełnie inaczej na rewolucjonistów: przywracają ich rebelia. Gdyby Stany Zjednoczone nie istniały, może rewolucja kubańska winna by je wymyślić; to za ich sprawą zachowuje ona swoją świeżość i oryginalność.

Kubańczycy, jak długa i szeroka ich wyspa, znajdują się dziś wobec Stanów Zjednoczonych w tej sytuacji, w której rebelianci z Sierra Maestra znajdowali się w 1958 roku wobec pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy Batisty.

Wówczas także istniał porządek i istniały siły rządki: poddali mu się ojcowie, a reszta narodu przekonana przez propagandę, że racja silniejszego jest zawsze najlepsza — trzymała się kurczowo starego sloganu sił ucisku: "Bez cukru nie ma wyspy".

Dla tych wszystkich powodów ludzie z Sierra Maestra byli rebeliantami. Zbuntowali się przeciw mitom i sloganom, które budziły w nich wstręt; przeciw przesądom, które wszędzie chcieli wykorzeniać, a czuli, że ich samych w nie wyposażono; zbuntowali się przeciw ustanowionemu porządkowi, który podawał się za wcielenie rozsądku, za prawdę — i w samych sobie musieli go niszczyć, aby zdobyć siły potrzebne do obalenia go w walce. Zbuntowali się przeciw systemowi, który w tajemnych zakamarkach ich własnych ciał — bo takie mieli uczucie w

godzinach znużenia — przymilał się i zwyciężał; zbuntowali się przeciw bałwańskiemu myślowi, które tak im wpajali wychowawcy, że się do nich przyzwyczaili.

Ale w owej niepewnej walce szczególną jasność i "skuteczną łaskę" dawało im wyrzeczenie się raz na zawsze własnego życia. Bo dla człowieka, którego najgłębszą tajemnicą i najbardziej bezpośrednią szansą jest śmierć, wszystko przedstawia się inaczej: zadania nieosiągalne stają się osiągalne, są na jego miarę. Ustanowiony porządek jest sprawą nie podlegającą wątpliwości dla ludzi, którzy pragną żyć. Kiedy jednak wybrało się tortury i śmierć — i kiedy ten wybór wyraża się prawdziwą koncentracją żywych sił — wtedy powrót do porządku staje się najzupełniej niemożliwy; co było dotąd jasne, gaśnie, zostaje zastąpione innym światłem, które odsłania ograniczoność i niemoc silniejszego. "Wolność lub śmierć" brzmiało zawołanie Kubańczyków już podczas wojny o niepodległość. Podejmuje je dzisiaj Castro:

— Wolność będziemy mieć tak długo, jak długo zachowamy jedność narodową; musimy powiedzieć: "Naród albo śmierć".

Zwycięzcy żołnierzy Batisty — Fidel, jego towarzysze broni, członkowie ruchu oporu, naród — znaleźli się naraz, zdając sobie z tego w pełni sprawę, w sytuacji, która leżała u podstaw rewolty z 26 lipca: szalupa na morzu. Wyspa przystępuje do walki przeciw olbrzymiej, przyciągającej masie kontynentalnej, która znowu chce ją wciągnąć w swoje pole grawitacji.

Rozgrywka z góry przegrana, tak samo jak tamta, którą prowadzili przeciw armii regularnej i — wygrali. W podobnym wypadku nic po klasycznej lewicy; olbrzymie, niewymierne ryzyko i żadnych szans.

Nie wystarczy być rewolucjonistą, aby rzucić się w taką rozgrywkę; ponad miarę musi go jeszcze drażyć ta zapiekła od dumy dolegliwość, której na imię rebelia. Rebeliant nie może żyć pod przemocą. To jego podstawowa niemożność. I z niej

się bierze podstawowa niemoc ciemnicy: nie może narzucić swoich rządów żywym. Nim więc rozgrywka się zaczęła, porządek już przegrał; jeżeli naród kubański woli zniknąć z dziejów, razem z nim znika statut kolonialny; królowie cukru skwapliwie zgodzą się na przywrócenie im majątków ziemskich, ale kto się zgodzi dla nich pracować?

Inna niemoc silniejszego polega na tym, że niczego nie przedkłada bardziej nad życie; żołnierz sił przemocy boi się rebelianta; czyta w jego wzroku ich podwójną śmierć; jest wciąż na skraju popłochu; podziwia i nienawidzi tego wroga, którego nic nie przeraża.

Można by powiedzieć — przypierając sprawę do muru — że rebeliant zmusza agresora do dokonania wyboru między dwoma porażkami: albo załadowanie oddziałów na statki i odwrót, albo ludobójstwo. Co gorsze? Proszę wybierać. I że właśnie taki jest rebeliancki punkt widzenia, powołam się choćby tylko na słowa Fidela Castro:

— Blokada to broń najbardziej haniebna: wykorzystuje się nędzę narodu, głodzi się go, żeby nad nim zapanować. Nie przystaniemy na to. Nie zgodzimy się zdychać na tej wyspie z założonymi rękami, bez obrony, bez oddania ciosu za cios.

— Co zrobicie? — spytałem.

Spokojnie się uśmiechnął.

— Jeżeli zechcą zacząć od blokady — powiedział — nie będziemy w stanie ich powstrzymać. Ale możemy osiągnąć tyle, żeby z blokady przeszli do prawdziwej wojny, do zbrojnej agresji. To zdołamy osiągnąć, na pewno. Lepiej zginąć w ogniu, w walce, niż w czterech ścianach z głodu.

Ta gwałtowność nie do poskromienia, ta posepna a zupełna pewność, że się zwycięży w każdym wypadku, czerpie swoją moc przede wszystkim z oburzenia.

Reżym latyfundiów oburzał, ponieważ produkował podludzi — nazbyt zabiedzonych lub nazbyt zrezygnowanych — i ponieważ utrzymywał ich w stanie

podczłowieczeństwa. Oburzały rebeliantów te wszystkie biedy, na które Kubańczyk był skazany od chwili urodzenia. Oburzali się na to w imię możliwości, jakie widzieli dla mieszkańców wyspy, czyli w imię tego, co pragnęli dla nich zrobić.

Dzisiaj, kiedy są niewątpliwymi panami wyspy, ich dawny święty gniew wzrósł dziesięciokrotnie. Dwa lata walki, dwadzieścia tysięcy poległych, tortury, trud nie słabnący ani w okresie dwudziestu czterech miesięcy wojny ani siedemnastu miesięcy pokoju, cały ten wysiłek, w którym z wolna wszyscy wzięli udział i którego celem jest wyrwanie wyspy z nędzy — więc wszystko to ma być trudem daremnym, śmiechu wartym mozołem, komiczną fatygą muchy łążącej po szybie, "głupią, bajdurzoną przez idiotę historią pełną krzyku i szaleństwa", skoro wystarczy, żeby kolos o słabowitej głowie wpadł w zły humor i strzaskał wyspę uderzeniem pięści!

Młodzi konstruktorzy wciąż czują, że kruchość ich nieustannie zagrożonego dzieła wynika ze złej woli pewnych Amerykanów i, co za tym idzie, z zasadniczego wpływu, jaki na rozwój nowego ustroju ma nasrożony olbrzym. W obecnym stadium przychodzi im raz po raz zderzać się w swoich przedsięwzięciach z cudzoziemskim oporem, nazbyt jeszcze skutecznym i, jak dotąd, stosowanym bezpośrednio nie przez rząd z Waszyngtonu, lecz przez pewne grupy prywatne.

Więc zagraża się ich dziełu, więc się ich hamuje? Nic więcej nie trzeba, żeby duch rebeliancki zachował swoją żywotność i żeby się rozwijał.

Teraz już nie wystarcza realizować reformy dla ludu i przez lud; trzeba je utrzymywać wbrew oporom potężnego sąsiada.

Negacja, sprzeciw, bunt przeciw nieludzkiemu porządkowi czerpią swą siłę z działania pozytywnego. Jest ono o tyle bardziej zdecydowane, że rewolucjoniści budują z serdecznym zapamiętaniem. Chodzi o to, co dość celnie — moim zdaniem — wyraził Raul Castro w jednym ze swych przemówień:

"Kampania przeciw Kubie to dynamomaszyna, która wytwarza większą moc na rzecz rewolucji".

Castro mówi o nowych rządach: humanizm. I to prawda. Należy jednak powiedzieć, że wiele rewolucji zasłużyło sobie w pierwszym swoim okresie na ten piękny tytuł, ale utraciło go pod przytłaczającym ciężarem zadań. Przed taką ewentualnością chroni rewolucję kubańską dzisiaj — i może długo będzie chronić — kontrola, jaką sprawuje nad nią rebelia.

XIV

Castro nie jest kimś, kogo łatwo rozgryźć. Chcąc się dogadać w większości krajów z tym czy innym ministrem, należy się raczej trzymać na wodzy: władza jest skłonna wszystko upraszczać, i to bardzo. Chcąc zrozumieć Fidela, najlepiej jest, tak sędzę, podsycać do maksimum jego własną żarliwość: naświetlać nowe, jak się pojawia, bez uciekania się do starych doświadczeń.

Po raz pierwszy widziałem go w Holguin: tamtejsze koszary powracały do narodu, wymieniały mundur wojskowy na szkolny, Castro miał dokonać aktu inauguracyjnego.

Przyjechaliśmy z dużym opóźnieniem; od chwili opuszczenia miasta auto musiało się wlec w niewiarygodnej ciżbie wozów i pieszych: samochody prywatne, taksówki (przewożące gratis w tę i na powrót), ciężarówki naładowane dziećmi, przeładowane nimi, a wszystkie te zmotoryzowane brzdące wydawały się jeńcami tłumu innych, które szły pieszo. Pojazdy grzęzły w oczkach tej olbrzymiej sieci, posuwały się krok za krokiem.

Wszędzie całe rodziny. Odświętnie wystrojeni mężczyźni w lekkich kubańskich koszulach, wyrzucanych na spodnie do połowy uda; dzieci i dorośli zasłaniaли się przed słońcem okrągłymi kapeluszami. Właśnie te słomiane kapelusze z

wywiniętym rondem są dla mieszczuchów bardziej jeszcze niż maczety symbolem pracy w polu. Wszyscy śmieli się, rozprawiali z ożywieniem, oczekiwali czegoś. Czego? Ze zobaczą Fidela, to jasne; że może go dotkną, jak często robią kobiety, by mu trochę ukraść jego zuchwałych zasług, Jego szczęścia.

Wreszcie wysiedliśmy, stawiając naszego buicka między packardem a chevroletem.

— To tam — powiedział rebeliancki żołnierz.

Zobaczyłem stadion.

Na ławkach stadionu, u moich stóp, tysiące dzieciaków; w dole, na boisku, dziesiątki tysięcy. Pośród tego morza dzieciarni widniała jakby znoszona prądem tratwa: można by ją nazwać na upartego trybuną — kilka zebranych do kupy desek na szczudłach z dyli, które jeszcze wczoraj były drzewkami.

Castro tak właśnie sobie życzył: żeby móc mówić do swoich młodych słuchaczy jak najbardziej z bliska. Drewniana, prześwitująca jak rzeszoto balustrada udawała, że zabezpiecza tę byle jaką, bitą falami estradę; do nich — tych niezliczonych, drobnych fal — przemawiał rosły, silny wojskowy; widziałem go z tyłu.

— Tędy — młody rebeliant w mundurze torował nam drogę. Schodziliśmy po stopniach w dół. Z pierwszego rzędu przeszliśmy po pomoście i znaleźliśmy się wśród rebeliantów. Castro kończył przemowę. Niepokoił się; czekały go jeszcze tego samego dnia dwa przemówienia; ostatnie z nich było najważniejsze: miał przemawiać w Hawanie do przedstawicieli związków zawodowych, aby poświęcili część zarobków na pierwsze inwestycje, które by dały początek akcji uprzemysławiania kraju. Tymczasem czuł, że głos mu zaczyna coraz bardziej chrypieć. Wziął szybsze tempo; załatwił się z zakończeniem w ciągu kilku minut.

Zdawało się, że już po wszystkim. Wszystko miało się dopiero zacząć.

Z zadartymi głowami, z szeroko otwartymi ustami dzieciaki wołały przez kwadrans z górą jak opętane. Castro czekał, był nieco zakłopotany: wiedział, że

Kuba lubi długie przemówienia, do czego sam się zresztą przyczynił dostarczając okazji do rozsmakowania się w nich; był przeświadczony, że nie dał z siebie tyle, ile by należało.

Chciał zrekompensować to swoje zbyt kuse przemówienie, pozostając dłużej na trybunie.

Zauważyłem wtedy, że dwoje młodych słuchaczy, liczących sobie nie więcej niż osiem-dziesięć lat, uczepiło się jego butów; mała blondyneczka trzymała za lewy, mały brunecik za prawy.

Powoli wytworzyła się niecodzienna więź między tłumem dzieci a Fidelem. Jeszcze na coś czekały; na przypieczętowanie jego obecności jakimś aktem, ów akt był widoczny: koszary, którym teraz przygięły kark wieńce pokoju. Ale był to akt zapowiadany od tak dawna, że stracił na świeżości.

W gruncie rzeczy ci uczniowie nie wiedzieli, czego chcą — prócz tego może, żeby mieć prawdziwe święto, jednoczące w swoim blasku przeszłość, która się już zacierała, z przyobiecana im przyszłością. Fidel musiał to dokładnie wyczuwać; trwał na trybunie, ale niemal zbity z tropu: on, który zespałał się bez reszty w każdym ze swoich aktów w służbie narodu, stał zaskoczony, że ogranicza się do tej nagiej, prawie biernej obecności. Ujął pod pachy małego kraba, który mu się przypiął do prawego buta; podniósł go w górę, chłopak wołał bez przerwy.

— I czegoś ty chcesz? — zapytał.

— Chodź do nas! — krzyczał malec. — Chodź do naszej wsi!

— Coś tam nie w porządku?

Chłopaczek był chudziutki, oczy miał błyszczące, zapadłe; czuło się, że jego dolegliwości, które mu w spadku po sobie pozostawił dawny reżym, będzie jeszcze trudniej uleczyć niż dolegliwości narodu. Powiedział z przekonaniem:

— Wszystko w porządku, Fidel. Ale chodź do nas! Pewnie setki razy marzył o tym spotkaniu i teraz nie wiedział, co z nim począć. Dotknąć, no tak; dotknąć buta,

ręki, tylko co potem? Chciał jakoś wykorzystać spotkanie z człowiekiem, który go teraz trzymał, w swoich silnych rękach; poprosić, otrzymać. Nie dla korzyści, ale żeby powstała prawdziwa więź między dzieckiem a przywódcą. Takie przynajmniej miałem uczucie, kiedy patrzyłem na nich obydwo, zwróconych do siebie twarzą w twarz — z jednej strony zadarta w górę, spalana jakimś szaleńczym, lecz pustym pragnieniem twarzyczka dziecka, a z drugiej mocno sklepiona głowa mężczyzny o nieco zgorzkniałych wargach. I miałem wrażenie, że Castro przeżywa ten mały dramat, zdając sobie jasno z niego sprawę.

Przyobiecał chłopcu, że któregoś dnia przyjedzie: nie była to czcza obietnica. Bo gdzież się nie wybiera? Gdzie już nie był?

Postawił chłopca na ziemię. Niepewny, trochę osowiały, patrzył teraz na tłum. Jego towarzysze zaczęli mu przedkładać, że już najwyższy czas. Zebrał się do odejścia; jakoś mu to nie szło. Oddalił się trochę od balustrady. Lecz nie odchodził; wyglądał na onieśmiałonego. Wrócił na poprzednie miejsce. Malec drżał i płakał.

— Przecież ci mówiłem — powiedział — że przyjadę!

Na próżno. Dzieci znów zaczęły wołać i tak mocno cisnąć się ku trybunie, że groziło to jej zwaleniem; około setki żołnierzy rebelianckich z łopatami i karabinami — mężczyzn i kobiet — którzy mieli przedfilować przed Fidelem, nie mogło się teraz precyzyjnie przecisnąć przez zwarty tłum. Wokół trybuny szaleństwo entuzjazmu; na trybunie zmieszany Castro. Wreszcie wziął podany przez któregoś dzieciaka słomiany kapelusz i włożył go sobie na głowę, bez cienia uśmiechu.

Podkreślam to, bo scena rzadka: Castro nienawidzi demagogicznych chwytów i jakichkolwiek charakteryzacji. Uciekł się do aktu symbolicznego, ponieważ żaden inny nie mógł tu wchodzić w grę. Słomiany kapelusz szybko został zdjęty; znalazł się przez chwilę na głowie Guevary, po czym — nie wiem nawet, jak do tego doszło — wyładował na mojej; tkwił na niej pośród ogólnej obojętności, bo nie mogłem się na to zdobyć, żeby go zdjąć. A potem doszło naraz do panicznego

odwrotu. Bez konkretnego powodu Castro rzucił się dosłownie do ucieczki, a za nim uciekali rebelianccy przywódcy przez stromizną ławek stadionu.

W pierwszą sobotę karnawału była defilada, były tańce "comparsas", były ludowe zabawy; asystowaliśmy temu wszystkiemu, chodziliśmy oglądać. Położyłem się spać o piątej rano. W dwie godziny później wyrwał mnie ze snu donośny, rześki głos Franquiego; zapowiadał mi, że o siódmej czterdzieści pięć Fidel Castro będzie w hotelu, by nas z sobą zabrać. O siódmej czterdzieści pięć telefon: doktor Castro czeka na mnie w hallu. Nie byłem gotów. Zszedłem na dół dopiero w dziesięć minut później.

Nie było go w hallu; można by pomyśleć, że marmury i lśnienia żyrandoli zatrzymały go na progu. Został na zewnątrz, pod markizą, z jedną nogą na ostatnim stopniu schodków. Obok niego, po prawej, młoda kobieta w mundurze: Celia — jego sekretarka. To ona po wylądowaniu rebeliantów na kubańskim brzegu towarzyszyła im jako przewodniczka aż do Sierra Maestra i już pozostała z nimi jako współtowarzysz walki. Jest słynną rebeliantką.

Podbiegłem do Castra, by go przeprosić za spóźnienie. Przywitał się, był jednak wciąż osowiały; bardziej niż to spóźnienie irytowała go nieobecność tłumacza: Arcocha nie został uprzedzony na czas; szukano go, czekaliśmy. Zakłopotany spoglądałem na tego zwarzonego olbrzyma; nie patrzył na mnie. Miał na sobie najprostszy rebeliancki mundur: koszula i spodnie khaki, poniżej kolan cholewy czarnych butów; wszystko to schludne, ale podniszczone. Był z gołą głową, na której panował bujny nieład włosów; wąsy i broda — mniej obfite; w każdym razie mało co go zmieniają; można by pomyśleć, że posadzono je na chybił trafił, i to tylko dla jednego powodu: żeby dać rewolucji jej insygnia.

Fotografia, na której widziałem go jako młodzieńca bez zarostu, pokazywała mi tego samego człowieka. Rozpoznałbym go na niej wśród wielu innych po skośnym

profilu, po okazałym nosie, który pod wysuniętym i wysokim czołem wygląda, jakby się cofał do tyłu, po szerokich i płaskich policzkach, po grubych i czerwonych wargach, wciąż ściągniętych namysłem, irytacją, goryczą, a o wiele rzadziej wygładzonych uśmiechem; widziałem, że bywały tragiczne lub gniewne, ale zmysłowe nigdy. Chyba tylko wówczas, kiedy zwierzały się jak pięść wokół długiego, prawie zawsze wygasłego cygara.

Ruszyliśmy w drogę zostawiając dla Arcochy informację, gdzie będzie mógł nas znaleźć; wyjeżdżaliśmy więc bez tłumacza, ale wszystko było lepsze od tego idiotycznego czekania w naprężonej atmosferze. Rozmowa toczyła się powoli, z rzadka, po angielsku.

Jechaliśmy wzdłuż morza i szerokich połaci jasnego piasku. Przed 1950 rokiem plaże stanowiły, wraz z przybrzeżnymi willami, własność prywatną; jeżeli ktoś miał puste kieszenie, jego stopa nie powstała na kubańskim piasku. Od wyzwolenia plaże są własnością narodową.

Wciąż nachmurzony Castro stwierdził krótko, że ma zamiar pokazać nam kilka plaż, a zwłaszcza najslynniejszą z nich, Veradero, o sto kilometrów od Hawany. Więc nowe nieporozumienie; na cóż mi, mówiłem sobie, te jakieś plaże? Czegoś innego oczekuję od Fidela Castro.

Okazało się, że jest to jego podróż inspekcyjna, i powinienem był o tym wiedzieć. Przed 1957 rokiem jedno z głównych źródeł dochodów stanowiła dla wyspy turystyka zagraniczna, zwłaszcza porą zimową. Ustała z wojną. Kuba straciła miliony dolarów. Rewolucyjny rząd dużo zrobił, by ją ożywić; jak dotąd, bez skutku. Nie może się jednak wyrzec gości zjeżdżających tu zimą i wiosną.

Tymczasem próbuje wyrównać straty organizując turystykę krajową. Przede wszystkim stara się ją spopularyzować wśród ludzi pracy. Ta nie znana ubogim robotnikom przyjemność winna się jednocześnie przyczynić do poszerzenia rynku wewnętrznego. Ale dotąd jeszcze niewiele zdołano zdziałać; trzeba by

przeprowadzić całą kampanię, aby naród zdecydował się wędrować po wyspie jak jego przywódca.

I tak dowiedziałem się, że do czego by szef kubańskiego rządu, Castro, się nie brał, zawsze składać się na to musi kilka przyczyn. Zaprosiwszy mnie na przejażdżkę po wyspie, za jednym zamachem postanowił przeprowadzić inspekcję robót w ośrodkach turystycznych albo też — bo równie dobrze można i tak powiedzieć — postanowiwszy zobaczyć, jak przebiegają te roboty, zaprosił mnie na przejażdżkę, żeby mi za jednym zamachem pokazać Kubę od jej najprzyjemniejszej strony.

Nie ujechaliśmy jeszcze dziesięciu kilometrów i to wystarczyło, bym już zrozumiał, że do owych robót przywiązuje nie mniejszą wagę niż do wszystkich innych spraw. Auto stanęło. Wysiedliśmy na plaży, pośród nowych instalacji: wysokich grzybów z żelbetonu, mogących służyć jako parasole, betonowych kiosków, kabin.

Plaża cudowna: otwarta i pusta, jak daleko sięgnąć wzrokiem. Ani żywej duszy oprócz trojga pracowników I.N.I.T.-u; jedna kobieta przy kabinach, druga przy bufecie kiosku z napojami i mężczyzna wyglądający na nadzorcę. Wszyscy nas zapewniali z niezachwianą wiarą, że jeszcze dziś zjawią się tu robotnicy, że tylko ich patrzeć.

— Dużo ich będzie?

— Przyjdą poniekąd.

Castro nieco spochmurniał. Wszystko chciał teraz obejrzeć, do ręczników włącznie. I wszystko nam pokazywał, ale był to właśnie jego sposób oglądania. W końcu zaprosił nas na lemoniadę.

Ledwo zamoczył w niej wargi, odstawił szklanekę i powiedział donośnie: "ciepła". Nie dodawszy ani słowa, stał z na wpół otwartymi ustami. Był posepny; jakby

wstrzymywał w sobie złość. Zrozumiałem naraz, co musi o tym myśleć: "Jakże mają mieć chęć tu przychodzić, kiedy o nich nie dbacie?"

Kobiety nie sprawiały jednak wrażenia zaniepokojonych, choć widziały jego niezadowolenie; dalej zachowywały się z całą bezpośredniością, jakby przeświadczone, że ta pretensja nie może odnosić się do nich.

— To nie ma lodówki? — spytał Castro.

— Jest; jasne, że jest — odpowiedziała kelnerka. — Tylko nie działa.

— Mówiliście o tym kierownikowi?

— Pewnie, jeszcze w zeszłym tygodniu. Zresztą, wiecie, co to tam za reperacja — dorzuciła poufale — elektryk uwinąłby się w dwie godziny.

— I nikt się nie zajął sprawą zreperowania?

— Nie wie pan, jak jest? — odpowiedziała.

Po raz pierwszy pojąłem, choć jeszcze bardzo niewyraźnie, na czym polega to, co któregoś dnia miałem nazwać "demokracją bezpośrednią".

Między kelnerką i Fidelem Castro powstało coś w rodzaju bezpośredniej zмовy: ona dawała do zrozumienia tonem, uśmiechem, wzruszeniem ramion, że nie ma żadnych złudzeń, a premier — który był również rebelianckim przywódcą — wypowiadał się przed nią bez ogródek i tym samym najspokojniej nakłaniał ją do rebelii.

"To agitator" — pomyślałem o nim po raz pierwszy.

— Pokażcie mi tę lodówkę — powiedział. Pokazano mu ją; według kelnerki wszystkiemu był winien zły kontakt. Castro dokładnie obejrzał aparat; mało brakowało, żeby zaczął go rozbierać.

Kiedy się wreszcie zwrócił do kobiety, jego słowa brzmiały surowo, ale wyraźnie było widać, że ta cała surowość nie jest skierowana pod jej adresem.

— Każdemu może się zdarzyć — mówił — że gdy ma pragnienie, akurat nie będzie innego napoju jak tylko ciepły albo i w ogóle żadnego; takie niedopatrzenie

jak to tutaj byłoby więc drobiazgiem bez znaczenia, gdyby jednocześnie nie świadczyło o braku świadomości rewolucyjnej: jeżeli na każdej plaży nie zrobimy wszystkiego, co należy dla ludzi zrobić, ludzie wywnioskują z tego, że nie za bardzo życzymy sobie ich przyjscia, i nie przyjdą. A jeżeli ktoś nie robi wszystkiego, co może zrobić, i więcej niż może, to twierdzą, że wtedy dzieje się tak, jakby w ogóle nic nie robił.

Zakończył tę reprimendę burkliwym zdaniem, które zanotowałem:

— Powiedźcie waszemu kierownikowi, że jeżeli nie będzie się zajmować swoimi sprawami, to będzie miał sprawę ze mną.

Już poprzednio, w związku z reformą rolną, uświadomiłem sobie siłę tej myśli ujmującej sprawy w ich całości. Teraz, gdy zobaczyłem, jak na tej pustej plaży grzebał z przejęciem w popsutej łódce, zrozumiałem, że jest także człowiekiem najdrobniejszych szczegółów. Czy też raczej, że w każdej okoliczności wiąże w jedno szczegół i całość.

Nowe auto zatrzymało się za naszym: nareszcie dołączyli tłumacz i reporter.

Castro odzyskał dobry humor; nie dlatego jednak, że angielski został zastąpiony hiszpańskim; sprawiło to pierwsze spotkanie z chłopami.

Wjechaliśmy na boczną drogę. Po lewej, już na pewnej wysokości, widać było barierę; spod swoich słomianych kapeluszy przyglądali się nam mężczyźni w typowych kubańskich koszulach. Stromo wznosząca się droga przechodziła w ostry wiraż: w zgięciu juk u szpilki do włosów; auto zwolniło; w tym samym momencie jeden z mężczyzn skoczył na maskę samochodu: więc zahamować albo wypadek. Auto stanęło; od razu zostało obleżone przez chłopów.

Otworzyły się wszystkie drzwiczki; słomiane kapelusze i ciemne głowy pochyliły się nad Fidelem. Długa debata: spółdzielnia prosi Fidela, żeby ją odwiedził, Fidel powtarza, że musi jechać dalej.

Powiedziano mu wreszcie, że spółdzielnia może się poszczycić nie lada osiągnięciem: chociaż jeszcze nie otrzymała od I.N.R.A. planu budowy wsi, wzięła się na ambit i przed czasem rozpoczęła robotę z pomocą robotników przyjeżdżających z miasta, buduje swoją wieś już od miesiąca z górą, w każdą niedzielę, tak że za miesiąc wszystko będzie gotowe.

— Chodź, Fidel, chodź! Chodź zobaczyć, co robimy!

Castro stał już obok nich: miał brwi zmarszczone, jakby bardziej powodowała nim nieufność niż podziw. Wielkimi krokami ruszył na drugą stronę drogi, pchnął barierę, my za nim, deptąc mu po piętach; znalazłem się w gromadzie wysokich, smukłych chłopów; zasłonili mi go. Nagłe usłyszałem gromki — besztający i zawiedziony — głos:

— No gdzie ta wieś? Gdzie ta wieś?

Zbici z tropu chłopci odsunęli się. Wszyscy patrzyli na niego; stał z wzrokiem wbitym w małe ciupki z żelbetonu: szare pod lśnieniem falistej blachy, rozrzucone wzdłuż pokrytej kurzem drogi. Zwrócił się do chłopów, wyglądał na zdesperowanego.

— Przyjrzyjcie się im! — powiedział wskazując na te szare domeczki. — Tylko się im przyjrzyjcie; nieszczęśnicy, przecież to wy macie w nich mieszkać.

— Znaczy się — urażonym głosem odezwał się młody chłop — źle, żeśmy się wcześniej wzięli do roboty? Nie mieliśmy racji? A sam mówiłeś, żeby nie tracić czasu, żeby prędzej, a teraz...

— Nie; mieliście rację... — Castro zawahał się. — Dajcie mi kawałek kija — powiedział.

Przyniesiono mu gałąź. Usiłował narysować nią plan na kurzu pokrywającym ziemię. Odrzucił gałąź.

— Dajcie papieru i węgla.

Ktoś pobiegł, przyniósł arkusz papieru do pakowania i kawałek węgla drzewnego.

— W porządku. No więc tak...

Klapnął na ziemię, wyciągnął się na brzuchu, wsparł na łokciu lewej ręki i prawą zaczął rysować. Wyjaśniając, o co mu chodzi, zapępiał powierzchnię papieru grubymi węglowymi krechami. Pochyliłem się razem z innymi; zrozumiałem; nie reprodukowałem planu ustalonego przez I.N.R.A.; spółdzielnia za daleko już odeszła od tego planu, by mogła teraz wrócić: musiałaby postawić krzyżyk na wszystkim, co dotąd zrobiła. Fidel próbował — z tym samym przejęciem, jakie widziałem u niego w każdej okoliczności — przystosować oficjalny plan do tutejszej sytuacji i dać chłopom taki model wsi nadającej się do zamieszkania, który by jednocześnie jak najmniej odbiegał od tego, co już zrobiono. Podniósł wreszcie głowę i wręczył im szkic. — Jasne?

Przyglądałem się im z ciekawością; jak przyjmą tę dodatkową robotę? Oczy im błyszczały — powiedziałem sobie, że zrozumieci szybciej i lepiej niż ja. Castro wyjaśnił im sens zabudowy kolistej i, co najistotniejsze, nie odesłał ich do planu oficjalnego, ale znalazł rozwiązanie pośrednie, ważne tylko dla tej jednej wsi i uwzględniające dotychczasowy wysiłek tutejszych ludzi. Mieli jeszcze stracić sporo czasu, ale w zamian poczuli się obiektem szczególnej troskliwości; poczuli, krótko mówiąc, że temu olbrzymowi, który tu leżał na pokrytej kurzem ziemi, zależy na nich. Ze są mu drodzy.

XV

Po południu opuściliśmy wybrzeże: odkryłem wtedy człowieczeństwo stosunków między głową państwa a rolnikami w ostrości ich wzajemnych roszczeń.

Na znak Fidela auto zjechało z drogi i zaczęło się toczyć po polach. Jak w łodzi rzucało nami na czarnych i nieruchomych falach bruzd, na kamieniach. Niczym groźba — którą wszędzie tu dostrzegałem — ciągnęły się w dali krzaki, chaszczce, gotowe wykorzystać najdrobniejsze zaniedbanie, by znowu zająć cały obszar wyspy: inwazja pajaków od widnokregu, gdzie widać było ich nieruchome, wyczekujące łapy.

Zatrzymaliśmy się przed grupą siedmiu czy ośmiu robotników. Za nimi stała maszyna rolnicza, po prawej auto spółdzielni. Widzieli, jak się zbliżamy, i ani przez chwilę nie wątpili, że to Castro.

Do starcia doszło natychmiast, zaraz po wymianie noздrowień. Dziwne, ale to uwydatniło ich zażyłą serdeczność; nie znali się dotąd, nigdy nie mieli okazji uścisnąć sobie rąk, ale te formalności mogły się ograniczyć do minimum, ponieważ wszyscy należeli do tej samej rodziny, chodziło im o te same cele i mieli te same potrzeby.

Castro przywitał ich z powagą; chłopci rzekli:

— Dzień dobry, Fidel.

Bezpośrednio po tym przystąpił do pytań: Ile? Kiedy? Dlaczego nie więcej? Dlaczego nie szybciej? Odpowiedzi nie dały na siebie czekać: bo zły rozdział zadań, bo trudne prace daje się takim, którzy się na nich nie znają. Najstarszy, czterdziestoletni ogorzały chłop o siwych skroniach, brał innych na świadków: potrafi lepiej niż ktokolwiek jeździć na traktorach i je reperować, już mówił o tym kierownikowi i mu to udowodnił, ale kierownik się uparł i wciąż trzyma na tej odpowiedzialnej funkcji takiego, który nic nie potrafi.

— Niech mi dadzą traktor — rzucił wreszcie — to zaraz ci pokażę, co potrafię.

W takiej sytuacji Castro czuje się wzięty we dwa ognie; w swojej pasji do bezpośrednich kontaktów, w swojej buntowniczej niechęci do wszelkich form hierarchii znajduje powody w pełni uzasadniające natychmiastowość i

bezapelacyjność załatwienia sprawy. Łatwo mogę sobie wyobrazić, jak mówi: "To idź po traktor". Ale hierarchia, którą by w ten sposób złamał, to hierarchia I.N.R.A., hierarchia instytutu, który sam ustanowił i z którego jest, w sumie, bardzo zadowolony.

Wie, że występuje, co ciekawe, jako ciągły rozsadnik bezładu — i rzeczywiście: ponieważ krąży po wyspie, ponieważ wszędzie spotyka grupy robocze, te z kolei uważają za rzecz najnaturalniejszą w świecie żądać od niego, aby osobiście rozwiązywał ich problemy. Bo i dlaczego miano by się zadowalać mniej czy bardziej oddolną instancją, skoro ma się pod ręką instancję najwyższą?

Najpewniej nie ma nic a nic przeciw temu, żeby być w sercu każdego Kubańczyka — podobnie jak i jego rebeliancka дума oraz w bezpośredniości wyrażająca się siła są za tym, aby można rozmówić się z szefem rządu twarzą w twarz. Równocześnie jednak nie jest mimo wszystko w stanie poddać niezliczonym żądaniom, nie jest w stanie wziąć na siebie każdego szczegółu narodowego budownictwa, więc stworzył instytuty, urzędy i chce, aby przestrzegano hierarchii.

Widziałem, że podczas tej rozmowy Celia od razu coś zapisywała w notesie: niewątpliwie Castro będzie chciał poinformować się potem o tutejszej sytuacji, nie będzie tolerował, aby złe gospodarzenie siłami produkcyjnymi hamowało toczącą się batalię.

Widziałem jednak równie dobrze, że nic go nie skłoni do zdezawuowania teraz kierowników, których zresztą nie znał.

— Zwróćcie się do swoich bezpośrednich przełożonych!

Jeden z młodszych robotników zaprotestował natychmiast:

— Nie ma co liczyć, żeby się dopatrzyli błędów, bo to oni je robią.

— To idźcie z nimi do szefa okręgu — odpowiedział cierpliwie Castro.

Czułem jednak, że chce już skończyć tę rozmowę: dochodzenie zostało postanowione, o wszystkim da znać Jimenezowi, ale tymczasem nie będzie nikomu przyznawał czy nie przyznawał racji. Pozostawiając osłupiałych robotników, wsiadł nagle do samochodu. Pośpieszyłem za nim; przed nami, na drodze, przejeżdżała ciężarówka znikając w tumanie kurzu.

Zakręciliśmy. Za nami gwałtownie gestykulowali nasi rozmówcy, skonsternowani i źli.

Przez trzy czy cztery kilometry trzęsło nas na wybojach drogi. Potem niespodziewana przeszkoda, koniec lazdy, droga zatarasowana: kobiety, dzieci, starcy stali zwartą gromadą, zdecydowani nie przepuścić nas.

Byli to ludzie z tej samej spółdzielni, do której należał traktorzysta i jego koledzy. Tłum krzychał: — Fidel! Zatrzymaj się, Fidel!

Nowy postój; zaczynałem rozumieć tę taktykę. Znieruchomiły wóz został natychmiast osaczony. Upał nie do wytrzymania; gromada rąk, nachylających się twarzy; oddychałem żywym ogniem.

Fidel coś burczał. — Mówi, że to ta przeklęta ciężarówka nas zasygnalizowała — przetłumaczył mi Arcocha. I dodał z niepokojem: — Teraz wszystkich zaalarmuje na całej drodze, przepadliśmy.

Kobiety pochylały się, wyciągały ręce; jedne tylko po to, żeby dotknąć Fidela, inne znów, żeby go wyrwać z auta.

— Lud żąda, żebyś przyszedł zobaczyć naszą wieś — powiedziała z pewną godnością jakaś matrona.

Ustał. Nie miał zresztą wyboru. Wyszedł z samochodu, my za nim; szedł już w gromadzie ludzi, przerastający ich o głowę, ale mocno wśród nich ściśnięty. Widziałem po nim, że znów jest w złym nastroju, na twarzy pojawił mu się wyraz zakłopotania, a nawet onieśmienia.

— Dojdzie do wsi — powiedziała Celia — a wtedy spróbuje jakoś to sforsować i uciec; trzymajcie się blisko drzwiczek, żeby zaraz móc wskoczyć wtedy do wozu... Nie mieliśmy jednak najmniejszej szansy na ucieczkę: na drodze, którą dopiero przyjechaliśmy, podniósł się kłęb kurzu, zakotłował niczym trąba powietrzna i opadł nagle: za naszym samochodem stał teraz jeszcze jeden, mocno sfatygowany; od razu poznaliśmy, że jego siedmiu pasażerów, bo tyle się w nim upchało, to nienasytzeni rozmówcy Fidela, ci sami chłopcy, których zostawiliśmy w polu. Oni także widzieli przejeżdżającą ciężarówkę, wywnioskowali z tego, że ich żony, uprzedzone na czas, na pewno zatrzymają Fidela i że oni sami zdążą też dojechać: byli gotowi kontynuować rozmowę.

Od razu też do niej przystąpili; Fidel uległ — wprawdzie bez zapachu, ale i bez niechęci. Co do mnie, prędko przestałem rozumieć, o co chodzi: Arcocha gdzieś mi się zapodział: zmiotł go, porwał z sobą ożywiony, pełen południowej werwy tłum. Wydało mi się w każdym razie, że rozmowa przybiera powoli inny obrót.

Wmieszali się do niej inni młodzi ludzie, a następnie także i starzy. Toczyła się jednak wciąż w tej samej atmosferze: pilnej potrzeby i przyjaznego, wesołego, lecz nieustającego napięcia. Z początku Fidelowi trzeba było wrywać słowo po słowie. Potem ktoś rzucił jakąś uwagę, która chyba wprawiała go w zakłopotanie. Przez mgnienie oka widziałem, jak się skrzywił, stremował, a potem zaczął mówić z siłą, chociaż spokojnie. Starzy go poparli — i na tym się skończyło. Pozwolono mu odejść, posypały się za nim oklaski, wróciliśmy do auta.

Już w aucie Arcocha mi powiedział:

— Pod koniec mówiono o wszystkim i o niczym. Castro odwrócił się do nas i rzucił z uśmiechem:

— Złapałem ich!

— Jak to? — spytałem.

— Otóż właśnie. Doszło do rozmowy o ryżu. Rzecz w tym, że zarządziliśmy, by na jednej *caballerii* uprawiać tyle a tyle ryżu, i w związku z tą sprawą zaatakował mnie jeden z tutejszych młodych: za czasów - jego ojca, powiedział, uprawiano dwa razy więcej.

Parsknął śmiechem.

— Jimenez i jego koledzy na pewno wiedzą, dlaczego ograniczali tę uprawę, ale ja nie wiedziałem. Ponieważ mam jednak zaufanie do I.N.R.A. i ponieważ to I.N.R.A. zmniejszył o 100% ilość ryżu uprawianego na jednej *caballerii*, więc widocznie poprzednie doświadczenia dawały złe rezultaty. A że chodzi przy tym o stare doświadczenia, więc zrobiłem kawał: zwróciłem się do starych.

— I co starzy na to?

— Wszyscy pamiętali, że ryż uprawiany w większych ilościach niż ta, jaką ustanowiliśmy, staje się wodnisty, niejadalny.

Celia spojrzała w boczne lusterko samochodu.

— Dalej jadą za nami! — powiedziała.

Odwrociłem się: rzeczywiście — za nami auto, a w aucie siedmiu znajomych chłopów.

— Prawie polowanie — rzucił Castro — to ich bawi. Jakby nie było, niedziela...

W tym samym momencie nasz wóz znowu został zatrzymany i osaczony przez tłum. Nowa wieś, nowa spółdzielnia. Tutejsi ludzie nie mieli jednak do Fidela żadnych spraw: przyglądali się, oklaskiwali. Chociaż nie tylko: zaczęli się rozstępować i wypchnęli do pierwszego rzędu, tuż przy drzwiczkach, bardzo onieśmiałego księdza w białej sutannie.

— Śmiało! — odezwały się głosy — niech mu ksiądz mówi, to okazja, niech ksiądz jej nie przepuści...

Ksiądz, jak wszyscy, nazywał Castra "Fidel": mówił bardzo prędko; czasu było mało, a musiał mu wyłożyć ideę swego życia; miał typowo chłopską twarz, był

podobny do swoich owieczek. Ale jego głos, sterany, wypolerowany, zdawał się zapowiadać prawdziwą kulturę. Od dwudziestu lat, mówił, przeprowadzał w okolicy badania wraz z geologami i ekspertami niemieckimi, których nazwiska wymienił i którzy są podobno autorytetami w swojej dziedzinie; ma absolutną pewność — twierdził — że istnieją tutaj bogate złoża ropy naftowej i że od razu można by przystąpić do ich eksploatacji. Byłoby to tym łatwiejsze, że opracował nowe aparaty i nową technikę wydobywania ropy, które są mniej kosztowne od praktykowanych dotychczas i lepiej przystosowane do konfiguracji terenu. Z zakończenia jego przemowy zapamiętałem kilka zwrotów w ich dosłownym brzmieniu:

— Fidel, jestem tego pewien, co mówię: jeżeli wierzysz, daj mi milion. O ile w ciągu najbliższych dwóch lat Kuba nie uzyska dwa razy tyle, każ mnie rozstrzelać!

Castro uśmiechnął się; jak mogłem dotąd zauważyć, nie angażuje się nigdy, ale Celia wszystko notuje. Siedmiu chłopów, którzy akurat wyszli z auta, chciało znów podjąć nie kończącą się argumentację, ale tutejsza wieś bardziej interesowała się sprawą swojego księdza niż ich niepowodzeniami; zrezygnowali więc, pewnie dlatego, że nie czuli za sobą poparcia. Kiedy już ruszaliśmy w dalszą drogę, zawrócili do siebie; w każdym razie jedno mnie uderzyło: Castro ani razu nie zwrócił im uwagi, żeby wreszcie dali spokój.

Zresztą zupełnie nie odczuliśmy tego odciążenia nas od eskorty: zawzięty szofer ciężarówki zaalarmował całą okolicę.

Gdy rozstaliśmy się z wiejskim proboszczem, zapytałem Castra:

— Co pan sądzi o tym, co mówił?

— Ropa naftowa? Dlaczego by nie? Już dawno są prowadzone w okolicy poważne poszukiwania i sygnalizowano nam obecność złóż gazu.

Miał zamiar kontynuować, lecz znów nas zatrzymano. Tym razem był to samotny Murzyn, istny olbrzym; niespodziewanie wynurzył się zza muru i niemal w ataku

rzucił się na nas, gdyśmy przejeżdżali przez małą, zabudowaną niskimi domami wioskę. Gwałtownie walił dłonią w maskę samochodu.

— To lekkomyślność! — krzyczał ze złością do Fidela. — Uważaj na życie, bo ono nasze, nie twoje! Co tu robisz na przednim siedzeniu? Jak nic może kto strzelić od przodu albo się jeszcze wpakujesz na ciężarówkę. I co wtedy? Ładnie byśmy wyglądali! Siadaj z Celią z tyłu, a ci, co się tam pokładają, niech będą uprzejmi przesiąść się na przód.

— To moi goście — powiedział Fidel z uśmiechem.

Murzyn wzruszył ramionami.

— No i co z tego? Woź ich sobie, ile ci się podoba, ale jak ktoś ma umrzeć, to już lepiej, żeby oni.

Gromada chłopaków nadbiegała z wrzaskiem w naszą stronę; na ich widok Murzyn uprzejmie odstąpił od wozu.

— Jedź — powiedział — na pewno ci się spieszy; nie ja cię będę zatrzymywał.

Fidel uśmiechnął się szeroko. Murzyn odpowiedział mu uśmiechem, ale jednocześnie pogroził palcem; auto ruszyło ku nowym przygodom: zasadzkom, spotkaniom, serdecznościom.

Dwadzieścia razy zwalano się na nas, że nie mogliśmy złapać tchu, dwadzieścia razy wydostawaliśmy się cudem; wreszcie zaczęliśmy, Simone de Beauvoir i ja, patrzeć z niepokojem, jak na krzaczki młodych pomidorów spada krwisty pomidor słońca.

— Czy my nie wracamy dziś wieczorem? — spytałam Arcochy.

— Wrócimy przez Veradero — odpowiedział — a tam spędzimy noc.

— Ale ja się poumawiałem na jutro rano z różnymi ludźmi.

Wzruszył ramionami.

— Ba! — powiedział z filozoficznym spokojem — jak się dowiedzą, że jest pan z Fidelem...

W każdym razie osiągnąłem tyle, że zatelefonowałem do Hawany, by uprzedzić ludzi, z którymi miałem się spotkać.

Wóz zatrzymywał się jeszcze tuzin razy: nie auto, ale omnibus. Zabraliśmy po drodze starą chłopkę, która czekała na autobus, i wysadziliśmy ją w jej *pueblo*. Ani Castro, ani jego ministrowie nie odmawiają sobie autostopu.

Miałem w pamięci setkę obrazów, które jednak coraz bardziej będą mi się mącić, zacierać. Było mi ich żal.

— Zapomnę twarze tych wszystkich ludzi — powiedziałem do Arcochy — pomieszają mi się w pamięci, szkoda: ci chłopcy mieli jeden w drugiego swoją własną, silną osobowość. A poza tym każdy z nich to indywidualista: każdy się spodziewa, że któregoś dnia zjawi się przed nim Castro, i właśnie czekając na ten dzień, zastanawia się, rozmyśla; zależnie od swojego charakteru każdy przygotowuje albo jakieś osiągnięcie, albo jakąś krytykę, lecz zawsze ma na uwadze tę samą sprawę, dzień w dzień wraca do tej samej myśli; wszędzie byłem pod wrażeniem, że każdy występuje z jakąś swoją *idee fixe* i wyklada ją jak najszybciej, nigdy nie miałem wrażenia, że improwizuje.

— Niech pan to powie Fidelowi.

— Proszę, niech pan przetłumaczy.

Zrobił to. Castro się do mnie uśmiechnął: lody zostały przerwane. Rozmowa potoczyła się o chłopach: on także ich uważał za największych indywidualistów. To, co go pasjonowało w spółdzielniach, to napięcie między wspólną wolą wszystkich a nieskrępowaną osobowością każdego z nich.

— Kiedy kierownicy dobrze spełniają swoje zadania, wszyscy robotnicy z całą pasją pracują zespołowo; czują, że jest to dla nich samych z korzyścią. Ale podoba mi się w nich, że nadal są pojedynczymi osobami.

Mimo swoich okrągłych kapeluszy, mimo kubańskich koszul i niekiedy maczet, żaden z ludzi, których tu widziałem, nie był podobny do drugiego.

— Umieją oni czytać? — spytałem.

— Ci, których widzieliśmy? W większości chyba nie.

— Jak więc wytłumaczyć, że ci analfabeci sprawili na mnie wrażenie wykształconych?

— Bo medytują — odpowiedział. — Ciagle. Rewolucja w nich to wyzwoliła: myśl zaczęła posuwać się naprzód i nie zatrzyma się tak szybko.

Ponownie znaleźliśmy się na wybrzeżu, na dobrej drodze; w zachodzącym słońcu morze było fioletowe. — Ile tych żądań z ich strony! — powiedziałem. — A co mieliby robić z wolnością? — odrzekł. — Domagają się od nas wszystkiego; na nasze utrapienie. Uważają, że możemy wszystko, bo przecież pokonaliśmy armię Batisty.

Zapalił cygaro i dodał z odrobiną smutku:

— Mylą się: o wiele łatwiej w stu odważnych ludzi zetrzeć na proch pięćdziesiąt tysięcy kiepskich żołnierzy niż w sześć milionów pracujących z zapamiętaniem robotników podwoić produkcję w ciągu roku. Widzi pan, to nasze istnienie i nasze sukcesy dają im nienaruszalne prawo występowania z żądaniami, a my akurat jesteśmy zmuszeni im mówić: jeszcze nie, jeszcze nie w tym roku.

— Odniosłam wrażenie — powiedziała Simone de Beauvoir — że jest pan bardzo zły, kiedy porywają pana z samochodu. Czy tak jest rzeczywiście?

Odwrócił się do niej — zaskoczony, uważny jak zawsze, kiedy mowa o nim — patrzył nie odpowiadając. Ale Celia potwierdziła natychmiast:

— Tak. Jak najbardziej tak.

Położył przed sobą wygasłe cygaro.

— Pewno tak — powiedział. — Jestem zadowolony, że cisną się do mnie, popychają. Ale wiem, że będą się domagać wszystkiego, co powinni otrzymać, do czego mają prawo, a czego nie jestem w stanie im dać.

Przejeżdżaliśmy między polami trzciny; w jednej z miejsc wynurzył się przed nami jakiś człowiek wznosząc ręce; nie próbował zatrzymać wozu, tylko wołał:

— Fabrykę, Fidel, fabrykę! — i usunął się na bok.

— Przed trzema laty — powiedział Castro — domagałby się posady w urzędzie. Więc postępowanie: chce, żeby wszyscy pracujący przy trzcinie cukrowej mogli w okresie ośmiu miesięcy bezrobocia pracować w przemyśle. Niestety, nie nastąpi to jutro. A jeżeli trzeba będzie czekać na uprzemysłowienie, czy zachowa on swoją rewolucyjną świadomość?

Umilkł, odwrócił się ku przodowi. Tym razem pociągnął wreszcie kilka dymów z cygara, które prawie zawsze trzymał zgaszone. Nikt jakoś nie śmiał nawiązać rozmowy ponownie. Przypomniałem sobie naraz anegdotę, którą opowiadał mi Oltusky i która w tym świetle nabierała nowego znaczenia. Pewnego wieczoru (na kilka dni przed moim przyjazdem na Kubę) przewidziane było posiedzenie Rady Ministrów. O wyznaczonej godzinie wszyscy byli na miejscu. Oprócz Fidela Castro. Spostrzegli go wreszcie przez okno: stał wśród setki kobiet i dziewcząt, których płacze i krzyki dobiegały aż do sali posiedzeń. Wreszcie wydostał się z tego tłumu płaczących, wszedł w pierwsze lepsze drzwi gmachu i długo musiał kołować po korytarzach, bo przyszedł do sali posiedzeń z dużym opóźnieniem. Minę miał posepną:

— Spóźniłem się przez te kobiety.

— Wiemy, wszędzie depcą ci po piętach.

— Dochodzą swoich praw — odparł siadając.

O ile dobrze pamiętam, te młode kobiety pragnęły zostać nauczycielkami; otóż jedna z prywatnych uczelni mniej czy więcej wykorzystwała ich zaufanie: wzięła pieniądze, wzięła im rok pracy i wyposażyła w dyplomy, które miały być w pełni respektowane przez państwo i dawać prawo nauczania — tak przynajmniej zapewniała dyrekcja owej uczelni. Rzecz jasna, dyplomy nie miały żadnej wartości.

Gdy ich posiadaczki udały się do ministerstwa szkolnictwa, powiedziano im, że wykluczone, by mogły otrzymać posadę nauczycielek: padły ofiarą oszustwa. Od tej pory wszędzie czyhały na Fidela Castro, molestowały go, płakały.

Ministrowie czekali na rozpoczęcie obrad. Castro siedział jednak milcząco, posepny; ktoś z obecnych rzucił okiem przez okno: chór płaczków wciąż stał przed gmachem.

— Coś trzeba dla nich zrobić — zmęczonym głosem, nie zwracając się bezpośrednio do nikogo, powiedział wreszcie Castro.

— Coś dla nich zrobisz... — powtórzył, zwracając się tym razem do Harta.

Hart zaprotestował: nie dlatego, by uważał, że nie należy im pomóc, lecz aby się usprawiedliwić.

— One nie są jedynie ofiarami — powiedział — ale także, i to w bardzo dużej mierze, współodpowiedzialnymi. Wszystkie przedtem odpadły na egzaminach państwowych, zdawały nawet po kilka razy, aż wreszcie utraciły prawo składania egzaminów. Wiedziały bardzo dobrze, że prywatny dyplom nie ma żadnej wartości; chciały go otrzymać, by nas postawić w sytuacji przymusowej.

Cała Rada była zgodna w ocenie tej sprawy i dała do zrozumienia Fidelowi, że niepotrzebnie traci się cenny czas: te pannice usiłowały nabrać państwo, nabrały same siebie. Należy je odprawić z kwitkiem. Fidel nawet się nie poruszył: bezruch tego wielkiego korpusu ma w sobie coś impresjonującego, wygląda na bezruch roślin, drzew.

— Trzeba im coś dać, Armando — powiedział cicho, lecz stanowczo.

Ze wszystkich stron posypały się pytania: z jakiej racji, dlaczego?

— Bo się tego domagają — odparł z przekonaniem, jakby wszelkie inne wyjaśnienia były zbędne. Jego koledzy nie ukrywali zaskoczenia:

— I to ma wystarczyć?

Wzruszył ramionami i z taką siłą powiedział: — Tak, to wystarczy — że woleli załatwić sprawę natychmiast: prywatne dyplomy, jakie uzyskały, nadal pozostają nieważne, ale one same zostają upoważnione do stawienia się na egzaminy oficjalne, mimo że już utraciły do tego prawo.

W rozmowie ze mną Oltusky zakonkludował po prostu: "Dał nam lekcję". Nic na to nie powiedziałem; miałem wrażenie, że odnajduję u Fidela ideę, która mi za bardzo leżała na sercu, bym chciał o tym mówić. Chyba, że tylko z nim.

Teraz, kiedy w łagodnej szarości wieczoru widziałem przed sobą jego szerokie bary, postanowiłem go spytać:

— Czy wszyscy, którzy się czegoś domagają, mają prawo to otrzymać, choćby się domagali nie wiem czego?...

Arcocha przetłumaczył. Fidel nie odpowiadał. Spytałem nalegająco:

— Takie jest pana zdanie?

Zaciągnął się cygarem; powiedział z siłą:

— Tak!

— Dlaczego?

— Żądania wyrażają, tak czy inaczej, potrzeby.

— To znaczy?

— Potrzeby człowieka stanowią jego podstawowe prawo, ważniejsze od wszystkich innych.

— A gdyby zażądano od pana gwiazdki z nieba? — spytałem, pewien odpowiedzi.

Wziął cygaro, stwierdził, że zgasło, odłożył je i odwrócił się w moją stronę:

— Jeżeliby zażądano ode mnie gwiazdki z nieba, to by znaczyło, że jest żądającym potrzebna.

Mam niewielu przyjaciół, bo do przyjaźni przywiązuję dużą wagę. Po tej odpowiedzi poczułem, że Castro stał się jednym z nich, nie miałem jednak zamiaru zabierać mu czasu zwierzeniami. Powiedziałem zwyczajnie:

— Nazywa pan rewolucję kubańską humanizmem. Dlaczego by nie? W każdym razie dla mnie istnieje tylko jeden humanizm, którego fundamentem nie jest ani praca, ani kultura, lecz przede wszystkim ludzkie potrzeby.

— I innego nie ma — powiedział, po czym zwrócił się do Simone de Beauvoir:

— To prawda, że od czasu do czasu onieśmielają mnie; dzięki nam odważyli się odkrywać swoje własne potrzeby, zdawać sobie sprawę ze swoich cierpień i żądać, by położono im kres — jednym słowem: są ludźmi. I cóż to znów takiego, co my im dajemy?

Jego myśl skrzyła raptownie, ale szedłem za nią bez trudu. Szorstkim głosem powiedział:

— Od każdego musimy żądać wszystkiego, co w jego mocy, ale nigdy nie poświęciłbym tego pokolenia dla następnych. Byłaby to abstrakcja.

XVI

Podczas kolacji, którą jedliśmy w hotelu I.N.I.T.-u, rozmowa kulała. Castro przypisywał to swojemu zmęczeniu. Celia nie ukrywała zadowolenia: nareszcie jedna noc spokojna. Posiłek dobiegał końca, kiedy zarządzający hotelem przyszedł powiedzieć Fidelowi, że rybacy z tutejszej wsi wybierają się na połów i bardzo by chcieli, aby z nimi popłynął. Nad ranem byłby z powrotem.

— Chyba nie dam rady — powiedział miękko — za bardzo jestem zmęczony.

Ale po spojrzeniu Celi zorientowaliśmy się, że już się zgodził.

Następnego dnia, około siódmej rano, znaleźliśmy się znowu przy tym samym stole.

— Castro zaraz przyjdzie — powiedział mi Otero — smaży ryby, które złowił tej nocy.

— Pani z nim była? — spytała Celię Simone de Beauvoir.

— Przed chwilą wróciliśmy.

— Musi być pani śmiertelnie zmęczona!

— Och — odparła — nauczyłam się spać gdzie bądź. W tym momencie wszedł rześkim krokiem Castro, a za nim dwóch chłopców, wnosząc plastry smażonej ryby. Jeszcze dobrze nie rozbudzeni, zabraliśmy się do tej smażeniny. Tylko Celia bodaj jej nie tknęła.

Potem, już w wozie, spytałem Arcochę, dokąd jedziemy. — Na mokradła; zostaniemy tam do jutra.

— Dobrze.

Zapamiętałem sobie raz na zawsze, że tu wciąż trzeba być w stanie gotowości.

Po drodze wytłumaczono mi wszystko dokładniej i zrozumiałem, że jeden z wielkich tego świata wiezie mnie do siebie.

We Francji kolejne Republiki, od trzeciej do piątej, honorowały i jeszcze honorują swoich gości, zapraszając ich na pobyt do Rambouillet na przykład.

Wznosząc tumany kurzu jechaliśmy wyboistą drogą w stronę kubańskiego Rambouillet.

Bagna. Po prawej. I po lewej. Stanęliśmy w Cienega de Zapata; najzupełniejsze pustkowie; słońce od wieków nagrzewa tutejsze wody i nigdy nikt nie wyobrażał sobie, przynajmniej do 1959 roku, że jakkolwiek Kubańczyk mógłby tu myśleć o czymś innym niż o ucieczce. Tylko trochę na wpół dzikich, zapomnianych z ojca na syna nieszczęśników obija się na skraju bagien: węglarze — powiadają o nich. Nieco dalej zaczątki robót; bagna zostaną osuszone, oczyszczone; na zdobytej ziemi posadzi się ryż — tę podstawę pożywienia Kubańczyków — i to w takiej ilości, że już ani jednego ziarnka nie trzeba będzie sprowadzać z zagranicy.

Patrzyłem na tę rozległą kloakę i nie bardzo mi się udawało ujrzeć ją przeobrażoną, pokrytą ryżowiskami, jak daleko sięgnąć wzrokiem. Ale słowa Fidela już mnie zapraszały w stronę innych marzeń; oto w tym cuchnącym pustkowiu rząd chce stworzyć, mając na uwadze rozwój turystyki, najpiękniejszą na Kubie okolicę.

— Może najpiękniejszą na świecie — dorzucił w moment później.

Poznałem to jego dumne szaleństwo; chce zmienić kompletny brak wszystkiego w obfitość. Na tych wydziedziczonych brzegach szuka przyszłości, chce pokazać swym gościom przyszłe Rambouillet. Długi kanał: wszędzie rezultaty przejścia pogłębiarek; na prawym brzegu nieprzerwany ciąg ociekających błotem żurawi; zamieniliśmy auto na motorową łódź.

Rwaliśmy po błocie, przedostaliśmy się nurtem i płynęliśmy na rozsypisko laguny: byliśmy u Fidela Castro. Naprzeciw siebie dwa pasma ziemi; między nimi bulgot kawy z mlekiem. Po prawej, przy małej przystani, patrzyło na nas od progu jakiejś rudery trzech mężczyzn: dwaj pod pięćdziesiątkę, krwiści, o oczach jak z porcelany; trzeci — około trzydziestki, w szortach, nagi do pasa — trzymał w ręku wielką rybę i pokazywał ją z daleka Fidelowi. — To Raul — krótko powiedział mi Arcocha. Nasza łódź skręciła jednak w lewo i wylądowaliśmy na drugim paśmie ziemi. Przyjęło nas tam dwóch mężczyzn: teść i szwagier Raula. Byliśmy w samym sercu "rodzinnej domeny", która, w istocie, jest i będzie własnością narodową. Zobaczyłem długi, parterowy dom, zbudowany z tego samego materiału i w tym samym stylu co domy wznoszone przez I.N.A.V.: pod lśnieniem karbowanej blachy surowa szarość żelbetonowych ścian.

Wszedłem: jedna izba. Po obydwu stronach biegnącego jej środkiem przejścia piętrowe prycze. Z dwa tuziny materacy, na każdym koc. Przyznaję: nie od razu zrozumiałem, że to sypialnia szefa rządu, jego brata, jego rodziny i jego gości. Kiedy jednak zdałem sobie z tego sprawę, odczułem największą radość, jakiej

można zaznać — o ile tylko świadomie nie gardzi się ludźmi; pod koniec poprzedniego, pełnego rozgardiaszu dnia zaufałem Fidelowi i wystarczyło mi teraz ujrzeć jego pałac, aby ta ufność znalazła potwierdzenie.

Po drugiej stronie sypialni zobaczyłem następne wnętrze; było mniejsze, ale tego samego pokroju: jadalnia. Wśród czterech betonowych ścian wielki stół: po jego obu stronach ławki. Najprostsze szafy, spizarki, elektryczna kuchnia, zlew: zgromadzono na jednym miejscu wszystko, co pozwala przygotować i spożywać posiłki.

Wyszedłem tylnymi drzwiami i znalazłem się przed trzecim i ostatnim zabudowaniem. Było tu jedyne pomieszczenie z klimatyzacją — biuro — i prymitywne umywalki; drzwi ustępu bodaj nawet nie miały już zasuwki.

Okrzyłem budynek i znalazłem się na czarnej, uginającej się ścieżce. Miejscami leżały na niej deski, by nie grzeznąć w błocie. Dołączył do mnie Arcocha; nadszedł Castro, a za nim Simone de Beauvoir; Castro miał karabin przewieszony przez ramię.

Poproszono mnie, żebym zszedł z ścieżki na prawo, skierował się nieco ku wodzie i sam sprawdził, że dookoła nas trzęsawisko. Zrobiłem to; powiedziano mi, żebym podskoczył; podskoczyłem; miałem bardzo niemiłe uczucie, że ziemia jest martwą skórą, którą próżnia oddziela od żywej tkanki.

— Co pan robi z tym karabinem? — spytała Castro Simone de Beauvoir.

— Łowię ryby — odpowiedział.

Zdjął karabin, złożył się, celując na lewo, w bagno, gdzie macerowała się tropikalna roślinność, i strzelił, z rozrywnego pocisku powodując wytrysk błotnistego gejzeru.

Rozbełtana woda ujawniła swoje najszeptniejsze tajemnice, po czym, kiedy już wszystko zaczęło się uspokajać, zobaczyliśmy wypływającą biel brzucha. Zapadając się po łydki, Castro ruszył po zabita rybę. Myślałem, że pocisk

porozrywał ją na strzępy. Wyjaśniono mi jednak, że rzecz nie polega na trafieniu; strzela się z zachowaniem takiej odległości, by sam wybuch zabijał.

Castro promieniał; dla niego ta okolica, gdzie diabeł mówi dobranoc, nie była tymczasowym miejscem pobytu, z braku czegoś lepszego: to było jego Eldorado. Kiedy może sobie pozwolić na święto, obchodzi je w rodzinnym gronie, właśnie pod tym dachem z karbowanej blachy.

Powiedział mi w kilka minut później: — Mało jest na tej wyspie miejsc, gdzie by mi pozwolono odetchnąć. Cienaga jest właśnie takim: nie cieszy się dobrą sławą, nikt mnie tutaj nie przychodzi szukać.

Mylił się; kiedy wróciliśmy do jadalni, zastaliśmy Raula, a z nim dwóch mieszkańców sąsiedniego brzegu: jasnowłosych, o oczach bez wyrazu, o twarzach zdrowych i kanciastych. — Amerykanie — powiedział Raul. Zobaczyłem w oczach Fidela błysk trwający nie dłużej niż ułamek sekundy: turyści!

Obydwaj się przedstawili: są z Georgii, rokrocznie spędzają jeden miesiąc na Kubie; nic ich nie obchodzi wydarzenia polityczne, mają natomiast swoje *hobby*: łowienie pstrągów. Zatrzymali się w Cienaga, bo nigdzie w świecie nie ma pstrągów tak wielkich jak tutaj. Koniec końców zaprosili nas wszystkich na obiad.

Spłoszyliśmy się trochę. Oczywiście, nikt z naszej grupy nie czuł do tych obydwu poczciwców niechęci z jakichś powodów pryncypialnych. Ale też nikomu, tak mi się wydaje, nie uśmiechała się perspektywa spędzenia z nimi dnia. Nikomu — oprócz Fidela. Wybałuszyliśmy oczy, kiedy w zupełnej ciszy oświadczył, że przyjmujemy to zaproszenie z jak największą przyjemnością.

Po obiedzie wyszło na jaw, o co mu chodziło. Amerykanie łowili na spinning. Nie mam o tych sprawach pojęcia, ale podobno jeden i drugi mieli wspaniałe wędki jakiegoś najnowszego modelu.

Fidel zobaczył te ich cudowne przyrządy, kiedy przyszli nas zaprosić. Zafascynowany poszedł z jednego brzegu na drugi nie tyle za ludźmi, ile za ich

wędkami. A teraz trzymał już jedną z nich w rękę i pod okiem zachwyconych Amerykanów uczył się nią posługiwać stojąc na przycumowanej łodzi. Obydwaj goście z Georgii nie szczędzili mu ani fachowych rad, ani demonstrowania, jak to należy robić.

Niez mordowanie, z pilnością i skromnością wzorowego ucznia nabywał przez dwie czy trzy godziny umiejętność zarzucania i ściągania żyłki spinningu; sto, a może tysiąc razy powtarzał pewien ruch ręki w przegubie; z godziny na godzinę poprawiał swoje rzuty, lecz nigdy podobno nie mogąc dorównać swoim mistrzom. O ile nawet doszedł do takiej wprawy, to już jednak bez świadków; jeden po drugim wracaliśmy na nasz brzeg, zmęczeni tą dziwną, nie znającą zmęczenia wytrwałością.

Kiedy wreszcie — o wiele później — wrócił i on, miał czelność nam powiedzieć z bardzo poważną miną męża stanu, któremu w kącie warg czał się jednak uśmiezek:

— No proszę, zrobiłem świetną propagandę!

Oto i Castro. Jego myśl działa, jak to często powtarzam, równocześnie na kilku płaszczyznach — co jest na jednej z nich drobiazgiem, staje się, na innej, istotną częścią jakiejś całości.

Nie obywa się bez tego, by nie wykazywał tym swojej przewagi; z całkowitą szczerością unaocznia powierzchownym umysłem, że jego jakaś przelotna rozrywka jest w gruncie rzeczy politycznym momentem narodowej rewolucji: myśleliśmy, że się zabawiał nowym modelem wędkę — tymczasem wygrywał potyczkę w wojnie o turystykę.

Niestety jednak, za dobrze pamiętam obydwie głowy o oczach jak z porcelany: nie sposób było cokolwiek wygrać z tą dwójką gości z Georgii. Ani też przegrać; chyba że akurat byliby w nastroju do linczowania. Castro jednak nie kłamał: to prawda, że ten złożony człowiek — jak najbardziej interesowny, kiedy chodzi o

wyspę, i jak najbardziej, aż do biedowania, bezinteresowny, kiedy chodzi o niego samego — przeżywa każde wydarzenie pod wszystkimi jego aspektami jednocześnie; odkrywa swoje osobiste radości, chwile szczęścia w jak najbardziej żmudnych przedsięwzięciach — tak samo szczerze odkrywa pożytek dla sprawy narodowej w drobnych, prywatnych przyjemnościach.

To jego postawa, to jego charakter: jest równocześnie wszystkim — wyspą, ludźmi, bydłem, roślinnością i pierwszym lepszym wyspiarzem. Jest kimś, kto wszystkie sytuacje narodowe przeżywa z całą namiętnością — budzą w nim wściekłość albo radość. Tylko, oczywiście, rzecz nie w tym, że posiada Kubę jak wielcy obszarnicy czy Battista, lecz jest całą wyspą, ponieważ ani nie chce jej zagarnąć, ani zachować dla siebie nawet najmniejszego skrawka.

Siedząc na krześle, bodaj spał w izbie pełnej ludzi. Pięćdziesiąt minut. Czy warto się kłaść na takie trochę?

Miał jeszcze oczy zamknięte, kiedy zobaczyłem, jak w poziomym wirowaniu śmigła nadlatuje jego wszędzie znany helikopter, którego na ogół chętniej używa niż auta. Zrozumiałem wtedy, do czego służy drewniana, jaskrawo pomalowana tarcza, którą widziałem o dwadzieścia metrów od domu na skraju naszego kikuta ziemi; dwa metry średnicy, nie więcej; mogło to być tylko lądowisko.

Błyszcząca kabina zbliżyła się tymczasem jeszcze bardziej, helikopter wspiał się, zawahał przez moment i z niezdnym wdziękiem osiadł na wielobarwnym kręgu. Castro otworzył oczy; od razu stanął na równe nogi.

— Biorę pana z sobą — powiedział.

Polecieliśmy. Pilotował żołnierz; drzwiczki kabiny usunięte; byliśmy przywiązani jednym pasem, żołnierz, ja i z kolei Castro. Coś do mnie mówił; nie słyszałem ani słowa. Do żołnierza nie mówił nic, tylko pokazywał palcem w kierunku ziemi. Dla młodego pilota nie było to chyba nowością. Przemierzyliśmy

bagna, lecieliśmy do stacji upraw eksperymentalnych, której budowa nie była jeszcze ukończona.

Maszyna leciała tak nisko, że palmy królewskie zdawały się ją omiatać swoimi pióropuszcami.

Castro uwielbia przechyły na wirażach, pilot mu ich dostarczał, ile tylko był w stanie; więc braliśmy wirażę mocno przechyleni: trzy ciała w poziomie, jedno pod drugim, rozciągnięte nad próżnią, Castro zawieszony jedynie na pasie i na tym samym pasie ja. Wylądowaliśmy na drodze. Jak na gust Castra, tutejsi robotnicy byli zbyt bierni. Co, nie ma kantyn? Wypożycza się ciężarówki przedsiębiorstwom prywatnym? Absurd! Zdecydowanie pchnął ich na drogę rebelii.

— Pomogłem im przy pierwszym kroku — powiedział wsiadając do maszyny. — Dalej — dodał z uśmiechem — dadzą sobie radę beze mnie.

Już zapadła noc, gdy wreszcie motorówka dowiozła nas do przyszłego Rambouillet. Ale zobaczyliśmy z niego tylko plany w biurze dyrektora. Mogliśmy tam przede wszystkim podziwiać dbałość o wygody robotników: kantyna, sypialnia itp. I rzeczywiście wyniosłem wrażenie, że mają oni na swoim kawale bagna lepsze warunki niż rodzina Fidela na swoim. Gdy wróciliśmy, czekały na nas duchota i komary.

Siedzieliśmy w jadalni — Celia, Castro, Simone de Beauvoir, Arcocha, Otero i ja. Długo rozmawialiśmy i muszę przyznać ze wstydem, że to ja zacząłem prosić o zmiłowanie około pierwszej po północy.

Właśnie w owym tygodniu eksplodował "La Coubre". Na huk detonacji Hawana podniosła głowę; to sprostytuowane przez długi czas miasto odzyskało hart ducha w obliczu niebezpieczeństwa, w obliczu śmierci. Zewsząd nadbiegały tłumy, wdzierały się do doków: statek strzelał ku nim swoimi śmiertelnymi racami; nikt o to nie dbał, miasto szło ratować swoich ludzi. Po raz pierwszy musiano przeciwstawić tłumom pierś kordonów, powstrzymać ich pęd ku masakrze.

Zemściły się zresztą: Castro właśnie wysiadł z samochodu, był na nabrzeżu — sam: traktując niebezpieczeństwo, wbrew wszelkim rewolucyjnym zasadom, jako jemu tylko przysługujący przywilej. Schwyciło go dwadzieścia rąk, zważyło się na niego, przygniotło swoim ciężarem dziesięć, dwadzieścia ciał — w sam czas: świetlne pociski już go muskały swoim błyszczącym ściegiem.

Następnego dnia, po pogrzebie, widziałem, jak stolica stanęła murem. Pięćset tysięcy ludzi. Castro przemawiał. Zakaz oklaskiwania. Słuchający zostali pozbawieni możliwości wyniesienia go — ponad niego samego — na fali okazywanego entuzjazmu; brawa, które towarzyszą jego przemówieniom, mają w sobie coś z hiszpańskich *ole*: tego groźnego zapłonu, który do białości rozpala odwagę i przybliża do toreadora jego śmierć.

Nic z tego w owym dniu; szare i czarne chmury, zimny wiatr, posepna pogoda; złowroga rzeczywistość. Początkowo trochę rąk zdeorientowanych: oklaskujących. Szybko opadły. Pozostało pięćset tysięcy milczeń, morski wiatr i jeden głos.

Fidel zaczął przemawiać nie patrząc na słuchaczy, głowę trzymał pochyloną, mówił tonem przygasłym, prawie powszednim. Powoli głos mu krzepł, stawał się głosem mówcy. Ale nie było takiego momentu, w którym by się podporządkował naporowi odczuć audytorium, by dał się ponieść nagłoci pragnień czy ludowemu wzburzeniu. Cieszyło mnie to. Jego żałobna oracja — pozostawiona tylko samej sobie, tylko swojej wewnętrznej pasji — ukazywała wyraziściej, czym jest, czym w istocie są wszystkie przemówienia Castra: wyjaśnianiem.

Oto słuchałem szczegółowego i dokładnego sprawozdania z policyjnego śledztwa; ten głos początkowo osowiały, sprawiający wrażenie, że chce się zatrzymać po każdym nowym słowie, wciąż zyskiwał na sile dowodzenia, mimo że sam nie stawał się silniejszy; jeden po drugim wywoływane i ustawiane na swoim miejscu fakty zaczęły w końcu tworzyć tkaninę niezbitych dowodów, a zarazem

tragiczny rejestr zbrodni, długą i krwawą historię, której głównych, trzymających się w cieniu aktorów łatwo odgadnąć.

Przemawiając, Fidel dobrze wie, co będzie mówił, a jednak jest to improwizacja. By zyskać na czasie i dokładnie widzieć ciąg myśli i właściwe ich rozwinięcie, powoli powtarza słowa, zaczynając każde zdanie tak samo:

"To naród po tylu cierpieniach (etc)... to naród po tylu walkach (etc)... to naród po swoim triumfie (etc)..."

Te powtórzenia, ta pedagogiczna elokwencja — niekiedy przyciężkie, niekiedy nagle jak błyskawica — wywołują u francuskiego słuchacza niemal podświadomie wrażenie, że słucha głosu Peguy. Mówiono mi, że Castro oczarował Kubańczyków od pierwszego dnia, kiedy zabrał głos. Ten naród, mający już po uszy przemówień, czuł zdecydowaną niechęć do słów. Odkąd przemawia Fidel, słucha się go tak, jakby się słuchało po raz pierwszy. Fakty, wyjaśnienia, analizy. Osłupiali Kubańczycy ani rusz nie mogli poznać w tych przemówieniach dawnych kwiecistych oracji parlamentarnych; więc ludzki głos może służyć i innym potrzebom.

Przyglądałem się im: stali posepni, z podniesionymi głowami, uważni, aby im nie umknęło żadne ogniwo łańcucha. Patrzyłem, jak znika światło dnia, jak cień kładzie się coraz szerzej na twarzach, które z brązowych stawały się szare, następnie czarne, podczas gdy smutna, szara poświata ustępowała przed nocą.

Zapalone równocześnie latarnie wyrwały ciemnościom pół miliona twarzy; czerwone i zielone światła — niepotrzebne teraz ślady przerwanej komunikacji — omiatały swoimi kolorami odchylone do tyłu głowy.

Już była pełna noc, płonęły w niej światła jan-kesowskiego towarzystwa elektrycznego, kiedy Castro zwrócił się do Jankesów, obarczył ich odpowiedzialnością za sabotaż i rzucił im wyzwanie:

— Nie ujarzmicie nas ani głodem, ani wojną. I wieście, że jeżeli zaatakujecie, my będziemy zwycięzcami. (Cytuję z pamięci: nie jest to wypowiedź przytoczona dokładnie (J.P.S).)

Mówił cztery godziny i nie powiedział nic ponadto, co trzeba było koniecznie powiedzieć. Skończył; milczenie, narzucone ludziom z jego woli, samego go trochę zmieszało; niewiarygodna śmiałość tego wyzwania pozostała w słowach, w myślach, nie przeszła w głosy: i chyba dlatego mnie zafascynowała.

Wydrukowany w gazetach tekst przemówienia wystarczy, aby czytelnikowi skoczyła do oczu ta nieulekła i gwałtowna determinacja, to posępne oburzenie.

Ale żadna gazeta nie jest w stanie dać odczuć, czym to przemówienie było naprawdę: oto długi marsz pod wiatr, pod chmurami, nocą, ku jeszcze nie znanym rozstajom — zwycięstwu lub eksterminacji.

Nikt nie przekaże niepokoju, posuwania się po omacku, zatrzymywań się, nagłego ruszania naprzód, powolności i przyspieszania toku słów — ani tym bardziej tej tak prawej, niemal smutnej refleksyjności pod wrzeniem gniewu; tego zastanawiającego mariażu między nieustępliwym zdecydowaniem i sumienną, prawie nieśmiałą, choć żarliwą chęcią, aby dobrze czynić. Te słowa były krokami: każdy z nich prowadził trochę dalej naprzód, nieodwracalnie naprzód; przy każdym z nich idący mógł się zatrzymać; wiedział o tym, że może, ale wiedział także, że musi iść dalej.

Tylko głos zdradzał — swoim zmęczeniem, goryczą, siłą — samotność człowieka, który pośród pięciuset tysięcy milczyń decydował za swój naród.

Zbierał się do zejścia z trybuny, tłum już się rozchodził — bez słowa. Pozdrowiłem go w przejściu. Spojrzał jakby z zakłopotaniem, spytał po prostu:

— A pan co o tym myśli?

Powiedziałem mu; wysłuchał; odszedł. Później ponownie się z nim widziałem: jeszcze napiszę o tym spotkaniu, podobnie jak i o innych aspektach nowych rządów

na wyspie, innych problemach i innych zdobyczach. Tym razem słuszniej jest zatrzymać się na sprawie sabotażu "La Coubre": tego dnia bowiem ukazała się w pełnym świetle nienawiść.

Kuba ma wrogów, którzy zabijają i będą zabijać; nienawidzą wszystkich; w pierwszym rządzie Fidela Castro, ale równie dobrze robotnika ścinającego trzcinę i robotnika portowego. Dwustu zabitych dla jednego sabotażu to dla tych amatorów piromanii wcale nie za droga cena. Kim oni są? Czy to p. Herter i funkcjonariusze State Departament? Nawet w największym przypiływie gniewu ani jeden Kubańczyk tego nie utrzymywał w rozmowie ze mną.

Ubolewano tylko, że USA stały się ojczyzną z wyboru dla batistowskich zbrodniarzy, że rząd Waszyngtonu nie jest w stanie, jak stwierdził, powstrzymać startujących z Miami awionetek, które prowadzą wynajęci amerykańscy piloci aby kilka razy tygodniowo rzucać bomby zapalające na pola trzciny.

Ubolewano po sabotażu, że rząd amerykański wywarł nacisk na rządy europejskie, aby narodowi kubańskiemu nie sprzedawały broni (jak to przyznał w Izbie Gmin angielski premier); ubolewano nad faktem, którego świadkiem była Belgia, że w momencie załadunku amerykański konsul w Antwerpii i attaché wojskowy ambasady biegali wszędzie, aby interweniować u przedstawicieli fabryki broni i władz portowych.

Jednym słowem, płomienie podpalonego statku objawiły Kubańczykom powagę niebezpieczeństwa. Wciąż istnieje to napięcie, które nie przestanie wzrastać, między interesami wyspy i interesami prywatnych towarzystw jankesowskich, czyli, krótko mówiąc, między rządem reprezentującym jedną stronę a rządem reprezentującym drugą.

Po eksplozji "La Coubre" dojrzałem utajone, pozostające w cieniu oblicze wszystkich rewolucji; cudzoziemską groźbę, która się przejawia wieku. A lęk Kubańczyków odkryłem, ponieważ nagle zacząłem go dzielić z nimi i ja.

Radość, wciąż trzymająca się na baczności radość budowania. Lęk, nieustająca obawa, że głupia przemoc wszystko zburzy. Trzeba dziś żyć na tej wyspie i kochać ją, aby zrozumieć, że każdy Kubańczyk odczuwa w każdej minucie te obydwie namiętności i że obydwie one nawzajem się podsycają.

Po sabotażu odwołane zostały zabawy ludowe; przeprowadzono narodową kwestę na zakup broni, samolotów.

Każdego wieczoru toczyły się ulicami karnawałowe wozy, a obok nich szli młodzi mężczyźni, młode, piękne kobiety, opadając przechodniów i gapiów, nawołując ich, by się opodatkowali. Kładziono rękę na kieszeniach ogłuszonych trąbami, oszołomionych paradą łabędzi, grecko-rzymskich świątyń, całym tym akropolem na czterech kołach.

Kilka dni przedtem oklaski i krzyki tłumu pozwoliły mi odkryć jego rewolucyjną radość z odnalezienia blasków narodowego święta.

Po owym złowrogim dniu karnawałowe wozy zachowały swoją pstrokaciznę i jarmarczną wesołość, ale toczyły się ciemnymi ulicami z powolnością żałobnego konduktu i ich zgiełkliwa muzyka rozbrzmiewała ostrym dysonansem wśród niespokojnego milczenia.

Wydaje mi się, że ten ostatni nocny obraz ukaże lepiej niż jakikolwiek inny radosne i chmurne życie Kuby. Przyszłość jest jej nadzieją: wyspa oczekuje od niej ratunku; i jest również jej obawą — może ją dopaść jak złodziej.

Ci ludzie mający pełne ręce roboty, a jednocześnie nie ustający w czujności, walczą w obliczu cudzoziemskiej groźby o zachowanie swoich dwóch najcenniejszych zdobyczy: nie znanej dotąd na Kubie wolności, którą wydali na świat i która uznała za swoje ich reformy; nowej, rewolucyjnej arki przymierza, zaufania i przyjaźni, które ich jednoczą. Nie widzę, aby jakikolwiek inny naród stawiał dziś przed sobą cel bardziej niecierpiący zwłoki i bardziej godny jego wysiłków. Kuba musi wybrać albo utracimy wszystko, nawet nadzieję.

(posłowie - w książce wyróżnione nową stroną - dop. legaba)

W kwietniu 1961 roku — a więc w kilka miesięcy po opublikowaniu przez J. P. Sartre'a w prasie francuskiej "Huraganu nad cukrem" — wrogowie kubańskiej niezawisłości i Fidela Castro podjęli próbę zbrojnego opanowania Kuby, co, jak wiadomo, skończyło się fiaskiem. W owych krytycznych dniach burżuazyjny tygodnik paryski "L'Express" przeprowadził z J. P. Sartre'em wywiad, w którym znalazły oddźwięk problemy znane już czytelnikom z "Huraganu nad cukrem". Końcowy fragment wywiadu zawiera jednak wypowiedzi na temat samej interwencji na Kubie. Właśnie tym końcowym fragmentem wywiadu uważamy za właściwe uzupełnić reportaż Sartre'a przed oddaniem ich do rąk polskiego czytelnika.

*

— *Czy sądzi Pan, że amerykański rząd lub taka czy inna koteria w amerykańskiej Administracji bądź Armii wzięły bezpośredni, czynny udział w przygotowaniu ataków, które są właśnie przeprowadzane przeciw Kubie?*

— W czasie mojego pobytu na Kubie, w marcu 1960 roku, samoloty startujące z Florydy zrzucały w regularnych odstępach czasu bomby zapalające na kubańskie skupiska ludności lub też, częściej, na pola trzciny cukrowej. Zdarzyło się przy tym, szczęśliwie dla Kubańczyków, że jeden z owych samolotów się rozbił i Castro mógł przedstawić w telewizji dokumenty, które stanowiły dowód, że pilotem samolotu był Amerykanin, a "bombardierem" były szef batistowskiej policji.

Amerykanie przyznali, że wszystko jest zgodne z prawdą, ale jednocześnie powiedzieli: "Absolutnie nic nie możemy na to poradzić. Lotniska są w Ameryce wszędzie, a Ameryka jest krajem wolnym; jeżeli ktokolwiek opłaci samolot, ma

prawo z niego korzystać; czy wyobrażacie sobie, że moglibyśmy zorganizować nadzór nad wybrzeżem tak rozległym jak wybrzeże Florydy?"

Argumenty to bez wartości; gdyby bowiem powiedziano pewnym przywódcom emigrantów kubańskich "Przestańcie!", przestaliby. To samo i z zamachami przy użyciu plastiku. Przeprowadza się rewizje, aresztuje setki osób, zwalnia pewną ich ilość... A wszystko to szopka, bo bardzo dobrze wiadomo, kim są ci zamachowcy. Wystarczyłoby zatrzymać dwa tuziny osób i powiedzieć: "Koniec z tym".

Nie chcę mówić, że amerykański rząd bezpośrednio dawał pieniądze kubańskim uchodźcom lub też że armia amerykańska otrzymała od rządu rozkaz udzielania im pomocy.* Po prostu polityka góry polegająca na "pozwolić działać" umożliwiła, w dole, urządzenie zamachów.

Podczas mojego drugiego pobytu na Kubie, w październiku tego samego roku, Kubańczycy byli na stopie wojennej. Zasygnalizowano im z Gwatemali (przez solidarność ostrzegli ich wówczas południowoamery-

* Z oświadczeń rzeczników rządu amerykańskiego, złożonych później, wynika bezpośrednia odpowiedzialność Stanów Zjednoczonych za wyposażenie i wyszkolenie kontrrewolucjonistów. Były prezydent Stanów Zjednoczonych Eisenhower oświadczył wręcz (PAP 3 V 61 r.), że to on podjął decyzję w sprawie wyszkolenia i uzbrojenia emigrantów kubańskich na terenie Stanów Zjednoczonych, w okresie kiedy jeszcze sprawował obowiązki szefa państwa. Eisenhower dodał, że jeżeli przed wygaśnięciem jego mandatu prezydenckiego nie zostało nic innego podjęte w tej dziedzinie, to tylko dlatego, że wówczas nie istniała jeszcze organizacja emigrantów kubańskich, z którą mógłby się porozumieć (przyp. red.).

kańscy dyplomaci), że pół setki okrętów wojennych, bez bandery, wysadziło na tamtejszy brzeg ludzi mówiących gorzej lub lepiej po hiszpańsku i pozostało w pogotowiu. Na terytorium Gwatemali, dalej od brzegów, znajdowały się obozy wojskowe, w których szkolono znaczną ilość ludzi.

Sprawę owych przygotowań postawił natychmiast w ONZ Raul Roa i — nazajutrz — okręty znikły. Lecz ilość ludzi szkolonych w gwatemalskich obozach (dało się ją z grubsza obliczyć na podstawie zaprowiantowania owych obozów) była znaczna. Dziś mówi się o inwazji w sile pięciu tysięcy ludzi. Kim są ci kombatanci?

Ludzie, którzy opuścili Kubę, należą na ogół do warstw średnich, do bogatej burżuazji. To lekarze, adwokaci itp. Kiedy byłem na Kubie, Kubańczycy ubolewali nad ucieczką swoich najlepszych kadr. Czy to właśnie ci ludzie są teraz wysadzani na kubański brzeg z pistoletem maszynowym w rękę? Prawdziwa kadra — w medycynie, czy w innych dziedzinach — to ludzie pod pięćdziesiątkę, a więc w wieku, kiedy już siły nie dopisują człowiekowi na tyle, by mógł ruszać na wojnę. Więc to nie oni ją prowadzą.

Kim są zatem ci młodzi ludzie, którzy się znaleźli w szeregach oddziałów inwazyjnych? Skąd się wzięli? Przed kim uciekli? Kiedy ich Amerykanie przygarnełi? Nigdy się o nich nie słyszało. Na przeprowadzanie małych sabotaży, bombardowań z lekkich samolotów wystarczała garść emigrantów. Ale gdzie znaleziono pięć tysięcy ludzi młodych, zdolnych prowadzić wojnę. Od czasu do czasu ogłasza się, że jakiś dawny towarzysz walki Fidela Castro schronił się w Nowym Jorku, gdzie składa wówczas publiczne deklaracje. Nigdy jednak nie było mowy o tym, żeby któryś z nich sprowadził z sobą tysiąc ludzi. Przybywał sam jeden, samolotem.

Jasne zatem, że wszyscy członkowie antyfidelowskiego "korpusu ekspedycyjnego" nie mogą być Kubańczykami, którzy opuścili wyspę po rewolucji. Mogą to być najmici, owszem. I mogą się nazywać Kubańczykami, dlaczego by nie? Nie brak w Ameryce Łacińskiej krajów, gdzie mówi się po hiszpańsku, tak że wszędzie po trochu można rekrutować najemnych żołdaków.

Pójdźmy jednak dalej: przypuśćmy, że tych pięć tysięcy ludzi stanęło na Kubie. Lecz to jeszcze nie wszystko. Kuba ma sześć milionów mieszkańców, którzy w większości są za Castro, ponieważ wiedzą, co by ich czekało, gdyby napastnicy zwyciężyli. Ile więc by trzeba żołnierzy, aby ujarzmić tę bardzo dobrze uzbrojoną ludność? Co najmniej sto tysięcy, dwieście tysięcy, może więcej... Nam w Algierze nie powiodło się mimo pięćsettysięcznej armii. Skąd wziąć taką masę ludzi?

Napastnicy liczą — tak się przecież mówi — na pomoc od wewnątrz. Na pomoc chłopów? Pomoc robotników? To nonsens. Kiedy Castro zapoczątkował walkę, z niemałym trudem przyszło mu wtedy wciągnąć do niej masy chłopskie, w końcu jednak je pozyskał, gdyż chłopci zrozumieli, że działa w ich interesie i że to oni mają przeprowadzać rewolucję. Dzisiaj wiedzą, co zdobyli po odejściu Batisty, co uzyskali dzięki reformie rolnej; stanowią najbardziej pewną podporę rządu. I jeżeli ktoś się wybierze do Sierry, by powiedzieć owym ludziom: "Idziemy zabić Fidela Castro; bądźcie tak dobrzy i dajcie nam jeść", mało będzie miał szans, że go tam dobrze przyjmą. Właśnie dlatego sądzę, że kontrrewolucjoniści z samej Kuby, którzy poszli w góry na partyzantkę, są wspomagani nie tylko zrzutami broni, ale i zrzutami środków żywnościowych. Nie mówiąc już o zrzutach ludzi.

W każdym razie odpowiedzialność Amerykanów za toczące się działania wojenne jest całkowita. Bez nich nie mogłoby dojść do inwazji. Bez ich pomocy inwazja nie mogłaby się rozwijać.

Nie chcę mówić, że za to wszystko personalnie jest odpowiedzialny Kennedy. Nie wiem. Ale nie mam zbyt wielkiego zaufania do jego Administracji. Wprawdzie różni się ona od Administracji poprzedniej, ale odnoszę wrażenie, że są to różnice głównie werbalne. Stosunek do Rosjan stał się teraz bardziej kurtuazyjny, daje się do zrozumienia, że mogłaby ulec zmianie postawa wobec Chin — ale dodaje się przy tym, że jeśli Chiny chcą być uznane, musiałyby się wyrzec Formozy. Więc absurd. Jest dla mnie rzeczą niemożliwą uważać za demokratę prezydenta USA,

który nie ukrywa swoich sympatii dla antyfidelistów. Nie mogę mieć zaufania do takiego człowieka.

— *Czy sądzi Pań, że mimo radzieckich ostrzeżeń możliwa jest bezpośrednia interwencja Stanów Zjednoczonych?*

— Te ostrzeżenia ją utrudniają. Niemniej jednak istnieje jedno ryzyko: mianowicie to, że Amerykanie rzucają Związkowi Radzieckiemu rękawicę, uważając, że jest on rozbrojony w tej mierze, w jakiej jego odpowiedź miałaby nazbyt wielką wagę. Chodzi tu o grę, którą niekiedy uprawiano również na Wschodzie. "Albo nam pozwolicie — mogą powiedzieć Amerykanie — zadać ten gwałt sześciu milionom ludzi, albo doprowadzicie do wojny, której ceną będzie może sto milionów ofiar".

Dla rządów komunistycznych byłaby to rzecz wielkiej odpowiedzialności wobec ich narodów. Czy dla uratowania Kuby zaryzykowałyby wojnę? Amerykanie postawili na to, że nie — tak przynajmniej sędzę.

Sprawą bezpośrednio najbardziej interesującą jest postawa Ameryki Łacińskiej. Wszystkie jej kraje odczuwają ciężar amerykańskiego imperializmu gospodarczego. Dość pomyśleć, że wielkie towarzystwo elektryczne, które Kuba wywłaszczyła (po dwudziestu latach zbijania przez nie bajecznych zysków za sprzedaż prądu po zupełnie niebywałej cenie), nadal sprzedaje wielu innym krajom amerykańskiego kontynentu ich własną energię elektryczną. Jeżeli na Kubie zatriumfuje kontrrewolucja, będzie to oznaczać, że w świecie Monroego suwerenność nie jest niczym innym jak tylko iluzją — i że kraje Ameryki Łacińskiej są skazane na życie pod rządami marionetek i tyranów. Równocześnie jednak obalenie Fidela Castro przyniosłoby w efekcie radykalizację narodów południowoamerykańskich i wzmogło ich sprzeciw wobec imperializmu.

To właśnie sprawia, że sytuacja Amerykanów jest tak skomplikowana: wiedzą, że jeżeli pozwolą Kubie swobodnie się rozwijać, to niezadługo w innych krajach południowoamerykańskich zrodzą się analogiczne ruchy, ponieważ istnieją tam analogiczne problemy; jeżeli, jednak zdołają — w co nie wierzę — wyeliminować Fidela Castro, staną wówczas w obliczu radykalizującej się Ameryki Łacińskiej i przed upływem długiego czasu nie zazną już spokoju.

*

Sartre zakończył swoją wypowiedź stwierdzeniem:

— Afera kubańska jest koniec końców testem dla postawy, jaką przyjmą mocarstwa zachodnie wobec krajów niedorozwiniętych. W tym wypadku chodzi o mały kraj, który niezwykłym wysiłkiem i dzięki swym wspaniałym osiągnięciom umiędzy uzyskać niezawisłość gospodarczą. Jeżeli postanowiono, że; tego rodzaju wysiłek należy hamować — i to bombami w razie potrzeby — to problem "reszty krajów świata" został załatwiony. Takie podejrzenie zaistniało już przy sprawie Konga, lecz teraz zaczynamy to rozumieć całkowicie: nieprawdą jest, że kapitalizm chce wziąć na siebie koszty uwalniania się narodów od kolonializmu; chce za wszelką cenę temu przeszkodzić.

Wojna na Kubie przypomina wojnę w Algierze. Tyle, że jest bardziej zamaskowana, gdyż najemników, którzy ją prowadzą, nazywa się "Kubańczykami", ale jest to jedno i to samo. I jeżeli — później, w jakimś określonym momencie — będzie się chciało tę wojnę wygrać, a najemników nie wystarczy, wówczas wypadnie Ameryce wystąpić w całej swojej potędze. Czy to więc tak ma wyglądać działanie na rzecz krajów, które się wyzwalają od kolonializmu i pragną żyć? (skanowała legaba, wrzesień 2000)